

# Kontury śmierci

Pat Blue





292/13

62  
21 55-

47

Tyna minęła drzemiącego w portierce Jima, wsiadła do windy, wjechała na drugie piętro. Przed drzwiami chwilę grzebała w torbie, szukając klucza, wreszcie otworzyła, zrobiła parę kroków i zamarta, przerażona śmiertelnie. W hallu, twarzą do ziemi, z włosami pozlepianymi krwią, z rozrzuconymi na boki rękami, leżała kobieca postać.

Parasolka i torba wysunęły się ze zdrtwiałych rąk Tyny, z przeraźliwym krzykiem rzuciła się do ucieczki. W panice zapomniała o windzie, biegła po schodach, na podeście potknęła się i upadła, zdzierając skórę z dłoni, ale nawet nie poczuła bólu i znów biegła dalej, nieprzytomna z przerażenia.

Pat Blue

Kontury  
śmierci

Krajowa Agencja Wydawnicza

Fotograficzny projekt okładki

*Jan i Waldyna Fleischmannowie*

Projekt typograficzny okładki i karty tytułowej

*Jan i Waldyna Fleischmannowie*

Typograficzny projekt serii *Teresa*

*Cichowicz-Porada*

Redaktor techniczny Stanisław Małecki

Korekta *Zespół*

© Krajowa Agencja Wydawnicza

Warszawa 1980

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA

RSW, „PRASA-KSIAŻKA-RUCH”

WARSZAWA, 1980

Wydanie pierwsze

Objętość: ark. wyd. 8,44, ark. druk. 7,37

Papier offset 70 g kl. V, rola 96 cm

Nr prod. Xn-5/3074/77 Zam. 475, C-41

ZG „Dom Słowa Polskiego”,

Warszawa,

ul. Miedziana 11

Cena zł 30,-

## 1.

Autobus zatoczył duży łuk podjeżdżając do dworca lotniczego i Tyna od razu spostrzegła Ewę, stojącą przy wejściu. „Jak to miło z jej strony, że po mnie wyszła” - pomyślała zbierając bagaże. Kiedy otworzono drzwi autobusu, Ewa podbiegła do nich.

- Hej, staruszek, czekam tutaj!

- Jesteś naprawdę kochana, że znalazłaś dla mnie czas.

- Nie przesadzajmy! A gdzie Maciek, przecież mieliście przylecieć razem?

- Wyobraź sobie, w ostatniej chwili przyjechała ze Stanów jakaś ciotka, czy ktoś taki, i musiał przełożyć wyjazd. Dobrze, że mnie się udało wyrwać.

Podzieliły między siebie bagaże i z wolna ruszyły ku domowi. Ewa mieszkała przy High Street Kensington na Marloes Road, tak że z Cromwell Road, gdzie mieścił się dworzec, miały zupełnie niedaleko, jednak obciążone walizką i dużą torbą szły powoli, często odpoczywając. Tyna z zachwytem wchłaniała w siebie zapach Londynu, za którym już się stęskniła. Na temat zapachów miała swoją własną teorię. Twierdziła, że każde miasto pachnie inaczej.

Inny jest zapach Paryża, inny Sofii, jeszcze inny Warszawy czy Londynu. Uważała, że to sprawa benzyny - Anglicy jeżdżą przeważnie na wysokooktanowej - poza tym kuchni - oleje zamiast smalcu do smażenia - perfum, tytoniu i Bóg wie czego jeszcze. Jej mąż, Maciek, te „zapachowe” wywody zwykł podsumowywać krótko i ironicznie: „Dziwne, że nie służysz jako pies milicyjny z takim nosem”

Te „zapachowe” rozmyślenia przerwała jakaś młoda kobieta, na którą - zagadane - wpadły.

- Hej, Ewa, strasznie dawno cię nie widziałam! Nastąpiła wzajemna prezentacja:

- Koleżanki z Polski, Tyna. Moja znajoma, Ann.

- Dzwoniłam parę razy, nikt nie odbierał, niepokoiliśmy się o ciebie. Co z Tonym?

Ewa machnęła ręką.

- Temat do dłuższej rozmowy.

- Jeżeli nie macie żadnych planów na dzisiejszy wieczór, to wpadnijcie koło ósmej, posiedzimy, pogadamy, dobrze?

- To zależy od Tyny. Dopiero w tej chwili przyjechała, nie wiem, czy nie będzie zmęczona. Jak się czujesz? - to było do Tyny.

- Znakomicie. Samolot to nie pociąg, a poza tym jest dopiero dwunasta, do ósmej dziesięć razy zdążę odpocząć.

- W takim razie czekam, będzie mi bardzo miło. Do zobaczenia.

- Kto to? - zapytała Tyna, kiedy Ann odeszła na tyle daleko, by nie słyszeć.

- Szwajcarka. Mieszka tu z sześć lat. Mąż jest Anglikiem, dziennikarzem, bardzo sympatyczny, ona zresztą też. Mają dwuletnią córeczkę. Ann nie pracuje, zajmuje się tylko domem i dzieckiem, mieszkają razem z bratem Ann tu

zaraz, dosłownie parę kroków, przy Lexham Gardens.

- A czemu pytała o Tony'ego tak, jakby się z nim coś stało? Przecież nic nie pisałaś!

- Odlóżmy to na później, dobrze? Jeszcze chwila i będziemy w domu, tam porozmawiamy. No, nareszcie winda... Nie, dziękuję, Jim, damy sobie radę. - To ostatnie zdanie skierowane było do portiera, który podszedł, chcąc im pomóc. Tyna pamiętała go zresztą z pobytu w zeszłym roku. Pamiętała też, że dom nie miał numeru, tylko - jak to żartobliwie określała sama Ewa - był „pod wezwaniem” świętego Turnera. Sąsiednie posesje również miały malarzy za patronów. W ogóle dzielnica była z tych „lepszych”. Nie, żeby jakież szczyty wytworności, nie, ale tak zwana „dobra dzielnica”.

- Powiedz mi, gdzie mieszkasz, a powiem ci, kim jesteś - złośliwie trawstowała znane porzekadło Tyna. - Najważniejsze, ile masz na koncie bankowym i gdzie mieszkasz - docinała przyjaciółce podczas licznych dyskusji - a nie to, co w głowie i co umiesz!

Ewa wzruszała ramionami:

- Takie, obyczaj - odpowiadała - i chcąc tu żyć, muszę się do nich dostosowywać. Jeżeli będę gorzej mieszkać, będę gorzej zarabiać - łańcuszek, moja droga!

Jeżeli źle mieszkam, znaczy, że źle zarabiam, źle mi płacą, bo jestem złą aktorką, zatem nie należy mnie angażować - logiczne? Mogę nie mieć na jedzenie, ale mieszkać muszę w drogiej dzielnicy, takie jest prawo rynku.

Całą wojnę Ewa spędziła z rodzicami w Anglii, tu chodziła do szkoły - ojciec był wyższym oficerem w polskiej armii. Potem wrócili do kraju, Ewa skończyła studia w Wyższej Szkole Teatralnej, zdążyła dwukrotnie wyjść za mąż i rozwieść się, przez rok czy dwa występowała z

powodzeniem w jednym z warszawskich teatrów, by znów wyjść za mąż - tym razem za Anglika, z którym wyjechała do Londynu. Po pewnym czasie nastąpił rozwód numer trzy, a na horyzoncie pojawił się Tony.

Tyna знаła Ewę właśnie ze szkoły, którą razem kończyły. Potem przez parę lat nie miała o niej żadnych wiadomości i dopiero rok temu przypadkowo odnowiły dawną znajomość. Wówczas też Tyna poznała Tony'ego, świeżo upieczonego męża numer cztery. Nawiązany kontakt, podtrzymywany listownie, przybrał wreszcie formę spontanicznego zaproszenia Tyny wraz z Maćkiem do zamieszkania na Marloes Road. Wprawdzie Ewa była dopiero w trakcie wyrabiania sobie pozycji na aktorskim rynku angielskim i w związku z tym nie przelewało jej się zbyt wiele, ale zawsze miała gest i fantazję.

- Pamiętasz ten twój sławny „wyjazd” do Szwajcarii na ferie wielkanocne? - przypomniła sobie Tyna.

Ewa roześmiała się serdecznie.

- No pewnie! Całe święta miałam zepsute, nie mogłam nawet nosa z domu wyściubić!

Chodziło o to, że w czasach szkolnych Ewa była zainteresowana jednym z kolegów ze starszego roku. Po jakiejś sprzeczce, która nastąpiła właśnie w okresie nadchodzących ferii wielkanocnych, aby wzbudzić w nim zazdrość, wymyśliła wyjazd na te dziesięć czy czternaście dni do Szwajcarii. A należy pamiętać, że w tamtych latach wyjazdy na Zachód były raczej ewenementem, budzącym ogólną zazdrość. Aby sprawę uczynić wiarogodną, Ewa postarała się o dokumentację fotograficzną i pokazywała swoje zdjęcia na tle hotelu w Zurychu, na jakimś placu w Bernie, no i to najważniejsze: na dansingu, w ramionach zabójczego Szweda, o którym wiele i chętnie opowiadała, sprawdzając, jakie wrażenie robi to na obiekcie jej zainteresowań.



I cała szkoła uwierzyła. A zdjęcia były po prostu zgrabnym fotomontażem, wykonanym za odpowiednią opłatą. Bohaterka przemyślnej intrygi nie ruszyła się z domu na krok i dopiero kiedyś, kiedyś, przyznała się do wszystkiego.

- Chcesz najpierw kawę czy do wanny? - pytała teraz, krzątając się po niedużym hallu.

- Najchętniej jedno i drugie, ale niech będzie pierwsza wanna. Cała się kleję po tym targaniu walizy! Niby nic w niej nie ma, a takie cholerstwo ciężkie. Muszę koniecznie kupić sobie u was te kółka do walizek, żeby jej już nigdy więcej nie nieść, tylko ciągnąć!

- Zaraz napuszczę ci wody do wanny. Dzisiaj, jeżeli chcesz, możesz spać ze mną, a jak przyjedzie Maciej, urządzicie się w małym pokoiku naprzeciw kuchni. Wprawdzie tam jest tylko mała kanapka, ale ty też nie jesteś zbyt duża, więc się chyba zmieścisz, a dla Maćka wstawi się połowe łóżko. Przepraszam cię, że tak to wypadło, ale pokój, w którym mieliście mieszkać, jest zajęty - musiałam go wynająć.

- Nie przepraszaj, bo nie ma za co. Znakomicie, że w ogóle możesz nas przytulić i, oczywiście póki nie ma Maćka, bardzo chętnie będę dzielić twoje leże. Można będzie pół nocy gadać, ale... co na to powie Tony?

I Ewa znów machnęła ręką, jak przy pytaniu Ann.

- Włóż do wanny, pogadamy za chwilę.

Nie pozostało nic innego, jak usłuchać gospodyni, więc Tyna z prawdziwą przyjemnością zanurzyła się w wodę, myśląc jednocześnie, że coś tu pachnie rozwodem numer cztery.

- Ta łazienka - krzyknęła do Ewy - jest jedną z twoich największych zalet! Zawsze miałam słabość do ładnych łazienek, najchętniej przesiedziałybym tu do wieczora, gdyby nie głód i ciekawość!

- No więc nie głędź, staruszko, zmyj wreszcie z siebie pył kontynentu i wylaż. Masz tu mój szlafrok, boś pewnie swojego nie wzięła...

- Kochana jesteś. Pewnie, że nie wzięłam, za dużo miejsca zabiera w walizce, a czułam, że nie dasz mi na golasa paradować i pożyczysz któryś ze swoich. Uuch, jaki milutki... - mruzczała Tyna, owijając się w różowe, mięciutkie cudo.

W tym momencie rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych i krzątająca się między kuchnią a łazienką Ewa zamarła na korytarzu bez ruchu. Dzwonek powtórzył się.

- Ej, ktoś dzwoni, nie słyszysz?

- Ćss... - syknęła niecierpliwie Ewa. - Nie tak głośno, bo usłyszeli!

Tyna popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- Kto usłyszeli? Dlaczego mam być cicho?

- Ten, kto dzwoni, Nie rozumiesz? Udaję, że nikogo nie ma w domu - tłumaczyła scenicznym szeptem Ewa, podczas gdy dzwonek wciąż rozlegał się alarmująco. Tyna, nic nie rozumiejąc, nadal patrzyła ze zdziwieniem na przyjaciółkę, która stała nieruchomo, jedną rękę wsparła o futrynę drzwi do łazienki, drugą przyciskała do gardła gestem człowieka przerażonego. Oczy miała utkwione w to miejsce, gdzie przedpokój zakręcał, aby połączyć się z hallem, jakby obawiała się, że lada chwila wyłoni się stamtąd jakaś zjawa.

Wreszcie dzwonek zamilkł.

- Odszedł - niemal bezdźwięcznie poruszyła wargami Ewa, ale jeszcze przez kilka sekund trwała w napiętym oczekiwaniu. Wreszcie powtórzyła z westchnieniem ulgi:

- Odszedł... - i, jakby budząc się z odrętwienia, opuściła rękę.

- Kto odszedł? - zapytała Tyna.

- Ten, kto dzwonił.

- Ale kto to był?  
- Skąd mogę wiedzieć? Przecież nie widziałam, stałam cały czas tutaj.

- Poczekaj, jeżeli nie wiesz, kto to był, to czemu nie utworzyłaś? I dlaczego wyglądałaś tak, jakbyś się bała?

- Bo bałam się naprawdę.

- Stara, w ten sposób do niczego nie dojdziemy! Spróbuj rozmawiać ze mną, jak z kimś bardzo tępym, żebym wreszcie zrozumiała. Zacznijmy od początku: dlaczego nie otworzyłaś?

- Bo się bałam.

- Ślicznie, to już wiemy. A dlaczego się bałaś?

- Myślałam, że to Tony.

Tyna wciągnęła głęboko powietrze. Należało przyjąć jedną z dwu możliwości: albo jest to kawał - a wiadomo, że Ewa zawsze uwielbiała różne sztuczki, na przykład nikt tak świetnie jak ona nie mdlał, aby ożywić nieco nudny wykład - albo jest to prawda. Tertium non datur. I w jednym i w drugim wypadku nie ma sensu stać jak słup soli, należy wypuścić wodę z wanny, sprzątnąć po sobie i opuścić wreszcie ten uroczy różowy przybytek.

- No dobrze, już wszystko rozumiem: bałaś się Tony'ego, jasne jak słońce, ale już poszedł, więc możemy poruszać się normalnie, tak?

- Tak. To znaczy - nie. Bałam się Tony'ego, masz rację, ale dalej nic nie rozumiesz.

- Zatem wytłumacz mi wszystko po kolei.

- Jeszcze się udławisz jedzeniem, zaczekaj trochę.

- Jak uważasz.

Tyna szybko zjadła przygotowane kanapki, potem obie wzięły filiżanki z kawą i przeszły do pokoju Ewy, gdzie usadowiły się wygodnie na jej olbrzymim tapczanie.

- Weź poduszkę pod plecy. Chcesz papierosa?

- Dziękuję, mam swojego.

- Zwariowałaś! Chcesz cały pokój zapowietrzyć? Przecież te twoje papierosy śmierdzą, jakby się szmaty paliły!

- Ja nie czuję żadnego smrodu - broniła się Tyna.

- Dziwne, ty z tym twoim sławnym nosem! Może dlatego, że jesteś przyzwyczajona, ale zobaczysz, że po tygodniu niepalenia ich i ty poczujesz różnicę.

- Dobrze już, dobrze - zniecierpliwiła się Tyna - zaczynaj wreszcie!

Ewa pstryknęła zapalniczką, zaciągnęła się głęboko i już otwierała usta, gdy z hallu dobiegł odgłos zamykanych drzwi. Ewa momentalnie usiadła sztywno wyprostowana i zawołała w głąb mieszkania:

- Suzy, czy to ty?

- Nie, to ja, Pamela, wpadłam tylko na chwilę. - W drzwiach stanęła młoda, może dwudziestotrzyletnia dziewczyna w stroju pielęgniarki. - O, przepraszam, nie wiedziałam, że masz gościa...

- Chodź, chodź! To koleżanka z Polski, a to moja sublokatorka, Pamela. Pracuje tuż obok, w tym dużym szpitalu. Ona i jej przyjaciółka, Suzy, wynajmują u mnie pokój, wspominałam ci, ten, w którym wyście mieli...

- Przepraszam, ale wpadłam tylko, żeby coś zabrać, muszę zaraz wracać do pracy. Cześć, do wieczora!

- Cześć, a nie flirtuj za bardzo z tym hinduskim lekarzem!

- Ciągle ze mnie żartujesz! - obruszyła się Pamela, otwierając drzwi do swego pokoju.

- Bardzo miłe dziewczyny. Mieszkają już dwa miesiące i nie mogę narzekać. Przed nimi był taki kostiumolog, Gordon, ale musiałam się z nim rozstać po trzech miesiącach. Też miły chłopak, cóż kiedy zainteresowania miał - jakby to określić - zadeklarowane w kierunku męskim... Przyjmował dosyć dziwne wizyty, parę razy urządzał małą popijawę -

nie miałam ochoty tego tolerować. I tak mu się udało! Angielka wyrzuciłaby go w ciągu tygodnia. Ale to nie przeszkadza, że jesteśmy nadal w dobrej komitywie i spotykamy się na gruncie towarzyskim, bo chłopak, poza tym mankamentem (jeżeli można to tak określić), jest miły i całkiem niegłupi.

- Pam, zamknij za sobą dobrze drzwi!

- Oczywiście!

- Z tego wynika, że zaczęłaś wynajmować ten pokój jakieś pół roku temu, prawda? Bo o ile dobrze pamiętam, w czasie mego zeszłorocznego pobytu nie miałaś lokatorów.

- Uhum. Zaczęłam wynajmować, kiedy wyrzuciłam Tony'ego z domu.

- Kiedy co zrobiłaś?

- Rozmawiamy po polsku, a dykcję mam, zdaje się, niezłą i mówię wyraźnie: kiedy wyrzuciłam Tony'ego z domu.

- Chcesz przez to powiedzieć, że wyrzuciłaś z domu własnego męża?

Ewa zrobiła jakiś nieokreślony grymas.

- That's right, z jednym małym zastrzeżeniem: to nie był mój mąż.

Przez ułamek sekundy panowała głupia cisza, wreszcie Tyna wstała, gasząc niedopałek w popielnicze.

- Czuję, że zanosi się na sensacyjne zwierzenia. Pozwól, że zanim zaczniesz tę fascynującą opowieść, zrobię sobie jeszcze kawę, żeby potem już się nie kręcić.

- Przy okazji zrób i dla mnie. Puszka stoi na środkowej półce, tam gdzie zawsze.

- Wiem, wiem, zaraz wracam.

I Tyna pomaszerowała do kuchni, zapaliła gaz pod czajnikiem, wypłukała obie filiżanki, potem wsypała na dno każdej z nich trochę kawy, a wiedząc z doświadczenia,

że żaden imbryk z wodą, nad którym się stoi wyczekując, nie chce się szybko zagotować, wyszła z kuchni i ruszyła korytarzem w stronę pokoju Ewy. Kiedy mijała po lewej stronie otwarte szeroko drzwi, wydało jej się, że coś puknęło w okno, znajdujące się w głębi łazienki dokładnie naprzeciwko tych drzwi. Podniosła oczy i wrzasnęła z przerażenia: z tamtej strony szyby widniała czyjaś rozplaszczona twarz.

Okno w łazience wychodziło na ślepią ścianę sąsiedniego budynku, w związku z tym było matowe jedynie do połowy. Teraz nad tą matową dolną połową widać było coś, co niewątpliwie było ludzką twarzą, mocno przyciśniętą do szkła.

- Co się stało, na litość boską! - krzyknęła Ewa, biegnąc na ratunek.

- Tam... tam... - zdołała wyjąkać przerażona Tyna, wskazując okno, za którym nie było już nikogo.

- Co „tam”? Uspokój się i powiedz wyraźnie, co się stało!

- Pomyślisz, że zwariowałam. Wiem, że to drugie piętro, ale tam, za oknem, ktoś był, ktoś zaglądał do środka, widziałam, tak jak ciebie widzę w tej chwili!

- A to drań! - rzuciła przez zęby Ewa. - Poznałaś go? Bo to był mężczyzna, prawda?

- Tak, na pewno mężczyzna, ale nie znam go, zresztą nie wiem, twarz była tak zdeformowana przez rozplaszczanie na szybie... Przestraszyłam się, to było zbyt nieoczekiwane... Jak on tam wlaź?

- Podejdź bliżej. Widzisz? Tu z boku są schodki przeciwpożarowe. Po prostu stojąc na nich wychylił się i przytrzymał jedną ręką za framugę, aby nie spaść.

- Masz rację, chyba tak to musiało być... Tylko... wyłtu-macz mi, po co ten ktoś tu wlaził. Kto to był? Podglądacz łazienkowy? Seks-maniak?

- Och nie, moja droga! To był... to na pewno był Tony.

- Oszalałaś?

- Niestety nie, chociaż tak może się wydawać. Przypuszczam, że wdrapał się na okno, w głębi korytarza zobaczył ciebie ubraną w mój szlafrok, a że sylwetki i wzrost mamy podobne, myślał, że to ja... W pierwszej chwili pewnie nie zwrócił uwagi na twoje jasne włosy. Przypuszczam, że zawołał coś albo stuknął w szybę, wtedy spojrzałaś wprost na niego i wrzasnęłaś, a on zorientował się w swej pomyłce i zanim nadbiegłam, uciekł tą samą drogą, którą przyszedł.

- To brzmi prawdopodobnie, z tym tylko, że wciąż nie rozumiem, dlaczego Tony miałby wdrapywać się po drabinie przeciwpożarowej, zamiast wejść normalnie przez drzwi?

- Bo wie doskonale, że go nie wpuszczę.

- To jeszcze nie powód! A w ogóle skąd wiesz, że to był on?

- Stąd, że raz już mi złożył podobną wizytę. No dobra, chodźmy zrobić tę kawę, bo się w końcu woda wygotuje. Myślę, że na dzisiaj będziemy miały spokój, przekonał się, że w domu jest ktoś obcy.

- Zatem, zaczynając od początku: poznałam Tony'ego na jakimś przyjęciu, na które zabrali mnie Johnstonowie, wiesz, ten reżyser filmowy, z którym często pracuję, i jego żona. Nie pamiętam, z jakiej ono było okazji, a może w ogóle bez okazji - dosyć, że była tam cała masa nie znanych mi ludzi. Ken i Frances zostali zagarnięci przez znajomych, a ja stałam z drinkiem w ręku, uśmiechając się trochę głupio. I wtedy zobaczyłam Tony'ego, który stał po przeciwnej stronie pokoju, niemal w identycznej pozie, z równie głupim uśmiechem. Wyglądało na to, że i on zna niewiele osób.

Kiedy zobaczył, że mu się przyglądam, ruszył w moim kierunku, wymijając po drodze grupki rozmawiających. Potem uklonił się i powiedział coś niesłychanie odkrywczego, w rodzaju: pani pozwoli, że się przedstawię, widzę, że oboje jesteśmy tu nieco obcy... czy coś w tym sensie, no i tak się zaczęło. Tony umie się podobać, gdy zechce, a wtedy wyraźnie chciał mnie oczarować i udało mu się to w stu procentach. Zresztą wiesz, że zawsze miałam słabość do wysokich blondynów...

Potem postawiliśmy to całe przyjęcie i pojechaliśmy do jakiegoś baru na drinka, a jeszcze potem chodziliśmy po ulicach, no i jak zwykle w takich wypadkach opowiedział mi rzewną historię swego życia. Nosił nazwisko jednego ze starych szkockich rodów, obecnie nieco podupadłego, i marzył o wskrzeszeniu jego dawnej świetności, o wykupieniu w dalekiej Szkocji rodzinnego zamku i odrestaurowaniu go, miał tysiące projektów i planów... Osierocony w wieku czternastu lat, wychował się w domu dalekiego kuzyna, sir Henry'ego R... Dzięki jego pomocy ukończył studia, bodajże chemię, i do chwili obecnej mieszkał u niego w jednej z tych dzielnic, w których dobrze urodzonym ludziom mieszkać wypada...

Od tego wieczora zaczęły się nasze prawie codzienne spotkania. Wszystko potoczyło się normalnym trybem - byłam oczarowana i zakochana.

Wreszcie, z zachowaniem należnych form, Tony oświadczył mi się. Oświadczył mi się, a ja odmówiłam. Wtedy sądziłam, że robię to z wielkiej miłości do niego, dzisiaj myślę, że odezwał się mój instynkt samozachowawczy. Tony jest ode mnie młodszy o dziesięć lat, nie wiedziałam tym, prawda? Powiedziałam ci, że o trzy... Podobno wiek nie gra roli, kiedy ludzie kochają się naprawdę, tylko... Jak można poznać, czy ta właśnie miłość jest prawdziwa, zwłaszcza w pierwszym okresie wzajemnego



zaczadzenia? Uważam, że najlepszym sprawdzianem jest czas. Żadne z moich poprzednich małżeństw nie przetrzymało tej próby... Chciałam oszczędzić Tony'emu rozczarowań, obawiałam się, że jego uczucie może być chwilową zachcianką, bałam się, że za rok czy dwa ocknie się uwiązany do starej baby...

No, więc nastąpił szereg burzliwych scen. Ja odmawiałam, Tony przysięgał, groził samobójstwem, jednym słowem: melodramat na dwadzieścia cztery fajerki!

Wreszcie zawarliśmy następującą umowę: zgodziłam się na wspólne mieszkanie przez dwa lata, a gdyby po tym okresie jego uczucia nie uległy zmianie, mieliśmy się pobrać. Jak na ironię - co do trwałości swoich uczuć nie miałam żadnych wątpliwości. Znajomych powiadomiliśmy o cichym ślubie, było trochę dąsów towarzyskich, ale szybko minęły, jak wiesz, nikt tu nosa w cudze sprawy nie wtyka. W sumie - przyjęto za dobrą monetę to, cośmy do ogólnej wiadomości podali. I wszystko było znakomicie. Chciałam, żeby Tony wiedział, że jest wolny, że żadna więź prawna go przy mnie nie trzyma.

Wynajęłam mieszkanie, tak, to właśnie - na całe moje szczęście ja je wynajęłam, jest na moje nazwisko - a kiedy spotkałyśmy się w zeszłym roku, żyliśmy już pod jednym dachem od trzech miesięcy. Powiedziałam ci, jak wszystkim, że Tony jest moim mężem i uwierzyłaś, bo nie miałaś powodu nie wierzyć.

- Wyglądaliście na bardzo szczęśliwych...

- I byliśmy szczęśliwi. To znaczy - ja byłam, bo jeżeli chodzi o niego, niczego już nie jestem pewna. Nie wiem, czy wszystko od samego początku nie było jedną wielką komedią, której celu zresztą nie umiem odgadnąć. Między innymi dlatego też staram ci się całą historię opowiedzieć możliwie dokładnie, może ty, jako osoba stojąca z boku, nie zainteresowana bezpośrednio, prędzej będziesz umiała

wydać właściwy sąd. Ja jestem kompletnie zagubiona...

Niedługo po naszym niby-ślubie złożyliśmy wizytę opiekunowi Tony'ego. Jest to pan w wieku gdzieś sześćdziesięciu lat, ale świetnie zakonserwowany jak na te lata. Pałacyk, służba, antyki... Zostałam przyjęta uprzejmie, acz bardzo chłodno. Nie umiem sprecyzować, na czym konkretnie to polegało, ale wyczuwałam w stosunku do siebie, irytację połączoną z pobłażliwą pogardą. Cholernie skomplikowane to, co mówię, ale nie umiem tego inaczej określić.

Odnosiłam wrażenie, że sir Henry traktuje mnie jako dziwny okaz ropuchy, nieszkodliwej wprawdzie, ale dostatecznie oślizłej, aby usprawiedliwić uczucie obrzydzenia. W jego stosunku do Tony'ego wyczuwałam lekceważenie zmieszane z rozbawieniem.

Były to oczywiście wyłącznie moje wrażenia, nie poparte absolutnie żadnymi faktami. Nie zdarzyło się ani nie zostało powiedziane nic takiego, co mogłoby tłumaczyć moje odczucia. A jednak... Kiedy tylko opuściliśmy dom sir Henry'ego, powiedziałam Tony'emu o swych wrażeniach, wyrażając nadzieję, że nie będziemy zmuszeni do częstego tam bywania. Tony przyglądał mi się chwilę bez słowa, a potem powiedział, że jestem przewrażliwiona, że coś sobie uroiłam, że bardzo wiele zawdzięcza temu człowiekowi - tak się wtedy wyraził „temu człowiekowi” - i że oczywiście skoro nie chcę, nie muszę tam bywać, on jednak czuje się w obowiązku przynajmniej raz w tygodniu odwiedzić sir Henry'ego.

Pomyślałam wówczas, że Tony trochę przesadza z tymi cotygodniowymi odwiedzinami, ale ostatecznie była to wyłącznie jego sprawa.

Z sir Henrym spotkałam się jeszcze raz, chyba już po twoim wyjeździe z Londynu. Mianowicie któregoś wieczora

wybraliśmy się z Tonym na obiad do Soho i kiedy już siedzieliśmy przy stoliku, wśród sir Henry w towarzystwie dwóch mężczyzn. Oczywiście Tony natychmiast poderwał się i zaprosił całe towarzystwo do naszego stolika. Sądziłam, że spotka się z grzeczną odmową, ale nie, zaproszenie zostało przyjęte.

Tego wieczora sir Henry był jakby nieco przychylniej nastawiony do mnie, chociaż nadal odnosiłam wrażenie, że bacznie obserwuje wszystkie moje poczynania. W sumie wieczór był jednak udany, głównie chyba dzięki towarzyszom sir Henry'ego. Zwłaszcza Chris, Amerykanin od niedawna przebywający w Londynie, był nader sympatyczny. Wydawał się bardzo zainteresowany Polską i jej sprawami, kiedy coś tam się zgadało na temat mojej narodowości. Ma w Stanach bogatego ojca czy ojczyma, zresztą na pewno go poznasz, bardzo miły chłopak, oczywiście Chris, nie ojczym.

Drugi mężczyzna był Egipcjaninem o egzotycznym imieniu Aszraf, nieprzyzwoicie przystojnym, wiesz, z tymi ich olbrzymimi, migdałowymi oczami. Obaj mogli mieć jakieś trzydzieści cztery, pięć lat i z obydwoma się później zaprzyjaźniłam. Do dzisiaj często się spotykamy, chociaż już bez Tony'ego...

Wtedy, w restauracji, pomyślałam, że sir Henry lubi otaczać się młodzieżą, bo w porównaniu z nim Aszraf i Chris byli bardzo młodzi.

Jak już mówiłam, wieczór był całkiem udany i bawiłam się nieźle. Kiedy wychodziliśmy, Tony gdzieś się zapodział w szatni. Chris podawał mi okrycie, żartowaliśmy i wtedy nagle zobaczyłam Tony'ego, który stał za filarem, rozmawiając ze swoim krewnym. Wyglądał tak, jakby się z czegoś tłumaczył albo o coś prosił. Sir Henry uciął to niecierpliwym gestem i odchodząc, rzucił mu głośno przez ramię: „Przestałeś być zabawny, nie licz na mnie więcej..”

Towarzyszyl temu bardzo nieprzyjemny śmieszek.

Zaraz też obaj podeszli do nas, do mnie i Chrisa, bo Aszraf kupował chyba papierosy, znów zaczęła się jakaś błaża rozmowa, a w chwilę później rozstaliśmy się.

W domu, kiedy już leżeliśmy, powiedziałam Tony'emu, że słyszałam, jak go sir Henry niegrzecznie potraktował i zapytałam, o co chodziło.

Odpowiedzią na moje pytanie był ordynarny wrzask, że on nie życzy sobie, żeby takie idiotki jak ja wtykały nos w jego sprawy. Po czym zabrał koc, poduszkę i poszedł spać do tego pokoju, który teraz zajmuje Pamela.

Zostałam kompletnie ogłupiała i tak zaskoczona, że nie byłam w stanie słowa z siebie wykrztusić.

Tony, ten czuły Tony o doskonałych manierach, którego nigdy nie słyszałam mówiącego podniesionym głosem, raptem zachował się jak ordynus. Nawet zakładając, iż rzeczywiście wtrąciłam się w nie swoje sprawy, reakcja była niewspółmierna do mojej przewiny. Byłam przerażona, nie tylko tym nieoczekiwanym zachowaniem, ale bardziej jeszcze ujawnieniem się Tony'ego, jakiego istnienia nigdy nie podejrzewałam.

Prawie całą noc przepłakałam. Rano oczywiście sprawa uległa załagodzeniu, przeproszał mnie na klęczkach, tłumaczył, że to wina alkoholu, były kwiaty, łyżki, przysięgi - jak w teatrze. Wszystko zostało przebaczone, wróciła poprzednia sielanka, ale jednak pojawiła się pierwsza rysa. Potem było ich coraz więcej i więcej.

Kiedy rozpoczynaliśmy nasze wspólne życie, Tony nigdzie nie pracował. Jak początkowo mi tłumaczył, zrezygnował właśnie z niezłej posady i rozglądał się za czymś godniejszym siebie. Miałam odłożoną jakąś tam sumę, oczywiście raczej skromną, i z niej czerpałam na urządzenie nas tutaj, a że jednocześnie kręciłam u Kena, spodziewałam się

dopływu gotówki w najbliższym czasie. Dopiero gdzieś po miesiącu zorientowałam się, że Tony nawet palcem nie ruszył, żeby znaleźć pracę. Zapytałam go, jakie studia właściwie ukończył, no i po długim kluczeniu, zagłądaniu mi w oczy, upewnieniach, że nie będę się gniewała, wreszcie się dowiedziałam, że żadne. Owszem. Studiował architekturę, potem był na historii, potem zahaczył o chemię - bodaj że tam wytrzymał najdłużej, aż rok cały - ale niczego nie ukończył. Wcześniej nie miał odwagi powiedzieć mi o tym, bo mogłabym go nie zechcieć. Rozkoszne chłopię, nie uważasz?

Próbowałam go nakłonić, żeby poszukał jakiegokolwiek posady, z czegoś przecież trzeba żyć! Wiesz, jak tu jest, możesz kręcić film po filmie, a możesz być bez pracy pół roku albo i dłużej, wtedy trzeba żyć z odłożonego kapitału. Tu nie Polska, gdzie aktor ma w teatrze stały etat i czy gra, czy nie gra, pensja leci, tutaj aktorka angażuje się do sztuki, a po jej wygraniu - bye-bye! Trafisz na sztukę, która ma powodzenie - twoje szczęście; jeżeli po tygodniu zejdziesz z afisza - szukaj pracy, od nowa. Oczywiście, gwiazdorzy zawsze mają co robić, ale w końcu ilu w Londynie jest gwiazdorów? Wszyscy „średni” aktorzy, a nawet powyżej średniej, dobrzy i bardzo dobrzy, nie mają stale zapewnionej pracy. Tylko National Theatre i Royal Shakespeare Company mają pewną ilość stałych etatów.

No więc nasze niebo zaczęło się zachmurzać. Coraz częściej dochodziło do sprzeczek, ale ciągle jeszcze wszystko było właściwie w normie, ot, normalne docieranie się dwójga ludzi. Wreszcie Tony dostał posadę w fabryce jakichś chemikaliów, przydał mu się ten rok studiów. Nie było to żadne olśniewające stanowisko, ale zawsze coś. Za pierwszą tygodniową wypłatę przyniósł do domu moją ulubioną miomę, czym oczywiście ogromnie mnie wzruszył. Był

szampan i w ogóle pełnia szczęścia. W jakieś dwa dni później przyszedł pierwszy list.

Byłam umówiona w mieście z moim agentem o wpół do dziesiątej, Tony chodził do pracy na dziewiątą, wstałam więc trochę wcześniej, żeby zjeść razem z nim śniadanie. Przeglądałam poranną pocztę i podczas gdy on był zaabsorbowany jakimś prospektem reklamowym znalazłam raptem list zaadresowany „Mister Antony Fly”, co w przekładzie na polski brzmi: „Pan Antoni Mucha”. Powiedziałam coś w rodzaju:

- Popatrz, Tony, listonosz przez pomyłkę wrzucił nam cudzy list.

- Jeżeli sąsiadów, to żaden kłopot - odparł mój ukochany.

- Nie, jest zaadresowany do pana Muchy, a nikt o tym nazwisku nie mieszka w naszym domu - wyjaśniłam i wydało mi się, że Tony zeszywniał.

Po chwili wyciągnął rękę mówiąc, żebym dała mu ten list, a on go powtórnie wrzucił do skrzynki.

- Na kopercie jest nasz dokładny adres, więc wróci do nas - stwierdziłam, na co Tony odparł:

- No to przekreślę adres, napisze, „pomyłka” i odeślę do nadawcy.

Obróciłam kopertę w ręce - nie było nadawcy. Wreszcie Tony wyrwał mi list i wsadził go do kieszeni, mówiąc, żebym sobie nie zwracała głowy, on się tym zajmie.

W tydzień później nadszedł drugi list, identycznie adresowany, a nieco później jeszcze jeden. Ten ostatni przyniesiono z południową pocztą, Tony właśnie wpadł do domu na lunch. Powiedziałam coś w tym sensie, że trzeba porozmawiać z listonoszem - nikt o tym nazwisku nie mieszka tu przecież - i wtedy Tony dostał szału. Nie da się tego inaczej określić: zmiotł ręką nakrycie ze stołu, kopniakiem przewrócił krzesło, wrzeszcząc jednocześnie, że jestem

skończoną idiotką, co ma listonosz do rzeczy, kretynka z Polski, kretynka, kretynka...

Oczywiście, później były przeprosiny i parę dni idylli, potem znów zaczęły się mniejsze i większe starcia, właściwie nie wiadomo o co. Tony był coraz częściej rozdrażniony i z byle powodu wybuchał gwałtownie, ale postanowiłam w ogóle nie reagować - wychodziłam do drugiego pokoju i czekałam, aż mu przejdzie.

Niestety, Tony nie mógł obejść się bez widzów, wędrował za mną i szalał dalej w mojej obecności. Coraz częściej zastanawiałam się nad tym, że naprawdę nie widzę dla nas wspólnej przyszłości. W atmosferze ciągłych awantur moje uczucie stygło, a może to w ogóle nie było uczucie? Tak dociągnęliśmy do świąt Bożego Narodzenia i do Nowego Roku. W styczniu nastąpił ostateczny krach.

Naprawdę nie pamiętam, o co poszło tym razem, zapewne o jakiś nieistotny drobiazg, jak zwykle w tym okresie. Zaczęło się w kuchni, przy kolacji, i kiedy Tony trzasnął swoim talerzem o podłogę, podniosłam się z krzesła, żeby wyjść.

Uderzył mnie, krzycząc, że mam siedzieć i słuchać, co on ma do powiedzenia. Tego już było za wiele - wypadłam z pokoju, ale pobiegł za mną. Usiłowałam zatrzaskać drzwi, przekręcić klucz w zamku, oczywiście okazał się silniejszy. Wpadł i rozwścieczony do ostateczności zaczął mnie dusić.

Tyna, przysięgam ci, nie koloryzuję. Złapał mnie obiema rękami za gardło i ścisnął z całej siły, wrzeszcząc jednocześnie, że mnie zabije. To było potworne. Usiłowałam oderwać jego dłonie od szyi, wierzgałam, próbowałam kopać, ale stawałam się coraz słabsza. Miałam przed sobą szaleńca z oczami nabiegłymi krwią i nie wiem, czym by się to

skończyło, gdyby nie telefon. W chwili, kiedy zaczęły mi wirować przed oczyma czerwonożłote plamy, odezwał się ostry dzwonek. Podziałał na Tony'ego jak wstrząs elektryczny: znieruchomiał na moment i rozluźniając chwyt na moim gardle obejrzał się odruchowo w stronę telefonu.

Korzystając z tej chwili nieuwagi, wyrwałam się i potykając o własne nogi, rzuciłam do ucieczki. W ostatniej chwili, kiedy otwierałam już drzwi wyjściowe, złapał mnie za rękę, ale udało mi się wyszarpnąć i wypadłam na schody. Tam byłam bezpieczna. Już mnie nie gonił. Mimo to w przerażeniu zbiegałam po dwa stopnie naraz, aż znalazłam się na ulicy. Nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić, skręciłam w Lexham Gardens i półprzytomna, bez tchu, dopadłam mieszkania Ann, właśnie tej, którą dziś poznałaś. Ann jest Szwajcarką i może dlatego łatwiej mi z nią o pewnych sprawach mówić... Wiesz, Anglicy są tacy zamknięci... no, nieważne.

I Ann, i jej mąż przerazili się na mój widok. Wyobrażasz sobie zresztą, jak musiałam wyglądać. Bez płaszcza, w domowych pantoflach pełnych śniegu, rozczochrana, w rozdartej sukience, z rozciętą, gwałtownie puchnącą wargą... A na drugi dzień doszły jeszcze sińce na szyi i wszystkie kolory tęczy pod podbitym okiem - coś prześlicznego!

Zajęli się mną niezwykle serdecznie i zaofiarowali nocleg w swoim domu. Była to koszmarna noc. Zrywałam się przerażona, ciągle zdawało mi się, że Tony znów chwytą mnie za gardło.

Rano o ósmej, zanim Tony wyszedł do pracy, Ann poszła do mnie do domu, powiedziała mu, że zostanę jeszcze u nich i przyniosła mi coś do przebrania się, buty, płaszc, torebkę z kluczami. Wiedziałam, że tym razem nie ma się co ludzić - koniec. Miałam do czynienia z człowiekiem



nieobliczalnym, może nawet chorym.

Po wyjściu Tony'ego do pracy zadzwoniłam do siebie, do domu. Sygnał w telefonie brzęczał długo i monotonnie, nikt nie podchodził odebrać, uznałam więc, że Tony wyszedł. Ann ofiarowała się dotrzymać mi towarzystwa, ale podziękowałam jej. Dostatecznie dużo już dla mnie zrobiła, reszta była wyłącznie moją sprawą.

- Gdyby coś zaszło, zadzwoń albo najlepiej od razu wracaj tutaj! - powiedziała mi na pożegnanie.

Obiecałam solennie, że w każdym wypadku zadzwonię do nich wieczorem i wyszłam.

Z bijącym sercem otworzyłam drzwi swego mieszkania. Nic, cisza. Nikogo nie było. Nie rozbierając się obeszłam całe mieszkanie. W kuchni, na podłodze, leżały skorupy potłuczonych talerzy i szklanek, istne pobojowisko. Wszystko, co było w kredensie, zostało wyrzucone i zniszczone, absolutnie wszystko. Na stole leżał nie dojezdzony kawałek chleba z szynką i stał aluminiowy rondel z kawą - widocznie resztki śniadania Tony'ego. Tapczan oczywiście rozgrzebany, ale w pokojach nic nie było zniszczone.

Zawróciłam do przedpokoju, założyłam w drzwiach łańcuch, zdjęłam płaszcz, a potem wyciągnęłam ze schowka dwie walizki i spokojnie, metodycznie, zapakowałam do nich wszystkie rzeczy Tony'ego, a z tego, co się nie zmieściło, zrobiłam niewielką paczkę i obwiązałam sznurkiem. Kiedy już się z tym uporałam, napuściłam do wanny wody i wzięłam kąpiel, starając się nie myśleć absolutnie o niczym. Potem leżałam na tapczanie, trochę drzemałam, trochę gapiłam się w sufit. Na jakiś kwadrans przed zwykłą porą powrotu Tony'ego z pracy wstałam, wystawiłam na schody obie walizki i paczkę i na powrót zamknęłam drzwi na łańcuch. Usiadłam w hallu i czekałam.

Słyszałam, jak jeździ winda, w końcu zatrzymała się na naszym piętrze, trzasnęły drzwi, potem kroki. Zatrzymał się - pewnie na widok walizek - znów ruszył, wetknął klucz w zamek... Drzwi otworzyły się, ale tylko na tyle, na ile pozwolił łańcuch. Zanim zdążył się odezwać, podeszłam do szpary i powiedziałam bardzo spokojnie, chociaż cała dygotałam:

- Po tym, co zaszło, uważam nasze sprawy za zakończone. Wszystkie rzeczy masz zapakowane, gdybym jednak coś przeoczyła, odeślę ci na twój dawny adres do sir Henry'ego. Bądź łaskaw oddać mi klucze.

Stał tam, po drugiej stronie,, z niezbyt mądrą miną, wreszcie wybąkał:

- Nie mówisz chyba tego poważnie...

A kiedy milczałam, powiedział wzruszając ramionami:

- Dobrze, mogę się wynieść, skoro chcesz tego. Ale ja tu wrócę, zobaczysz, sama mnie poprosisz. Jak się namyślisz, wiesz, gdzie mnie szukać.

Pochylił się, by unieść walizki.

- Oddaj mi klucze.

Wyprostował się z uśmiechem rozbawienia, powiedział krótko „a gówno” i odszedł do windy.

Zatrzasnęłam za nim drzwi i stałam chwilę oparta o nie plecami, głęboko oddychając. Słyszałam, jak podjechała winda, jak do niej wsiadł i zjechał na dół.

Byłam trochę zaskoczona: więc to tak odbyło się rozstanie dwojga ludzi, którzy kiedyś chcieli przeżyć razem całe życie? Tych parę zdań, do policzenia których starczyłoby palców jednej ręki, i to już wszystko? Spodziewałam się ze strony Tony'ego jakichś protestów, prób wyjaśnienia, nawet nowego wybuchu wściekłości - a tu wszystko poszło tak szybko i łatwo...

Zatelefonowałam do Ann i zdałam jej dokładną relację. Potem poszłam do kuchni i zaczęłam robić porządk.

Starczyło mi zajęcia do północy. Potem zrobiłam sobie kawę i kiedy siedziałam, popijając ją powoli, usłyszałam jakieś szmery. Zamarłam w bezruchu, dosłownie przestałam oddychać... Szmery powtórzyły się. Powoli, starając się iść jak najciszej, wyszłam na palcach z kuchni i stanęłam w hallu. Z zewnątrz ktoś starał się po cichu włożyć klucz w zamek.

Stałam jak sparaliżowana, wydawało mi się, że zemdleję z przerażenia, jeszcze moment, a on wejdzie tu, znów chwyci mnie za gardło, i tym razem już mu się nie wyrwę.

Klucz z cichym trzaskiem obrócił się w zamku. Drzwi uchyliły się trochę i stop - dalej nie pozwalał łańcuch. Sekundę panowała cisza, potem Tony bluznął stekiem przekleństw i usłyszałam tupot jego nóg po schodach.

Po raz drugi tego dnia zamknęłam za nim drzwi.

Tej nocy spałam bardzo długo. Kiedy się obudziłam, była chyba jedenasta. Usiadłam na tapczanie, mając jeszcze pod powiekami resztki snu. Nawet nie wiem dokładnie, co mi się śniło, tyle że był tam Tony i jakaś bardzo błękitna woda, i słońce i było nam tak dobrze... Już niemal odwracałam głowę, żeby powiedzieć: kochanie, wiesz, śniłeś mi się - kiedy raptem uświadomiłam sobie wszystko, co zaszło, i dopiero wtedy rozryczałam się na cały głos. Wiesz, to był taki mój wielki, pożegnalny płacz. I muszę ci powiedzieć, że bardzo mi ulżyło.

Potem zadzwoniłam, żeby przysłano kogoś, kto zmieni mi zamki w drzwiach, kazałam też założyć dodatkową zasuwę i w ten sposób klucze Tony'ego straciły przydatność.

W końcu poszłam do Selfridge'a i zafundowałam sobie nową sukienkę - w złych chwilach nic tak nie poprawia damskiego samopoczucia jak nowy ciuch.

Tony odezwał się dopiero następnego popołudnia, musiał widocznie podczas mojej nieobecności stwierdzić bezużyteczność swoich kluczy, wobec czego zatelefonował. Wydzwaniał potem do mnie jeszcze parokrotnie, twierdząc, że nie może beze mnie żyć, dwa razy czyhał pod domem, ale nie ośmielił się wejść, bo zagroziłam, że wezwę portiera.

Gdzieś w dwa tygodnie po całej awanturze usłyszałam dzwonek przy drzwiach wejściowych. Mieszkał już wtedy u mnie Gordon, więc otworzyłam bez obaw. Za drzwiami stała kobiecina w średnim wieku. Mocno zakłopotana spytała, czy zastała Tony'ego. Powiedziałam, że nie, że już tu nie mieszka. Wydawała się ogromnie zmartwiona tą wiadomością, stała, nie wiedząc co zrobić, wreszcie nieśmiało spytała, czy mam może jego adres. Wpuściłam ją do środka, poprosiłam, żeby usiadła i sięgnęłam po spis telefonów. Kobiecina siedziała na brzeжку fotela skubiąc nerwowo torebkę, wyglądała tak, jakby zbierała cały swój zasób odwagi. Wreszcie przemogła nieśmiałość i wyrzuciła z siebie:

- Ja przepraszam, wiem, że to nie moja sprawa, ale proszę mi powiedzieć, czemu Tony już tu nie mieszka? Czyście się rozeszli?

Byłam zaskoczona i zła.

- Tak, ja też uważam, że to nie pani sprawa!

Splotyła się jeszcze bardziej, zsunęła na brzeg fotela i ledwie dosłyszalnie wyszeptwała:

- Proszę się nie gniewać... Ja naprawdę przepraszam, ale... widzi pani, jestem jego matką. Przepraszam, że nie przedstawiłam się od razu.

W pierwszej chwili nie zrozumiałam.

- Czyją matką?

- No... Tony'ego.

Musiałam mieć bardzo głupią minę. Przecież Tony

powiedział mi, że jest sierotą, a poza tym jakież mógł być związek między tą prostą kobieciną a potomkiem starego szkockiego rodu?

- Ja nigdy bym się nie ośmieliła - mówiła dalej - ale stary miał wypadek i było już z nim bardzo źle. Napał się, że chce zobaczyć Tony'ego, więc napisałam do milorda, jak jest, ale mi zaraz odpisał, że Tony'ego już tam nie ma, bo się ożenił i mieszka ze swoją żoną. Napisałam więc tutaj, na ten adres, żeby przyjeżdżał, bo z ojcem źle, ale nie przyjechał. Wysłałam jeszcze ze dwa listy - bez rezultatu. Na szczęście stary jakoś się wylizał, tyle że żal w nim został do syna. Mówi, że Tony zawsze wstydził się rodziny, a teraz to już całkiem nas się wyparł, skoro nawet nie zawiadomił o swoim ślubie...

Mam jeszcze dwoje starszych, ale to zupełnie inne dzieci. Dobre dzieci...

No, więc jak Tony tak nie przyjeżdżał ani nie odpisywał, złościłam się, że może chory, może mu się coś stało i przyjechałam zobaczyć...

Słuchaj, miałam wrażenie, że ktoś zdzielił mnie pałką po głowie. Stałam ogłupiała, słuchając jej zajakliwego, nieśmiałego głosu i - niestety - ani przez sekundę nie miałam już teraz wątpliwości, że mówi prawdę. Wyparł się własnych rodziców, wolał powiedzieć, że nie żyją, byle nie być zmuszonym do przyznania się do tych prostych ludzi!

I powiedz - cóż to za siła, te nasze konwenanse! Mimo całej burzy kotłującej się w mojej głowie, zdobyłam się na promienny uśmiech i zaczęłam z wdziękiem pełnić honory pani domu. Przygotowałam coś do zjedzenia, zrobiłam kawę, częstowałam, zachęcałam i... słuchałam. Ponieważ nie bardzo mogłam zrozumieć rolę sir Henry'ego w życiorysie jej syna, zapytałam ją o to.

I cóż się okazało! Otóż milord - jak mówiła o nim matka

Tony'ego - miał posiadłość w pobliżu miejsca ich zamieszkania. Tony często pętał się tam po parku, zaglądał do okien, aż wreszcie zainteresował się nim sir Henry. Widocznie malec go bawił, bo odtąd ilekroć przyjeżdżał, posyłał po Tony'ego, zabierał go ze sobą na polowania, uczył grać w tenisa, aż któregoś dnia zaproponował rodzicom chłopca, że zabierze go do Londynu. Oczywiście w pierwszej chwili spotkał się z odmową, ale... Sir Henry był bezdzietnym wdowcem i do tego bogatym... Jak w bajce dla grzecznych dzieci. Rodzice pomyśleli, że może kiedyś wszystkie te pieniądze przypadną Tony'emu... A poza tym chłopiec miał szansę wyjścia ze swojej klasy, a wbrew pozorom te sprawy tu, w Anglii, ciągle się jeszcze liczą...

Tak więc Tony pojechał z wielmożnym lordem do Londynu, mieszkał w odpowiedniej dzielnicy, chodził do szkół, obracał się w odpowiednim towarzystwie, a od czasu do czasu - chociaż coraz rzadziej - odwiedzał rodziców.

W tej chwili ocknęłam się i przerwałam jej niezbyt inteligentnie:

- Zaraz, to znaczy, że sir Henry nie jest kuzynem Tony'ego?

Moja rozmówczyni wyglądała tak, jakby miała zamiar się przeżegnać.

- Kuzynem? Skądże! Gdzie nam do niego!

- Ale przecież - ciągnęłam dalej - przecież Tony nosi to samo nazwisko co sir Henry.

Teraz była już kompletnie przerażona.

- Boże drogi, ten chłopak zwariował! Może dla żartów milord pozwolił mu czasem używać swojego nazwiska, ale naprawdę Tony nazywa się tak jak my, dlaczego miałby inaczej! Pani z pewnością źle zrozumiała, przepraszam,

że tak mówię, ale... Więc on pani powiedział, że się nazywa...

Zaczęła płakać w chusteczkę, zupełnie załamana, gdy mnie nagle zaświtała pewna myśl i odrywając jej ręce od zapłakanej twarzy, zapytałam gorączkowo:

- A jak brzmi pani nazwisko?

Spojrzała na mnie przez łyzy zdziwionymi oczyma.

- A jakżeby, proszę pani, Mucha, nazywam się Mucha.

Dostałam napadu histerycznego śmiechu, a ona, nic nie rozumiejąc, patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami wystraszonego dziecka. Wreszcie uspokoiłam się - ale przynasz sama, że zaserwowano mi uderzeniową dawkę - i możliwie najogólniej opowiedziałam jej wszystko, oczywiście pomijając sprawę „uśmiercenia” jej i ojca. Słuchała niczemu się nie dziwiąc, czasem kiwała głową, a gdy skończyłam, powiedziała tylko:

- On zawsze był bardzo gwałtowny.

Potem wstała, obciągnęła fałdy spódnicy, wzięła swoją torebkę, podziękowała za lunch i poprosiła:

- Gdyby pani zobaczyła Tony'ego, proszę mu nic nie mówić, że tu byłam. Byłby bardzo zły na mnie, że wydałam jego sekrety. Dziękuję za adres syna, ale nie pójdę tam, lepiej będzie, jeżeli wrócę do domu.

I wyszła. A ja zostałam z kłębowiskiem myśli w otumanionej głowie.

W parę dni po wizycie jego matki, Tony znów czatował na mnie koło domu, potem zaczął mnie nękać telefonami. Któregoś dnia wdrapał się na schodki przeciwpożarowe i przeraził tak jak ciebie, dobijając się do okna w łazience. Kiedyś, wykorzystując nieuwagę portiera, zakradł się na schody i zaczął pod drzwiami mieszkania. Zaczął od błagań, a skończył na groźbach. Wykręcił mi ręce, szamotaliśmy się, zaczęłam krzyczeć, wybiegli sąsiedzi i oderwali go

ode mnie. Miałam już tej zabawy po czubek nosa - zadzwoniłam po policję, powiedziałam, że jestem niepokojona przez tego pana, że nie czuję się bezpieczna, opowiedziałam o schodkach przeciwpożarowych - i od tej pory zabroniono mu kręcić się w tej okolicy. Nie zmienia to jednak faktu, że widuję go tu od czasu do czasu, tyle, że nie ośmiela się do mnie podejść. Czasem idzie za mną, czasem tylko stoi i patrzy, ale ja wciąż czuję się niepewnie.

Ewa zamilkła. Dym z papierosa wznosił się szarawą spiralą, niebieszczył, rozwiewał. Zza otwartego okna dochodził świergot ptaków i nieco ściszony gwar miasta, lecz tu, w pokoju, panowało milczenie. Wreszcie, jakby odpowiadając na pytające spojrzenie, Tyna odezwała się wolno:

- Nie bardzo wiem, co o tym sądzić. Jest to historia tak nieprawdopodobna, że skłonna byłabym posądzać cię o jej wymyślenie, gdyby nie ta twarz w łazience...

- Tak - powiedziała wolno Ewa - ja też bym chciała, żeby to był jedynie wytwór mojej fantazji! Niestety...

- W każdym razie ja nic z tego nie rozumiem. Po co była ta komedia, jeżeli cię kochał? A jeśli cię nie kochał, tym bardziej nie mogę dopatrzeć się w tym sensu. Albo jest to po prostu człowiek o zachwianej równowadze psychicznej, albo kryje się w tym coś więcej, czego w tej chwili nie sposób odgadnąć. W każdym razie normalny to on nie jest. Rozumiem uczucie zagrożenia, które cię nęka, ale - pamiętaj! - nie jesteś sama. Jest Suzy i Pamela, i ja, a za parę dni przyjedzie jeszcze Maciek. Damy sobie radę, nawet gdyby tu wtargnął.

Żadnej z nich nie przyszło do głowy, że zło przyczajone w ukryciu, miało się zmaterializować przy jeszcze większej ilości osób.



## 2.

Było koło ósmej, gdy Ewa i Tyna wyszły z domu. Mimo wieczoru gwar miejski nie przycichł, wręcz przeciwnie, jakby się spotęgował. Po High Street Kensington śmigały sznury aut, zatrzymywały się niechętnie, zmuszone czerwonym światłem i znów rwały do przodu w niezrozumiałym wyścigu. Czasem wybił się ponad zgiełek i szum odgłos piszczących przy nagłym hamowaniu opon. Chodnikami ciągnęły barwne tłumy, kolorowe nie tylko strojem, ale i karnacją skóry. Dżinsy i sari, turbany Hindusów, kręcone włosy Murzynów i jasnoblonde głowy Skandynawów, mali Japończycy obok wysmukłych Malajów, wszystkie rasy i nacje światła przeplatały się, przenikały, mieszały, tworzyły specyficzną, londyńską mozaikę.

Obie kobiety powoli, nie śpiesząc się, skręciły w Lexham Gardens. Panował tu spokój, gwar miasta dochodził ściszony, szumiał jak muszla wspominająca ocean. Rzadko zapuszczały się tu samochody, aż dziw brał, skąd wzięty się tu wszystkie wozy zaparkowane gęsto przy krawężnikach. Można by było pomyśleć, że jest się w małym, sennym miasteczku, tak było tu cicho i spokojnie. To też jedna z londyńskich specjalności - oazy ciszy i spokoju, oddalone o paręset metrów od olbrzymich, rozpędzonych arterii wielkomiejskich.

Ann mieszkała, podobnie jak Ewa, na drugim piętrze. Otworzyła im, ledwie zdążyły nacisnąć dzwonek.

- Widziałam was z balkonu. Wchodźcie, wchodźcie! Małą już położyłam, będziemy mogli spokojnie pogadać.

Wizyta minęła w przyjemnej atmosferze. Pat, mąż Ann, wysoki, o pociągłej twarzy, z dwiema głębokimi bruzdami biegnącymi od nosa do kącików ust, przypominał Tynie

kogoś bliskiego, kto został w kraju. Też palił fajkę, wykonując przy tym niezliczoną ilość czynności i w zamyśleniu podobnie pocierał skroń palcem. Pewnie to podobieństwo sprawiło, że natychmiast poczuła do niego ogromną sympatię.

Oprócz gospodarzy byli tam jeszcze Jill i Davy. On, silnie zbudowany, wyglądał raczej na sportowca niż na poetę, którym był w rzeczywistości, ona, drobna, o kasztanowatych włosach, nie odznaczała się uderzającą urodą, ale rysy miała regularne i ujmujący sposób bycia. Pracowała w British Museum jako historyk sztuki i ku zaskoczeniu Tyny - z pochodzenia była Polką.

- Skąd więc imię Jill?

- Ojciec był Anglikiem, matka Polką - wyjaśniła Jill. - Poznali się w Szwecji, dokąd mama, wywieziona w czasie okupacji do obozu, trafiła w czterdziestym piątym roku przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Nikt z jej rodziny w Polsce nie pozostał przy życiu, wyjechała więc z ojcem do Anglii, tu się pobrali i tu przyszłam na świat. Matka miała jeszcze dwóch braci - jeden został rozstrzelany w czterdziestym drugim roku, drugi zaginął w kampanii wrześniowej. Odziedziczyłam po mamie piękne słowiańskie imię - Żeliszawa, ale tutaj nikt nie jest w stanie wymówić tego poprawnie, zostałam więc Jill. Pamiętacie choćby minę Chrisa, kiedy usłyszał moje właściwe imię? Myślałam, że mu się język na supełek zawiąże! Musiałam napisać je wyraźnie, drukowanymi literami, ale i wtedy nie dał sobie rady. Jill jest praktyczniejsza, chociaż bardzo lubię moje prawdziwe imię. Ja nawet trochę mówię po polsku, prawda Ewa?

- Nawet zupełnie przyzwoicie.

- A czy nigdy nie miałaś ochoty odwiedzić Polski? - pytała Tyna.

- Oczywiście, że miałam! W tym roku spędziłam tam cały kwiecień. Widziałam Kraków i Warszawę, i Zakopane -

to było naprawdę wielkie przeżycie.

Po powrocie do domu Ewa wraz z Tyną rozlokowały się w kuchni, szykując kolację.

- Ależ jestem głodna! Cały czas czekałam, kiedy dadzą coś do zjedzenia, a oni nic, tylko drinki i drinki!

Ewa zaczęła się śmiać.

- Moja droga, przecież Ann nie zapraszała nas na kolację! Powiedziała tylko, żebyśmy wpadły wieczorem, a to nie samo. To nie Polska, gdzie na widok gościa wyciąga się wszystko, co tylko w domu jest do zjedzenia. Inne obyczaje!

Kiedy już kończyły posiłek, zadzwonił telefon.

- Ki czort o tej porze? - zdziwiła się Ewa, podchodząc do aparatu umieszczonego na stoliczku w przedpokoju.

Okazało się, że dzwonił Walles, do którego przyjechał brat z Polski. Uparł się, że muszą wpaść do Ewy natychmiast, pomimo późnej pory, i nie sposób było wyperswadować mu tego pomysłu.

- No dobrze, ale tylko na godzinkę, ani minuty dłużej! - skapitulowała wreszcie Ewa.

Ledwie zdążyły pozmywać, kiedy zjawili się goście. Walles był mężczyzną po czterdziestce, średniego wzrostu, nie tyle może grubym, co pulchnym, ubranym starannie, ze złotym sygnetem na palcu. Miał nawet pewien „misiowaty” wdzięk, z którym klóciło się spojrzenie małych piwnych oczu, zimne i taksujące. Bez względu na to, co mówił i jak mówił, te oczy nie zmieniały prawie wyrazu. Sprawiało to niezbyt przyjemne wrażenie. Przynosząc którąś z rzędu kawę, Tyna usłyszała, jak mówił do Ewy:

- Mam takie swoje tanie źródło zakupu, nie muszę się martwić o surowiec, sam do mnie przyjdzie! - i zaczął się śmiać, jakby powiedział coś niesłychanie dowcipnego. Ten śmiech nie podobał się Tynie zdecydowanie, chociaż nie

umiałaby powiedzieć dlaczego.

Młodszy brat Wallesa, Staszek - albo Stanley, jak kazał na siebie mówić - był, zgodnie z własnym określeniem, „chłopakiem z Grochowa”. Co chwilę skubał zabójczy wąsik i robił niesłychanie uwodzicielskie miny w stylu aman-tów z przedwojennych filmów. Wyraźnie starał się olśnić Suzy, drugą z sublokatorek Ewy. Nic zresztą dziwnego, że dziewczyna wpadła mu w oko, gdyż była bardzo „sexy”. Ubrana zgodnie z dzinsową modą w obcisłe wranglery i haftowaną bluzkę z dużym dekoltem, wprost rwała oczy swoją urodą i świeżością.

W pewnym momencie Walles wpadł na pomysł urządzenia małego przyjęcia.

- Ewa, ale czy to mogłoby odbyć się u ciebie? Zwiozę wszystko, co każesz, tylko zajmijcie się tym. Nie ma jak damska ręka w tych sprawach, a was jest aż cztery, prędzej się uporacie niż dwóch samotnych mężczyzn.

Po krótkich oporach typu: „Zwariowałeś, jak będę chciała robić party, sama sobie poradzę!” - Ewa wreszcie wyraziła zgodę i umówili się na następną sobotę.

- Dzisiaj jest czwartek, właściwie już piątek, do przyszłej soboty powinien się zjawić i Maciek.

Ułożyli listę gości, obejmującą wszystkich obecnych plus Maćka i Chrisa.

- Oczywiście Ann i Pat.

- I Johnstonowie.

- No i Jill wraz z Davym. Aj, tylko nie wiem, czy Davy nie będzie w tym czasie w Paryżu, coś dzisiaj wspominał, że musi wyjechać na tydzień, może dłużej. Ale to nic, Jill może przyjść sama.

- Jeszcze Aszraf.

- I Gordon z Raymondem.

Walles skrzywił się nieznacznie.

- Tam się chyba coś popsulo, więc żebyśmy nie strzelili gafy. Może lepiej z nich zrezygnować?

- Dlaczego? Gordon to bardzo miły chłopak, niech przyjdzie sam.

Kiedy wreszcie zamknęły się drzwi za gośćmi, Tyna dosłownie leciała z nóg.

- Idę do siebie, Ewa, i tak nie będziemy już gadać przed zaścięciem!

- Dobranoc, śpij dobrze!

Wyciągnięta na swojej wąskiej kanapce Tyna poczuła się tak błogo i szczęśliwie, jakby tonęła w najwygodniejszych puchach. Obróciła się na bok, podkuliła kolana pod brodę i w tej ulubionej pozie smacznie zasnęła.

W poniedziałek wieczorem zjawił się Maciek. Tyna właśnie moczyła się w wannie, wydmuchując w pianie dziurki i bańki na przemian, kiedy rozległ się jeden dzwonek, potem drugi, trzeci, wreszcie energiczne pukanie.

- Ewa, otwórz przez łańcuch, to chyba nie Tony! Może Maciek przyjechał?

- I rzeczywiście! - krzyknęła Ewa od drzwi. - Wyłaż z wanny!

Nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Niedokładnie wytarta, ociekając wodą, z kępką piany nad okiem, Tyna rzuciła się do hallu.

- Trafiałeś bez kłopotu? Kiedy wyjechałeś z Polski? Głodny jesteś? Może chcesz się najpierw umyć? Jak się czuje Urban, czy bardzo tęskni? - Urban był najpiękniejszym psem wszechczasów, bassetem, zostawionym w kraju.

- Zaraz, chwileczkę... - bronił się słabo Maciek. - Daj mi odsapnąć, potem udzielę odpowiedzi na wszystkie pytania! Powiedz, Ewa, czy ona cały czas tyle gada?

- Raczej nie, dopiero twój widok wywołał ten potok słów.

Drzwi od pokoju dziewcząt uchyliły się i wyjrzała Suzy.

- Czy przyjechał ten oczekiwany Mat...e Maczek? Można go obejrzeć?

Za nią nieśmiało wyglądała Pamela.

- No, jak? - spytała Ewa. - Nadajesz się do pokazywania teraz czy wolisz potem?

- Może być od razu - machnął ręką Maciek, któremu zresztą na widok Suzy błysnęły oczy. Był to miły chłopak, szczupły blondyn o zielonkawych oczach, uwielbiający psy, dzieci i ładne kobiety.

Wieczór upłynął im w arcyprzyjemnej atmosferze na wzajemnych opowieściach, żartach i niewinnych plotkach.

Następnego dnia rano, kiedy weszli do kuchni, Tyna zobaczyła leżący na stole list, adresowany do Ewy. Koperta była już rozerwana i nosiła pośpieszny dopisek, skreślony ręką Ewy: „Przeczytajcie to sobie, Maćki.”

List był od Tony'ego, składał się na przemian z prośb i gróźb. W tym samym zdaniu błagał o przebaczenie i jednocześnie groził, że w przeciwnym razie zabije Ewę i siebie. Przysięgał, że nie jest w stanie bez niej żyć i obiecywał ją zniszczyć, jeśli do niego nie wróci.

- Typowy list osobnika o zachwianej równowadze psychicznej - powiedziała Tyna wkładając z powrotem kartki do koperty. - Rzeczywiście może zrobić coś nieobliczalnego! Dobrze, że już przyjechałeś, będzie trochę raźniej.

- No dobra, a teraz szybciutko śniadanie i do James' Park. Tylko weź dużo chleba dla kaczek.

Kiedy wyszli na ulicę, zanurzyli się od razu w słońcu.

- Pytam, gdzie jest ta słynna londyńska mgła - mruknął

Maciek. - w południe będzie się można usmażyć!

W parku było nieco chłodniej, po drzewach przebiegał od czasu do czasu lekki wiaterek, przynosząc świeży powiew. Na trawnikach opalały się dziesiątki ludzi i było coś zabawnego w tej zbitce: jeźdźni walili, pędzili, śmigały setki, tysiące pojazdów, a parę kroków z boku leżały na trawie porozbierane golasy w nader skąpych bikini i najspokojniej w świecie opalały się, jakby to było gdzieś na nadmorskiej plaży, a nie w centrum światowej metropolii.

Tyna z Maćkiem weszli do parku od strony Buckingham Palace i wędrowali wzdłuż stawu aż do pierwszego mostku, koło drzew figowych. Tu było miejsce wróbli. Wystarczyło stanąć przy trawniku i na rozwartej dłoni wyciągnąć w górę trochę okruszków czy ziaren, a w ciągu paru sekund zlatywały się ich dziesiątki, obsiadały każdy palec, spychały się, biły skrzydełkami, ćwierkały i wydziobywały pożywienie wprost z ręki. Było to cudowne doznanie, czuć te ciepłe, pierzaste ciała na swoich dłoniach i drobne, delikatne łapki, trzymające się kurczowo palców. Mogłoby tak stać godzinami, gdyby nie to, że zdrętwiały im ręce, poszli więc trochę dalej i sypnęli nieco okruszyn na ścieżkę. Natychmiast zaroilo się od gołębi. Łaziły pod nogami, siadały na głowie i ramionach, a jeden z nich usiłował usadowić się na nosie Tyny, ale ciągle zjeżdżały mu łapki i bił w powietrzu skrzydłami, żeby się utrzymać. Tyna płakała rzewnymi łzami ze śmiechu, Maciek rżał z uciechy jak żreback, gołębie gruchając łaziły sobie po nich - nic więc dziwnego, że coraz to ktoś przystawał, by to obejrzeć.

W końcu Tyna poczuła pragnienie. Ruszyli, by poszukać miejsca, w którym można by się czegoś napić. Idąc spostrzegli okrągły budynek, otwarty ze wszystkich stron, w którym widać było kolejkę spragnionych i zgłodniałych.

Wzięli tackę i stanęli przykładowo w ogonku, który w imponującym tempie przesuwał się naprzód, tak że dosłownie po trzech minutach nieśli już coca-colę, lody dla Tyny i piwo dla Maćka.

- Choroba, wszystko zajęte - stwierdził rozglądając się Maciek - chyba będziemy musieli wypić na stojąco.

Na szczęście Tyna spostrzegła przy jednym ze stolików Jill. W prostej białej sukience bez rękawów, z dużym dekoltem, wyglądała bardzo świeżo i dziewczęco, a jej partner w wyblakłych blue džinsach, z ciemną czupryną nad rozśmianymi oczyma, przepięknie opalony, prezentował sobą typ nader interesującego mężczyzny. Jill także spostrzegła Tynę i machnęła zapraszająco ręką.

- Chodźcie do nas! To pewnie jest ten Maciek, na którego czekałaś? - spytała, kiedy podeszli bliżej. - A to Chris, nieprzyzwoicie bogaty Amerykanin, który z nudów siedzi w Londynie, może Ewa wspominała ci o nim?

- Co ty wygadujesz, Jill! Po pierwsze - bogaty jest mój ojczym, a nie ja, po drugie - nie siedzę tu z nudów, tylko załatwiam różne interesy ojczyma. Widzi pani - nachylił się do Tyny - ojciec ma olbrzymie zakłady chemiczne i w związku z tym mam takie tam różności do załatwienia tutaj. Bezwstydne oszczerstwo z tymi nudami, jestem człowiekiem pracy i nie mam czasu na nudy!

- To gdzie się tak opaliłeś, mój ty człowieku pracy? - dokuczała mu dalej Jill.

- Nie bądź drobiazgowa, przecież nie mogę pracować bez przerwy, muszę się czasem gdzieś wyrwać, choćby po to, żeby się spotkać z tobą.

- A wiecie, co wam dobrego szykujemy z Ewą na sobotę? - przerwała te przekomarzania Tyna - Domową szarlotkę na kruchym spodzie, taką jak się robi w Polsce. Będziecie palce lizać!

- Uuuch, przepadam za domowymi wypiekami -



zmarszczył zabawnie nos Chris. - Z góry zamawiam podwójną porcję... Komu papierosa?

- Czekajcie, muszę wam coś opowiedzieć! - przypomniała sobie nagle Jill. - Dostałam dzisiaj list z Polski.

Ręka Chrisa z wyciągniętą paczką papierosów zatrzymała się w pół drogi.

- Z Polski? Przecież nie masz tam nikogo!

- Nikogo z rodziny, tak, ale poznałam różnych ludzi, jak teraz byłam. I nawet ci chyba opowiadałam o takiej miłej starszej pani... Ależ oczywiście, że ci opowiadałam! Poznałam ją w ostatnim tygodniu mego pobytu. Ciotka Hani, u której się zatrzymałam w Warszawie, przypominasz sobie?

- Nie bardzo, ale co dalej?

- No więc, kiedy się poznałyśmy, powiedziała, że moje imię coś jej przypomina, z czymś się kojarzy, że już się gdzieś z nim zetknęła, a Żeliszawa nawet w Polsce nie jest zbyt częstym imieniem. Ciągle do tego wracała, ale nie mogła sobie przypomnieć. Powiedziałam jej, że moja matka również nosiła to imię, może znała ją kiedyś. Nazwisko panińskie mamy nic jej jednak nie mówiło. No i dzisiaj dostałam od niej list. - Jill wyciągnęła z torebki kopertę oklejoną dużymi, kolorowymi znaczkami - Pisze mi, że wreszcie przypomniała sobie. Otóż ona pracuje od dawna w Biurze Poszukiwania Rodzin w Czerwonym Krzyżu. Ktoś poszukiwał osoby o tym imieniu. Nie pamięta ani jak dawno miało to miejsce, ani żadnych innych szczegółów, przypuszcza natomiast, że mogło chodzić o moją matkę. Prosi więc, abym przesłała wszystkie dane mamy, a postara się sprawdzić w kartotekach...

Nie chce mi się wprost wierzyć - podjęła po chwili milczenia - a raczej nie śmiem mieć nadziei, ale... czy nie uważacie, że byłoby cudownie odnaleźć kogoś z rodziny?

- Przedziwny zbieg okoliczności - w zamyśleniu powiedział Chris - Jeden traf na milion...

- Byłoby cudownie - przyświadczyła Tyna - ale na twoim miejscu nie liczyłabym na to zbyt. Mogła ją pamięć zawieść, może nie znaleźć kartoteki, a może w ogóle chodzi o inną Żelislawę. Wreszcie i ten, kto szukał, może już nie żyć. Nie wiemy przecież, jak dawno to było...

- Racja. Na twoim miejscu w ogóle nie przywiązywałbym wagi do tego.

- Może macie słusność, ja jednak uważałam, że warto spróbować. Już odpisałam pani Irminie.

- Jesteś romantyczką, Jill, a czasy takim nie sprzyjają. - Chris obracał w palcach kopertę. - W każdym razie zapisuję się na ciąg dalszy opowiadania, gdy tylko przyjdzie odpowiedź.

- Solennie wam obiecuję, ale myślę, że najwcześniej mogę liczyć na list gdzieś za tydzień, dwa, przy dużym szczęściu, oczywiście. Co dzisiaj mamy? Wtorek? Tak, wcześniej na pewno nie. Express lotniczy idzie jeden dzień, ale nie wiadomo, jak długo trzeba będzie szukać w kartotekach...

- Tym bardziej nie zaprzątaj sobie teraz głowy. List, na który się czeka, zawsze opóźnia swoje nadejście. - Chris spojrzął na zegarek. - Ojej, czas na mnie! Wprawdzie Jill uważa mnie za bogatego nieroba, rzeczywistość jednak temu przeczy, zmykam! Spotykamy się w sobotę, prawda?

Jeszcze z daleka pomachał im ręką i znikł za zakrętem alejki.

- Ładny chłopak - powiedziała Tyna.

- I bardzo sympatyczny - dorzuciła Jill.

- A o mnie wyraźnie zapomnieliście - westchnął Maciek.

### 3.

Pierwsi zjawili się Johnstonowie, punktualni, jak w zegarku. Ken, duży, zwałisty mężczyzna o inteligentnych oczach, w których raz po raz błyskały wesołe iskierki, wyglądał raczej na farmera niż na wschodzącą gwiazdę angielskiego kina. Szczupła, wysoka Frances o przepięknych rudych włosach i ujmującym uśmiechu zdawała się nie dostrzegać świata poza nim. W sumie tworzyli parę raczej niebanalną jak na środowisko filmowe.

- Jak tam dzieciarnia? - pytała Ewa, dokonując jednocześnie prezentacji Maćków.

- Dziękuję, Charlie ma trochę kataru, wyobrazasz sobie, katar przy takiej pogodzie! A co tu tak apetycznie pachnie, Ewuniu?

- Szarlotka, łakomczuchu! Piekłyśmy ją dzisiaj rano i zapach jeszcze pozostał. Strasznie głupi rozkład mieszkania z tym przechodzeniem obok kuchni, nie uważasz?

Następni byli Jill i Chris.

- Chyba się nie spóźniliśmy? Nie gniewaj się, ale Davy pewnie tu do mnie zadzwoni. Rozmawiałam z nim przedwczoraj, powiedziałam, że będę u ciebie, nie masz nic przeciwko temu?

- Ależ skąd, gruchajcie sobie, ile chcecie. Walles, ty powinieneś być tu już od dawna - powitała kolejnego przybysza - przecież to właściwie twoje party!

- Wpakowałem się w korek i stąd to spóźnienie.

- Leniu patentowany, tak blisko mieszkasz, nie mogłeś się przejść?

- Nie jadę od siebie, miałem coś do załatwienia. Hallo, Frances, to mój brat, Stanley... Kogóż ja widzę, Gordon we własnej osobie, wyglądasz zabójczo!

Rzeczywiście, przybyły właśnie Gordon prezentował nienagannie skrojony garnitur z lekko rozkloszowaną, wciętą w pasie marynarką, w której wycięciu pieniał się koronkowy żabot. Falująca ciemna czupryna opadała mu na czoło, nie zakrywając jednak małej, złotej obrączki wpiętej w lewe ucho. Twarz miał pociągłą, o rysach energicznych, bez śladu zniewieściałości.

Towarzyszył mu Aszraf, odrobinę wyższy od niego, smagły, o przepięknych, migdałowych oczach. Mógł z miejsca podbić serce niejednej dziewczyny...

- I takich dwóch interesujących mężczyzn straconych dla płci żeńskiej! - westchnęła Suzy. - Kolosalna strata! Nie rób takiej zgorzonej miny, Pam, nic złego nie powiedziałam.

Dzięki rozsunięciu drzwi między pokojem Ewy a sąsiednim living-roomem, utworzył się jeden duży pokój, wypełniony teraz słońcem, gośćmi i ich głosami, całą baterią napoi oraz różnymi różnościami do jedzenia.

- Cóż za smakowitości! - oblizywał się Ken. - Ta sałatka wygląda niezmiernie apetycznie. Z self-way'u czy od Sainsbury'ego?

- Trzymajcie mnie, bo zamorduję człowieka! - oburzyła się Tyna. - To myśmy własnoręcznie wszystko w domu kroić, mieszać, doprawiały, żeby ci barbarzyńcy wygadawali teraz takie herezje! Proszę, tu jest pana talerzyk, nakładam sałatkę. Którą pan woli na początek, tę czy tę?

I, zanim oszołomiony potokiem słów Ken zdążył udzielić odpowiedzi, ciągnęła dalej:

- W porządku, zaczniemy od tej z selerów. Proszę zjeść i jeżeli potem ponowi pan swoje pytanie, to albo pańskie zdolności smakowe są ograniczone, albo ja będę zmuszona popełnić samobójstwo.

I wetknęła Johnstonowi w garść talerzyk z kopiastą

porcją sałatki. Stojąca obok Frances zaśmiewała się serdecznie.

- Widzisz, Ken, naraziłeś się! I nareszcie ktoś się odważył zrugać cię trochę. Bardzo dobrze, pani Tyno, brawo, z tymi filmowymi bogami tak trzeba!

Stanley, posługując się nieco sztywną angielszczyzną, starał się olśnić Suzy ale sądząc z kpiącego wyrazu jej oczu, nie bardzo mu się to udawało. Pamela rozmawiała przy oknie z Aszrafem i jakby trochę chmurnym Gordonem, a Jill, Chris i Maciek w drugim kącie pokoju opowiadali sobie wesołe historyjki, zaśmiewając się głośno.

Ewa, która okiem gospodyni lustrowała obecnych, sprawdzając czy nikt się nie nudzi osamotniony, powiedziała cicho do Wallesa:

- Gordon dziś nie w humorze, popatrz, jaką ma nieszczęśliwą minę!

- Już ja się postaram, żeby miał jeszcze gorszą! Zaczyna mi działać na nerwy ten chłoptaş! - Walles z pasją zgasił niedopałek w popielniczkę.

Ewa popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- A cóż on ci zrobił? I wiesz, określenie „chłoptaş” zupełnie do niego nie pasuje...

- Oczywiście, wy, kobiety, będziecie bronić każdego przystojnego chłopa, choćby nawet nosił spodnie przez pomyłkę. Ech, Ewa, Ewa, myślałem, że jesteś mądrzejsza i bardziej bystra! Nie widzisz, że to pełne zero?

- Nie masz racji. Gordon jest bardzo zdolnym kostiumologiem. Oczywiście, że ma te swoje słabości, któż ich nie ma, takich czy innych, mój Boże! Ale poza tym to naprawdę miły i inteligentny chłopak.

- Niech ci będzie. Nie mam zamiaru kłócić się z tobą z powodu tego faceta. A zdania o nim i tak nie zmienię. Jeszcze go dziś dopadnę...

- Tylko proszę cię, Walles, nie rób tu awantur. I nie pij za dużo, bo wiesz, że potem bywasz nieobliczalny.

- Za kogóż ty mnie uważasz, moja ty śliczna! - roześmiał się Walles, ale jego piwne oczy nadal pozostały zimne. - Ja i publiczne awantury! Ktoś musiał naopowiadać ci jakichś głupstw.

W tym momencie rozległ się dzwonek i Ewa pobiegła otworzyć.

- Oczywiście musicie być ostatni! - gderła na widok Ann i Pata - Mieszkacie przecież tak blisko!

- Nie krzycz na nas, kochanie. Rzeczywiście wszyscy już są?

- Chodźcie, spóźnialscy! - to Ken wołał ich z głębi korytarza. - Halo, Ann, prześlicznie wyglądasz!

Gwar rozmów, śmiechy, brzęk szkła, smużki dymu z papierosów... Grupki tworzyły się i rozpadały, ludzie przysiadali, wstawali, spacerowali, wszędzie było ich pełno.

Suzy, która pobiegła po coś do kuchni, wpadła tam na Chrisa.

- A ty czego tu szukasz? Mężczyznom wstęp wzbroniony, już cię nie widzę! - trzepnęła go ściereczką do szklanek.

- Dobrze, już dobrze, wynoszę się, tylko nie po oczach! - opędział się Chris.

W pokoju Ann odciągnęła Ewę pod okno.

- Wszystko w porządku? Tony nie odzywał się od czasu tego listu z pogrózkami?

- Na szczęście nie.

- Pytam, bo idąc teraz do ciebie widzieliśmy go na ulicy, kręci się gdzieś w pobliżu. Tylko nie denerwuj się, jest nas tu dzisiaj za dużo, żeby odważył się przyjść.

- Ja też nie podejrzewam go o taką desperację, ale sama

świadomość jego obecności w pobliżu...

- Pat, odłóż tego dunhilla na parę minut i spróbuj naszej sałatki. Zapytaj Kena, czy nie pycha! - Tyna krążyła po pokoju z salaterką. - Frances, można dołożyć?

- Z przyjemnością, ale nie za dużo! Wystarczy! Śliczną ma pani suknię, bardzo mi się podoba.

- Naprawdę? - ucieszyła się Tyna. - Dzieło rąk własnych.

- Serio?

- Serio. Zwykła polska zerówka i szydełko.

- Pokaże mi pani ten ścieg? Pasjami lubię ręczne roboty.

- Ależ oczywiście, zresztą to bardzo łatwe. Na łańcuszku robi się dwa słupki trzy razy nawijane, pięć oczek w powietrzu...

- Te stracone dla świata! - roześmiała się przechodząca obok Jill do nie odstępującego jej Chrisa. - Hej, Maciek, dokąd pędzisz?

- Do kuchni, wysypać niedopałki. Popatrz, ileśmy już nakopčili!

- Pomogę ci! - zerwała się Suzy, wyraźnie znudzona towarzystwem Stanleya.

- A cóż tu jest do pomagania? - zdziwił się Maciek.

- Jakiś ty niedomyślny - szturchnęła go żartobliwie w plecy. - Nie widzisz, że chcę się pozbyć tego typu? Przypiął się do mnie od samego początku i nudzi do łez.

- Wpadłaś mu w oko i po prostu cię podrywa!

- A dajże mi spokój z takim podrywaczem! Wypalimy spokojnie papierosa tu, w kuchni? Nie chce mi się wracać, boję się, że znów mnie dorwie ten nudziarz...

- Możemy, czemu nie - i Maciek zaczął szukać po kieszeniach zapalniczki. - Nigdy jej nie ma, gdy jest potrzebna! Znowu gdzieś ją zadziałem!

- Nie szkodzi, mam zapalki.

A w pokoju w tej chwili, niemal tym samym gestem, Aszraf podawał ogień Pameli.

- Wiesz, że masz śliczne oczy?

Spłoszona, nakryła je powiekami.

- Nie powinieneś mnie peszyć, Aszraf... - Ale sprawiała wrażenie raczej zadowolonej z komplementu. Siedziała na brzeжку fotela grzecznie, jak mała dziewczynka, nawet paliła tak, jakby to był jej pierwszy papieros, i Aszraf spoglądał na nią z pewnym rozczeniem. Wzruszała go jej dziecinna powaga i nieśmiałość.

- Nie chciałem ci zrobić przykrości, dziewczyny podobno lubią, kiedy im, się mówi takie rzeczy.

- Ach, więc to dlatego... - szepnęła z rozczarowaniem.

- Ależ nie, naprawdę uważam, że masz śliczne oczy!

Z przeciwległego krańca pokoju chmurnym spojrzeniem spoglądał na nich Gordon. Wydawał się nie słyszeć zupełnie tego, co mówił do niego Ken. Z założonymi na piersiach rękami i nieruchomą twarzą wodził oczami za każdym ruchem Aszrafa, rejestrował każdy jego uśmiech, każde pochYLENIE SIĘ W STRONĘ Pameli.

Zauważyła to Ewa i czując wiszącą w powietrzu scenę zazdrości, pośpieszyła w ich stronę, ciągnąc za sobą Stanleya.

- Proszę niech pan zaopiekuje się Pamelą, bo muszę na parę minut porwać Aszrafa. Pozwolisz, kochanie?

I nie czekając na odpowiedź, energicznie odprowadziła Egipcjanina w stronę Gordona.

- Posłuchaj, Ken opowiada pasjonujące rzeczy o swoim następnym filmie! - Ten strzał nie był oddany tak zupełnie na ślepo, jak mogło się wydawać, ponieważ Johnston przeważnie mówił na ten temat. Rzeczywiście, podchodząc usłyszeli końcowy fragment monologu Kena:



- Rozumiesz, stary, kostium w tym filmie musi być znakiem, musi nieść w sobie treści pozasłowne, a jednocześnie nie powinien być odrealniony. Wiesz, o co mi chodzi, prawda?

- Przyproważyłam wam Aszrafa - powiedziała Ewa. - Zdaje się, że biedna Pamela zanudziła go doszczętnie. Trzeba jej wybaczyć, jest taka nieśmiała i zupełnie nie umie rozmawiać z mężczyznami.

- Wcale się nie nudziłem! - zaproponował Aszraf.

Gordon nie spuszczał z niego wzroku.

- Ja również odniosłam takie wrażenie - powiedział sucho.

Poprzez zgłębienie rozmów przebił się dzwonek telefonu.

- Przepraszam was! - Ewa pobiegła do aparatu. - Halo, tu Ewa.

W słuchawce panowała przez chwilę cisza, a potem głos Tony'ego powiedział wyraźnie:

- Daję ci trzy dni czasu do namysłu, a potem cię zabiję. Trzy dni, pamiętaj!

Było to tak nieoczekiwane tak melodramatyczne, tak kontrastujące z ogólnym nastrojem, że Ewa wybuchnęła histerycznym śmiechem. Zapanowała nagła cisza, wszystkie głowy obróciły się ku niej z niemym zapytaniem.

- Co się tak patrzycie? Właśnie Tony ofiarował mi jeszcze trzy dni życia!

Podbiegły do niej Ann z Tyną, ale Ewa zdążyła się opamiętać.

- Głupie kawały się go trzymają, chciał mnie znowu nastraszyć. Nie przejmujcie się, kochani, przepraszam was...

- Wypij, dobrze ci zrobi! - Tyna podała jej trochę whisky. - A teraz chodź do mojego pokoju, opowiesz nam spokojnie, co on ci właściwie powiedział.

Wymijając gości, przeszły we trójkę do pokoju Tyny

i Ewa, wyciągając trzęsącymi się palcami papierosa, zrelacjonowała im wszystko dokładnie.

- Oczywiście nie wierzę w to zabijanie, ale mam już tego wszystkiego dosyć.

- Właśnie o to mu chodzi - powiedziała wolno Ann. - Chce cię wykończyć nerwowo. Listy z pogrózkami, telefony... Uważam, że powinnaś zawiadomić powtórnie policję, oni sobie z nim poradzą!

- Sądzę, że Ann ma rację - Tyna z namysłem zaciągnęła się papierosem. - Żadne rozmowy ani perswazje nie odniosą skutku. Moim zdaniem jest to chory człowiek i powinno się go leczyć.

Z głową odrzuconą na oparcie fotela, z przymkniętymi oczami, Ewa chciwie paliła.

- Jeszcze się zastanowię nad tą policją, jakoś mi głupio...

Umilkły. W pokoju panował lekki półmrok, ponieważ jego okno, podobnie jak okno łazienki, wychodziło na ślepa ścianę sąsiedniego budynku i nawet w najbardziej słoneczne południe było tu niezbyt jasno. Poprzez zamknięte drzwi dochodził z dala gwar rozmów, ściszony i nieco usypiający. Ogarniało je rozleniwienie, papieros wolno wędrował do ust, z wolna osypywał się popiół do popielniczki.

- Powinnyśmy wrócić - mruknęła Tyna.

- Posiedźmy jeszcze chwilę. Z pewnością nawet nie zauważyli naszej nieobecności...

Ewa tylko skinieniem głowy wyraziła aprobatę i znów zapadły w milczenie.

Z rozmyślań wyrwał je odgłos kroków zbliżających się wzdłuż korytarza i słowa wypowiedziane przez Wallesa:

- Chodźmy do hallu, tam będzie można spokojnie porozmawiać.

- Proszę bardzo - odpowiedział drugi głos i kroki minęły drzwi.

- No, czego chcesz tym razem? - dobiegł po chwili ponownie głos Wallesa.

- Mój Boże, czyżbyś raptem stai się niedomyślny? Chodzi o to samo co i przedtem. O pieniądze. - Drugi głos, w przeciwieństwie do podniesionego i zirytowanego tonu Wallesa, był nieco cichszy i bardzo spokojny.

- To chyba Gordon - szepnęła Ewa. - Wyjdźmy, oni nie mają pojęcia, że tu jesteśmy, głupia sprawa...

Ale w tej samej chwili, właśnie gdy się podnosiły, usłyszały znów Wallesa:

- A więc znów mały szantaż? Ile chcesz i za co?

- To niemożliwe, żeby to był Gordon! Gordon i szantaż! Nie mieści mi się w głowie... - Ann była oszołomiona. - Teraz nie możemy już stąd wyjść! Wyobrazasz sobie, jakby się czuli, gdyby się zorientowali, że słyszałyśmy! - zduszonym szeptem dorzuciła Ewa.

- Chyba masz rację...

Przycupnęły na swoich miejscach i chcąc nie chcąc, słuchały dalej.

- Szantaż nie jest zbyt ładnym słowem, ale jeżeli sprawia ci to przyjemność, możesz go używać, proszę bardzo.

- Kiedyś rozkwaszę ci tę twoją przystojną buziuchnę, zobaczysz, że się doigrasz!

- Nie unós się, Walles, mieliśmy rozmawiać o interesach, tak czy nie? Daj więc sobie spokój z tymi pogroźkami.

Mogły sobie niemal wyobrazić, jak Walles w tym momencie zgrzytnął zębami, próbując się opanować i chyba udało mu się poskromić wściekłość, bo kiedy znów się odezwał, jego głos brzmiał nieco spokojniej:

- Proszę bardzo, mówmy o... interesach, jeśli już tak to chcesz nazywać. A więc za co?

- Tyle masz tego na sumieniu, że trudno ci zgadnąć? - odparł tamten z ironiczną kpina.

- Chyba nie wracasz do poprzedniej sprawy, zapłaciłem przecież.

Jego rozmówca zaśmiał się cicho.

- To jednak chyba nie Gordon - szepnęła Ewa.

- Jeżeli nie on, w takim razie kto? - również szeptem spytała Ann.

- Rzeczywiście. Zapłaciłeś. Toteż sprawę prochów uważam za zamkniętą.

W tym momencie Tyna z emocji uszczypnęła Ewę w ramię.

- Walles i narkotyki! Coraz lepiej...

- Csi... - uciszyła ją Ann.

A chłodny głos za ścianą ciągnął dalej:

- Teraz chodzi mi o twoje wyroby złotnicze, rozumiesz, czy mam ci dokładniej wytłumaczyć? Wiem, z jakich źródeł czerpiesz surowiec. Nie tylko wiem, ale mogę udowodnić. Mam mówić dalej?

- Starczy. Ty... - głos Wallesa wzniósł się niebezpiecznie do krzyku.

- Uspokój się, myślę, że nie chciałbyś, żeby ktoś nas usłyszał! A wyzwiska nic nie pomogą, najwyżej cena podskoczy, bo będę musiał doliczyć coś za obrazę własną.

Ten finansowy argument trafił widocznie do przekonania Wallesowi, bo po małej pauzie spokojniej już zapytał:

- Ile?

- Zupełny drobiazg, jak dla ciebie: pięć.

- Pięć tysięcy funtów? Oszalałeś?

- Być może. Potrzebna mi jest właśnie taka suma, tyle więc żądam. I radzę ci nie namyślać się zbyt długo, bo może

wzrosnąć. Wiesz dobrze, że nie blefuję, jeżeli mówię, że mam dowody, to znaczy - mam je naprawdę.

- Wiem. Zdążyłem cię poznać. Zobacysz, draniu, że cię kiedyś zabiję!

- Już mówiłem, że wyzwiska niczego nie zmienia. Jeżeli może ci to przynieść jakąś ulgę, obiecuję, że będzie to nasz ostatni interes, daję słowo.

- Słowo szantażysty! Podziwiam twoje poczucie humoru!

Tyna z podniecenia wciągnęła głośno powietrze:

- O rany! - szepnęła. - Zupełnie jak w kinie, aż się nie chce wierzyć!

- Csii... - powtórnie uciszyła ją Ann.

- A swoją drogą jesteś odważny - ciągnął dalej Walles - albo nie zdajesz sobie sprawy, na kogo się porywasz. Przecież wiesz, że za mną stoją jeszcze inni, zwłaszcza w poprzedniej sprawie zadzieraleś nie tylko ze mną!

- Bądź spokojny, mój drogi, wiem, co robię. Jesteś zbyt wielkim tchórzem, żeby mi odmówić pieniędzy! Poza tym nie możesz szukać pomocy u tych „innych”, bo sam byś w pierwszym rzędzie stracił ich zaufanie. Wszak moje informacje musiałem uzyskać przez twoją nieostrożność, może nawet nieudolność? Jak ci się podoba taki tok rozumowania?

- Zapłacisz mi kiedyś za wszystko. Obiecuję ci to solennie!

- Odłóż te marzenia na później, a na razie wróćmy do tematu. Płacisz?

Za ścianą zapanowała cisza, przerywana tylko szybkimi krokami. Widocznie Walles nerwowo chodził od ściany do ściany.

- Daj mi trochę czasu - poprosił wreszcie.

- Czasu? - zdziwił się ten drugi głos. - Jeżeli chcesz koniecznie, mogę ci dać, ale nie dłużej niż do końca dzisiejszego

wieczoru. Masz przy sobie książeczkę czekową, prawda?

- Niech będzie do końca wieczoru...

- No to co, wracamy chyba do reszty towarzystwa po tak miłej rozmowie...

- Aż się prosisz o to, żeby cię ukatrupić - warknął Walles, gdy mijali drzwi, za którymi trzy kobiety siedziały z zapartym tchem.

- Ani słowa nikomu o tym co słyszałyśmy? - ostrzegą Ann. - Cholernie nieprzyjemna sprawa...

- Oczywiście! Ani pary z ust!

- Tym bardziej, że nie mamy pewności, czy to był Gordon.

- No więc kto, zastanówmy się. Pat nie, Maciek i Stanley również nie - obaj niedawno przyjechali, poza tym akcent... nie, to mówił Anglik. Z tych samych względów odpada Aszraf. Pozostają tylko Ken, Chris i Gordon.

- Żartujesz chyba! Chris ma specyficzną amerykańską wymowę, poznałybyśmy go natychmiast, a co do Kena... Jestem pewna, że to nie był jego głos.

- A więc zostajemy przy Gordonie. - podsumowała Ewa. - Zgadza się?

Tyna wzruszyła ramionami.

- Wybaczcie, ale nie mogę zabierać głosu w tej sprawie, za mało znam ich wszystkich!

- Ciągle jeszcze nie mieści mi się to w głowie... Ten elegancki, dobrze ułożony Gordon, zainteresowany tylko sztuką, no i chłopcami, okazuje się Szantażystą! - Ann sięgnęła po papierosa.

- A rewelacje dotyczące Wallesa też są niezgorsze!

- Owszem, niczego sobie! I co z tym zrobić?

- Nic. Moim zdaniem, jedyne, co powinnyśmy teraz zrobić, to wrócić do reszty gości. A jutro dzwoniemy się i porozmawiamy spokojnie, zgadzacie się?

- Dobrze.
- Żeby nie zwrócić ich uwagi - powiedziała Ann - wracajmy pojedynczo.
- Słusznie. Idź pierwsza, my z Tyną weźmiemy z kuchni szarlotkę. A tamto rzeczywiście odłóżmy do jutra...

Kiedy po kilku minutach weszły do pokoju niosąc szarlotkę, Ann dała im znak oczami, że wszystko w porządku. Walles na środku dyskutował zawzięcie z Maćkiem, Stanleyem i Patem na temat wad i zalet najnowszego modelu Toyoty i zupełnie nie zwrócił na nie uwagi. Gordon manipulował przy telewizorze. Odwrócił się dopiero na głos Suzy, która prosiła, żeby raczej puścić jakieś taśmy z muzyką. Poparła ją Frances, więc uśmiechnąwszy się do nich na znak poddania woli pań, zostawił telewizor w spokoju.

- Zaraz się tym zajmę - powiedziała Ewa w jego kierunku. - Dzieci, tu jest szarlotka, którą same z Tyną, pełne poświęcenia, upiekłyśmy dla was. Macie jeść i chwalić. Samochodzarze, słyszycie?

- A jesteś pewna, że to się nadaje do jedzenia? - spytał z powagą Aszraf, znów w towarzystwie Pameli.

- Zaraz cię trzepnę! - zamachnęła się Ewa. - Talerzyki do ręki i ustawić się w ogonku!

Ze śmiechem i przekomarzaniem goście posłusznie ustawili się w kolejce, a Ewa obdarzała każdego kawałkiem domowej szarlotki z bitą śmietaną. Patrząc na to rozbawione towarzystwo, trudno było uwierzyć, że znajdują się w nim szantażysta i maczający palce w brudnych interesach szantażowany. Nie chciało się wierzyć, że roześmiany Walles z kleksem śmietany na nosie bije się teraz z myślami - zapłacić, nie zapłacić - że Gordon, trzymający w smukłych palcach szklaneczkę z drinkiem, zastanawia się - da te pieniądze czy nie da...

Ken uporał się ze swoją porcją i podchodził po następną, ale Ewie znudziła się ta zabawa.

- Nakładajcie sobie sami, ja włączę magnetofon. Odpowiada wam Jesus Christ Superstar?

- Może być, na początek - zgodziła się Frances.

- Kto pije kawę, ręka do góry! Tyna, licz. Teraz - kto herbatę? O kay. Zaraz przynosimy. Suzy, chodź, pomożesz.

W pokoju stawało się coraz mroczniej, Maciek zapalił więc porozstawiane wszędzie świece, co natychmiast wywołało intymny nastrój.

Walles, który na chwilę opuścił pokój, pociągnął teraz Gordona w najdalszy kąt i coś mu klarował przyciszonym głosem, Aszraf nadal zabawiał Pamełę, a Ken przyłączył się do Pata i Maćka i wszyscy trzej rozpoczęli ożywioną dyskusję na temat nowych kierunków w filmie polskim. Stanley, porzucony przez Suzy, stał samotnie przy oknie, popijając kawę, Frances, pochylona wraz z Ann nad jakimś żurnalem, mówiła coś z ożywieniem.

Jill zerknęła na swój zegareczek.

- Dziewiąta - powiedziała do Chrisa - Davy już chyba nie zadzwoni...

- Czemu nie, jeszcze wcześniej - Chris jakby nieco spochmurniał na wzmiankę o Davym. Rozejrzał się wokoło. - Może ci coś podać? Drinka? Albo jeszcze kawy?

Jill skinęła głową.

- Jeżeli jesteś taki miły, to przynieś mi kawę. A potem zjem jeszcze jeden kawałek szarlotki, podobno idzie w biodra, ale nie mogę się oprzeć: jest znakomita.

Chris sięgnął po opróżnioną filiżankę stojącą obok Jill na stoliczku.

- Zaraz wracam.

Czajnik stał cały czas na małym ogniu, nie zajęło mu więc zbyt wiele czasu przygotowanie kawy. Właśnie był



pochylony nad tacką, na której ustawił filiżankę, kiedy usłyszał głos Suzy:

- Mówiłam ci, żebyś mi się tu nie kręcił! Nie mogłeś powiedzieć którejś z nas, że chcesz kawę? Już cię nie widzę! - i z żartobliwie groźną miną zrobiła krok ku niemu.

- Nie strasz mnie, bo rozleję! Kocham cię, tylko nie krzycz!

- Noo, żeby mi to było ostatni raz! - pogroziła mu gdy zniknął w korytarzu.

Nagle przez ogólny gwar przedarł się dźwięk dzwonka.

- Idę otworzyć! - krzyknęła Suzy, wybiegając z kuchni.

W drzwiach stanął młody mężczyzna średniego wzrostu. Czarne zrośnięte brwi nadawały jego twarzy zdecydowany wyraz, sprawiał wrażenie mocno zdenerwowanego.

- Przepraszam, Suzy, że wam przeszkadzam, ale ktoś mi powiedział, że tu jest Gordon. Muszę z nim... jeżeli to jest możliwe, chciałbym... to bardzo ważne dla mnie... - urwał, widząc wchodzącą do hallu Ewę.

- Raymond! Cóż za niespodzianka... - powitała go niepewnie. Sytuacja była dosyć niezręczna.

- Ewa, przepraszam, ale muszę z nim pomówić... On tu jest, prawda?

- Spokojnie, Raymond, nie tak gorączkowo. Gordon jest, ale chyba nie chcesz pokazać się wszystkim w takim stanie?

- Nie jestem pijany, daję ci słowo, chociaż trochę wypiłem, to prawda... Wiesz, co on mi zrobił, przecież wszyscy wiedzą! Kazał mi się wynieść z mieszkania, masz pojęcie?

- Może lepiej odłożyć tę rozmowę do jutra? Będziesz spokojniejszy.

- Nie, muszę dzisiaj, muszę, to bardzo ważne! Już jestem całkiem opanowany, przecież widzisz...

- No dobrze, jak chcesz.

W pokoju Jill postawiła przyniesioną przez Chrisa kawę na stoliczku.

- Kto przyszedł?

- Nie mam pojęcia. Ile cukru?

- Dziękuję, w ogóle bez. O Boże, Raymond! - szepnęła na widok przybysza. - Głupia sprawa, nie uważasz?

Stojący przy tapczanie telefon zadzwonił nagle. Ewa podniosła słuchawkę.

- Halo... Tak... Tak... oczywiście. Już ci ją daję... Jill, Davy dzwoni. Idź do tego aparatu w przedpokoju, tam będzie ciszej.

Jill dosłownie pofrunęła w głąb mieszkania, zostawiając oszołomionego Chrisa.

Brwi Gordona ściągnęły się z niezadowoleniem. Ruszył naprzeciw Raymonda, trzymając w jednej ręce zapalonego papierosa, w drugiej filiżankę z kawą.

- Czego tu chcesz?

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Koniecznie tutaj i koniecznie dzisiaj? Jesteśmy ośrodkiem zainteresowania wszystkich, gapią się na nas. Wiesz, że nie znoszę takich sytuacji! - Gordon zdusił papierosa w popielniczkę i pochylił się, by zawiązać sznurowadło.

Nie było prawdą, że wszyscy na nich patrzyli, wręcz przeciwnie, zebrani ze sztucznym ożywieniem podjęli przerwane rozmowy. Nawet Chris, osamotniony przez Jill, z głębokim zainteresowaniem przeglądał jakieś czasopismo. Jedynie Walles spoglądał w kierunku Gordona z ironicznym uśmiechem.

- Doprawdy sądzisz, że ta rozmowa może zmienić cokolwiek?

- Proszę cię, Gordon, proszę cię...

- Ciszey, nie urządzaj scen! No dobrze, przejdźmy do hallu, nie mam ochoty dawać darmowego przedstawienia.

Z kuchni wyjrzała zaniepokojona Ewa.

- Tylko spokojnie, chłopcy, nie pozabijajcie się!  
Minęli Jill przy telefonie, promieniejącą szczęściem.

W hallu paliło się światło. Gordon postawił kawę na marmurowym blacie stolika i wyciągnął papierosa.

- Słucham, mów, co masz do powiedzenia!

Raymond w podnieceniu zaczął biegać od ściany do ściany, gorączkowo wyrzucając z siebie słowa.

Po ich wyjściu napięcie w pokoju nieco zelzało, Maciek zmienił kasetę w magnetofonie.

- Czy to musi być tak strasznie głośno? Ścisz trochę! - błagała Tyna.

- Zupełnie się nie znasz. Im głośniej, tym lepiej!

- Kochani, Davy pozdrawia wszystkich! - Jill wróciła na swoje miejsce obok Chrisa. - Musi niestety zostać jeszcze tydzień... Hej, Chris, miałam dostać szarlotkę, obiecałeś! I jednak postłodziłeś mi tę kawę, okropność...

Ewa przysiadła obok nich. Była już trochę zmęczona i zaczynała myśleć, jak to będzie cudownie, kiedy goście sobie pójdą. Jill, wyczuwając jej nastrój, zauważyła:

- Miłe są takie spotkania, ale dla gospodyni jednak męczące.

- Nie jest tak źle! Walles ze Stanley'em obiecali jutro pomoc przy sprzątanii. Chris, przestań się tak w nią wpatrywać, zobaczysz, że oberwiesz od Davida, kiedy wróci!

- O czym plotkujecie? - To Ann dołączyła do nich.

- Komu jeszcze kawy, komu herbaty? - Tyna krążyła między rozmawiającymi. - Maciek, przestań flirtować z Suzy, wszystko widzę! Pat, może szarlotki? Aszraf, a ty?

- Siadaj - zawołała Ewa - przestań im dogadzać!  
- Rzeczywiście, czuję się rozpieszczany - mruknął Ken, pałaszując chyba już czwarty kawałek szarlotki, podsunęty mu przez Tynę.

- Ona ci się po prostu podlizuje - stwierdziła słodko Ewa i raptem przypomniała sobie o Gordonie. - Może skończyli-by tę naradę, siedzą tam ze trzy kwadranse. Pójdę ich pogonić!

Kiedy wróciła po chwili, była blada jak płótno.

- Co się stało, na litość boską? - poderwał się Pat. Wyciągnęła ramię wskazując palcem w głąb hallu.

- Tam... - wykrztusiła.

Pobiegł we wskazanym przez nią kierunku, a za nim inni. Drzwi prowadzące na schody były uchylone, a w hallu, obok przewróconego stolika, leżał Gordon. Wzdłuż jego skroni ciekła wąska smużka krwi, mieszając się z resztkami wylanej kawy. W pobliżu wałały się skorupy potłuczonej filiżanki i połyskiwała metalicznym blaskiem zapalniczka.

Zastygli w przerażeniu. Pierwszy opanował się Pat, przykleknął, próbował namacać puls, potem bardzo wolno wyprostował się i powiedział cicho:

- Nie żyje.

#### 4.

Następnego ranka, kiedy Tyna obudziła się, Maćka nie było już w pokoju. Chwilę leżała, niezupełnie zdając sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje, jakąś cząstką swego „ja” śniąc jeszcze, gdy nagle przypomniał się jej wczorajszy wieczór i wszystkie wydarzenia na nowo stanęły przed jej oczami: martwy Gordon, przewrócony stolik, rozlana kawa, mała smużka krwi i w odległości

może pół metra od tej smużki - zapalniczka. Znała tę zapalniczkę, sama wybierała ją dla Maćka...

Stali tam wczoraj wszyscy, doszczętnie ogłupiali i przerażeni, spoglądając na siebie z niedorzeczną nadzieją, że lada chwila cały ten koszmar okaże się po prostu niemądrym żartem. Jeden Pat nie stracił głowy:

- Nie ruszajcie niczego, najlepiej przejdźcie z powrotem do pokoju. Jemu już nie pomożemy, natomiast moglibyśmy utrudnić pracę policji. Ken, Walles, zabierzcie stąd wszystkich! Weź się w garść, Aszraf... Chris, zajmij się kobietami, a ja zadzwonię do inspektora Sleutha. Znamy się kilka lat i myślę, że uda mi się go uprosić, żeby nie nadawano sprawie rozgłosu. Chyba nikt z nas nie chciałby mieć podobnej publicity!

Potem siedzieli, czekając na przyjazd inspektora. Po pierwszym oszołomieniu przyszło nadmierne ożywienie, przerzucali się domysłami i spostrzeżeniami.

- Oczywiście, Raymond!

- Nie trzeba było go wpuszczać, a tym bardziej pozwalać na tę rozmowę! Przecież na kilometr było czuć, że facet wypił!

- Daj spokój, Aszraf, któż to mógł przewidzieć..

- Pokłócili się, uderzył go w głowę i uciekł!

- Czym uderzył? Musiało to być coś ciężkiego...

- Może lichtarzem?

- Ale jak to się stało, że niczego nie słyszeliśmy?

- Tyle osób rozmawiających naraz, włączony magnetofon, no i przedpokój, oddzielający nas od hallu - co można było usłyszeć?

- Z pewnością było tak: pokłócili się, Raymond uderzył lichtarzem, Gordon padając wywrócił stół, stłukł filizankę, upuścił zapalniczkę...

- Możliwe...

- Tak - odezwał się po raz pierwszy Maciek, a w jego głosie było zdumienie. - Tylko że to jest moja zapalniczka...

Na moment zapanowała cisza, wszystkie oczy skierowały się na Maćka, wreszcie Ken powiedział wolno:

- Och, widocznie wziął ją przez roztargnienie, to się często zdarza palaczom. Gordon bywa roztargniony... Chciałem powiedzieć - bywał...

I tak, jakby ta uwaga odebrała im chęć do dalszej dyskusji, siedzieli prawie nie rozmawiając, zgaszeni i przygnębieni.

Szczęśliwym trafem Pat telefonując zastał inspektora w domu. Ostatecznie była to sobota, dochodziła jedenasta wieczorem - mógł być poza Londynem, wyjechać na weekend, prowadzić gdzieś śledztwo, słowem - mógł być w tysiącu innych miejsc. Niemniej musieli czekać ze trzy kwadransy na przyjazd jego i jego ludzi. Kiedy wszedł, Tyna niemal uśmiechnęła się - inspektor Sleuth wyglądał jak wcielonemu wyobrażeniu angielskiego gentlemana. Był w średnim wieku, raczej wysoki, dobrze zbudowany, z opalonej twarzy spoglądały intensywnie niebieskie oczy. Może niewielki, równo przystrzyżony wąsik i szpakowate włosy, a może parasol - jak się potem przekonała, nieodłączny od sylwetki inspektora - sprawiały to nieodparcie angielskie wrażenie.

- No tak - zaczął - może ktoś z państwa zechce opowiedzieć mi wszystko po kolei.

I wtedy znów zaczęli mówić jedni przez drugich, ale nad wszystkich wybijał się niemal histeryczny głos, Aszrafa:

- To Raymond! Odgrażał się, nie mógł się pogodzić... To Raymond, to Raymond, ale dostanę go w swoje ręce!

Inspektor poczekał chwilę, aż się uspokoją, po czym

uprzejmie poprosił, by zechcieli mówić po kolei. Teraz zabierali głos niechętnie raczej, ale wszyscy byli zgodni, że zabójstwo musiało nastąpić w wyniku kłótni i że sprawcą był Raymond, powtórzyli też swoje przypuszczenia, że narzędziem zbrodni prawdopodobnie był lichterz... Zaraz, kto to mówił - Tyna nie mogła sobie przypomnieć - chyba Chris, a może Frances?

Sleuth wysłuchał ich uważnie, potem poprosił o podanie personaliów, coś tam sobie zanotował, wreszcie zamknął notes i, przeprosiwszy, przeszedł do hallu, zabierając ze sobą Pata.

- Jestem śmiertelnie zmęczona - westchnęła Jill. - Kto mógł przypuszczać, że taki miły wieczór będzie miał tak tragiczny finał...

- Miejmy nadzieję, że to już długo nie potrwa. Sprawa jest oczywista i myślę, że inspektor zaraz nas zwolni. A swoją drogą, gdzie ja teraz znajdę drugiego takiego kostiumologa! Gordon zawsze świetnie rozumiał, o co mi chodzi...

- Och, Ken, przestań! Nawet w takiej chwili myślisz tylko o swoich filmach!

Rzeczywiście, nie trwało długo i Sleuth wraz z Patem wrócili do pokoju.

- Moi ludzie już kończą - powiedział inspektor. - Zabrano ciało, zabezpieczyliśmy również wszystkie przedmioty, jakie się tam znajdowały. Musimy zabrać lichterz, proszę wybaczyć. A zapalniczka jest własnością denata czy domniemanego zbrojcy?

Z parosekundowym opóźnieniem padła odpowiedź Maćka:

- Nie, to moja zapalniczka.

Brwi inspektora jakby odrobinę uniosły się w górę, a może Tynie zdawało się tylko, po czym powiedział:

- Czy ktoś z państwa zna adres pana Dwella?

Okazało się, że nikt, ale Aszraf podał nazwę galerii w której Raymond ostatnio pracował.

- Nie jestem pewien, ale tam chyba będą wiedzieli, dokąd się przeprowadził.

Inspektor zgodził się, że to bardzo prawdopodobne, powiedział, że mogą już iść do domów i że byłoby dobrze, gdyby zechcieli spotkać się tu nazajutrz około siódmej wieczorem.

- Ale właściwie po co? Przecież wszystko jest jasne? - spytała Ewa.

Sleuth z szacunkiem pochylił głowę.

- W zasadzie tak, ale być może będę potrzebował jakichś szczegółów czy dodatkowych informacji, nie umiem przewidzieć. Sądzę, że może być pomocna konfrontacja z panem Dwellem...

- Akurat będzie czekał, żebyście przyszedli go aresztować! - mruknął po polsku Stanley.

- ...a ponieważ Pat prosił, aby sprawę załatwić możliwie bez rozgłosu, lepiej chyba będzie, jeżeli spotkamy się tutaj, zamiast fatygować państwa do mnie. Oczywiście, jeśli wolicie państwo...

- Nie, nie! - żywo zareagował Ken. - Wolimy tutaj, wszystko, co pan zechce, byle trzymać prasę z daleka! Już widzę te nagłówki: „Reżyser filmowy zamieszany w zabójstwo swego kostiumologa”. I te nie kończące się prośby o wywiad! Zdezorganizowałiby mi całą pracę.

Inspektor Sleuth uśmiechnął się leciutko.

- Niestety, obawiam się proszę pana, że tak zupełnie nie da się tego uniknąć. Ale ja również wolałbym dla dobra śledztwa nie mieć prasy na karku, zwłaszcza w pierwszej fazie.

- Dla dobra śledztwa? - zdziwiła się Suzy. - A jakież tu śledztwo jest potrzebne? Wszystko przecież zupełnie jasne



- ma pan ofiarę, zabójcę i motyw, czegoż więcej szukać!

- Być może, jest tak, jak pani mówi, ale być może, jest całkiem inaczej. W moim zawodzie różnie bywa. Miejmy jednak nadzieję, że tym razem sprawa okaże się tak jasna, jak na to wygląda. Pozwolą państwo, że teraz się pożegnám. Pat, czy zechciałbyś odprowadzić mnie do samochodu?

Gdy tylko obaj panowie znikli za drzwiami, Walles burknął z przekąsem:

- Oczywiście, przyda się trochę poufnych informacji na nasz temat.

- Jak ci nie wstyd! - oburzyła się Jill. - Wszyscy jesteśmy zdenerwowani, rozumiem, ale powinieneś bardziej kontrolować to, co mówisz.

Ale Ann machnęła ręką.

- Daj spokój, Jill, nie warto. Poza tym Walles miał wyjątkowo nerwowy dzień, a raczej wieczór!

- Co chcesz przez to powiedzieć? - w głosie Wallesa wyżuwało się rozbudzoną czujność.

- Tylko to, co słyszałeś, nic ponadto.

Tu Ewa zaczęła coś mówić, by rozładować rodzący się konflikt i by Ann nie powiedziała w gniewie zbyt wiele.

Aszraf pytał Chrisa, czy mógłby pójść z nim jeszcze gdzieś na drinka.

- Rozumiesz, stary, po prostu nie mam odwagi wracać do mieszkania pełnego jego rzeczy, jego obecności, jego atmosfery. Nie mogę, no nie mogę... I nie chcę być sam.

Jill poparła go.

- Idź z nim, Chris! Walles odwiezie mnie do domu, prawda?

Kiedy wychodzili, hall był już pusty, tylko na dywanie widniał obrysowany kredą kształt martwego Gordona.

Przebudziwszy się następnego dnia rano Tyna, na wspomnienie białych zimnych linii, od których wiało śmiercią, poczuła się nieswojo. Sama w tym pokoju, tak bliskim miejsca zbrodni - przecież to zaraz, za ścianą. Wyskoczyła z łóżka i krzyżąc rozpaczliwie, pobiegła w głąb mieszkania. Przerazony Maciek wypadł z łazienki, mając pół twarzy w kremie do golenia i złapał ją za ramiona.

- Na litość boską, co się stało?!

Drzwi od pokoiów Ewy i dziewcząt otworzyły się gwałtownie i wszystkie trzy wyskoczyły na korytarz.

- Mówże wreszcie, co się znów stało?

Ale Tyna, wtulona w ramiona Maćka, potrząsała tylko głową. Wreszcie odsunęła się od niego, niezbyt elegancko pociągnęła nosem i powiedziała przepraszająco:

- Wygłupiłam się, przepraszam. Spróbujcie zrozumieć, idiotycznie się poczułam, sama, dwa kroki od... eeech, co wam będę tłumaczyć...

Ewa poklepała ją wyrozumiale po ramieniu.

- Już dobrze, stara, nie przejmuj się. Każdemu może się zdarzyć. Pam, bądź miła i zrób nam wszystkim kawę, dobrze?

Po kilkunastu minutach spotkali się ponownie przy kawie, ale jakoś nikt nie miał apetytu, nawet Maciek bez przekonania skubał swoją kanapkę.

- Co macie zamiar dzisiaj robić? - spytała Ewa.

Tyna wzruszyła ramionami.

- Zupełnie nie wiem. Poszłabym do Tower, ale wiesz, jakie tłumy tam dziś będą przy świętej niedzieli? To samo w ZOO.

- Wiem - zgodziła się Ewa. - Ale wiem również, że nie wytrzymam w domu. Pam i Suzy jadą gdzieś za miasto, a ja za żadne skarby nie zostanę sama. Słuchajcie, a może wybralibyśmy się na Portobello?

- To jest myśl - zapalił się Maciek. - Na Portobello mogę chodzić codziennie, nawet kiedy mam chandrę.

- Zapominasz, że nie jest czynne codziennie.

- Wiem, wiem, ale gdyby było...

W tym momencie rozległ się dzwonek telefonu i Ewa poszła odebrać. Dzwoniła Ann, żeby zapytać, jak się czują po wczorajszych wydarzeniach. Chciała się również dowiedzieć, czy Ewa albo Tyna wspominały komuś o tej podsłuchanej rozmowie, bo jeśli chodzi o nią, to nic nie powiedziała Patowi.

- My też nikomu.

- To dobrze. Myślę, że w tej chwili cała sprawa straciła znaczenie i nic ma co do tego wracać, zgadzasz się?

- Chyba masz rację.

- No, to na razie, zobaczymy się wieczorem, zgodnie z życzeniem inspektora.

- Na razie.

I Ewa odłożyła słuchawkę.

Zamykając za sobą drzwi wszyscy troje odczuli ulgę, do której sami przed sobą nie chcieli się przyznać, ulgę, że poza nimi zostały te białe linie, kontur tego, co było kiedyś Gordonem. Chodzili po domu, rozmawiali, pili kawę, ale w ich świadomości utkwily te białe ślady, niemal uwierały jak cierń.

Teraz, zamykając drzwi, odetchnęli. Szybko, nie korzystając z windy, zbiegli po schodach i wmieszali się pomiędzy przechodniów, pomiędzy ten barwny, londyński tłum, który wygląda tak beztrosko. Och, z pewnością ci ludzie też mieli swoje „białe linie”, ale nie widać było tego po nich, w każdym razie Tyna wołała nie zastanawiać się nad tym.

Portobello to niezbyt szeroka ulica, na której w niedzielę odbywa się... właściwie jak to określić? Jarmark? Targ?

Show handlowy? Po obu stronach jezdni, wzdłuż krawężników ustawione są stoiska, wózki, lub - w dalszej części ulicy, za wiaduktem - wręcz rozłożone na ziemi płachty, a na nich leżą stopy różności.

- Maciek, spójrz, małpki Agaty Christie! - wykrzyknęła w pewnym momencie Tyna aż pisnąwszy z emocji.

- Jak to: Agaty Christie?

- Och, w kilku swoich książkach wspomina przycisk do papieru w postaci trzech małych małpek, z których jedna zasłania sobie oczy, druga uszy, a trzecia trzyma łapę na ustach - aby nie mówić, nie słyszeć, nie oglądać niczego złego.

Zdołali odciągnąć Tynę od małpek dopiero wtedy, gdy jej pokazali Króla i Królową Straganiarzy w ubraniach gęsto obszytych od góry do dołu małymi perłowymi guziczkami, nawet królewski kapelusz był nimi pokryty. Królowa nosiła białą rokokową perukę i unosząc nieco spódnice, wdzięcznie wykonywała nieskomplikowane taneczne pas, jednocześnie drżącym głosem nucąc piosenkę, do której Jego Królewska Wysokość akompaniował grą na łyżkach.

W pewnej chwili Tyna powiedziała:

- Spójrzcie, Stanley!

Rzeczywiście, szedł naprzeciw nich, niosąc stertę puszek z piwem. Ewa zdążyła tylko wyjaśnić: - Walles ma tu dom - kiedy ich zauważył i zaczął się witać.

- Cześć, co tu robicie?

- A co można robić na Portobello? Łazimy.

- To może wpadniecie? Napijemy się czegoś zimnego, właśnie wyskoczyłem po piwo.

- Bo ja wiem? - Ewa niezdecydowanie popatrzyła na Tynę.

Beztroski nastrój prysnął, tragiczne wydarzenia wczorajszego dnia znów im stanęły przed oczami.

- Bo ja wiem - powtórzyła Ewa, jakby szukając u Tyny odpowiedzi na nie zadane pytanie.

- No, co jest! - zniecierpliwiał się Stanley. - Nie ma się nad czym zastanawiać, idziemy! - Pociągnął ich energicznie z powrotem.

Cały dom Wallesa podzielony był przepierzeniami na małe klitki, które przeznaczono na stoiska handlowe. Gdzie nie starczyło przepierzeń, po prostu ustawiono stoły, najmniejszy kawałek miejsca był wykorzystany. Wszystkie te stoiska Walles wydzierzawiał poszczególnym sprzedawcom. Stanowiło to dla niego niezłe źródło dochodów, wręcz złotą żyłę.

Prześcięli się przez tłum kupujących i weszli na pierwsze piętro, gdzie przy końcu stoisk rozmieszczonych wzdłuż korytarza, mieściły się drzwi z napisem „private”. Stanley zapukał, usprawiedliwiając się jakby:

- Walles nie znosi, kiedy wchodzi się bez pukania.

Ewa i Tyna nie wytrzymały, aby nie wymienić spojrzeń.

Ze środka dobiegło głośne „come in” i Stanley ujmując klamkę, zawołał:

- Prowadzę ci gości!

Czy Tynie wydało się tylko, czy rzeczywiście Walles pospieszenie wsunął coś pod stertę papierów, leżących na biurku? Znowś spojrzała na Ewę, ta leciutko przymknęła oczy. A więc tak, też to zauważyła. Było tu coś, czego nie powinny zobaczyć. Przez ułamek sekundy panowała trochę niezręczna cisza, ale zaraz Walles zaczął się krzątać przy otwieraniu puszek z piwem i częstowaniu gości.

- Świetnie, że wpadliście. A może zjemy razem lunch?

- Dziękujemy, ale raczej nie, musimy wracać. Całe wczorajsze zmywanie czeka na nas - tłumaczyła Ewa.

- Mieliliśmy pomóc przy sprzątnięciu - przypomniał sobie Stanley, ale Ewa pokręciła głową.

- Dajcie spokój, nie trzeba, poradzimy sobie bez was.  
- Jak chcesz - Walles wyraźnie nie palił się do pomocy. -  
Okropna historia z tym Gordonem, któż by pomyślał...  
Szkoła, taki zdolny chłopak! Bardzo go lubiłem.

- Doprawdy? - zdziwiła się niewinnie Ewa. - A mnie się  
zdawało że nie przepadałeś za nim. Nie dalej jak wczoraj  
powiedziałeś mi, że to zupełne zero.

- Ja? Chyba mylisz mnie z kimś innym. Zawsze wysoko  
ceńnię Gordona! - W głosie Wallesa dźwięczała absolutna  
szczerłość.

- Dajcie spokój, jakie to może mieć teraz znaczenie -  
włączył się Stanley.

Zaczął mówić o czymś innym, ale rozmowa wyraźnie  
się nie kleiła, tak że po paru minutach pożegnali się z obo-  
pólną ulgą.

Znów wyszli na gwarne, rozedrgane słońcem i ludźmi  
Portobello.

- Widziałeś, schował jakiś papier! - powiedziała Tyna.

- Tak... myślę, że to się wiązało z wczorajszą rozmową,  
nie uważasz?

- Na pewno!

- O czym wy mówicie - zainteresował się Maciek. - Co  
za papier? Jaka rozmowa?

- Nic ważnego, takie tam babskie sprawy...

Powoli i niechętnie skierowali się w stronę domu.

Ze ściśniętym sercem ominęli w hallu biały obrys i Ewa  
mruknęła:

- Zapytam inspektora, czy można to już zetrzeć.

Pam i Suzy nie wróciły jeszcze, mieszkanie było puste i  
ciche, jakby przyczajone.

- No, kochani, bierzemy się do roboty! - ze sztucznym

ożywieniem zakomenderowała Tyna. - Maciek, weź odkurzaczy, my zmywamy. Hallu oczywiście nie ruszaj. W tym momencie odezwał się telefon.

- Ewa, do ciebie! - zawołał Maciek.

Podeszła do aparatu, by po chwili z pasją cisnąć słuchawkę na widełki.

- Cholera jasna - klęła - tylko tego idiota jeszcze mi trzeba! - A widząc ich pytające spojrzenia, wyjaśniła: - Tony, oczywiście. Dzwonił, żeby zapytać, czy zmieniałam zdanie i przypomnieć, że mam jeszcze dwa dni czasu do namysłu.

- Wiesz co - powiedział z namysłem Maciek - on chyba obserwuje dom. Wygląda na to, że widział jak wracaliśmy, dał ci czas na wejście do mieszkania i wtedy zadzwonił.

- Eee, nie sądzę, to czysty przypadek. Mógł dzwonić w czasie naszej nieobecności parę razy, tak długo aż mnie wreszcie zastał.

Ale Maciek potrząsnął głową.

- Kiedy wracaliśmy, jakiś facet przyglądał się nam zza tego domu na rogu i w pewnej chwili się schował. Myślę, że to mógł być Tony.

- Prawda, ty go nigdy nie widziałeś! Może i masz rację. - Ewa zastanawiając się podparła dłońią policzek. - Ann mówiła wczoraj, że on znów się tu kręci... Trzeba będzie coś z tym zrobić... A teraz do roboty!

Mimo że były to tylko porządki po tak zwanych „łebkach”, zajęły im jednak przeszło godzinę. Potem trzeba było przygotować coś do zjedzenia, zjeść, znów sprzątnąć, tak że była piąta, kiedy wreszcie usiedli w pokoju Ewy i zapalili spokojnie papierosy. Maciek włączył telewizor i tak siedzieli, prawie nie rozmawiając, zmęczeni porannym spacerem i domowymi zajęciami, w napięciu oczekując nadejścia inspektora.

Pierwsi przyszli Ann i Pat, a zaraz po nich wpadły Suzy z Pamelą i popędziły wprost do łazienki pod prysznic.

Ewa zabrała Ann do kuchni, pozostawiając panów nad coca-colą i wraz z Tyną zreferowały jej swą przypadkową wizytę u Wallesa.

- Tak - zgodziła się Ann. - Prawdopodobnie schował papiery dotyczące sprawy, o której wczoraj mówił Gordon. Moim zdaniem nie powinniśmy wtrącać się do tego, nie nasza rzecz. Zresztą nawet nie wiemy dokładnie, o co chodziło, domyślamy się tylko, a to za mało. Sprawa szantażu upadła wraz ze śmiercią Gordona, nie ma co tego rozgrzebywać.

Musiały przerwać, bo nadeszli Johnstonowie, a potem w krótkich odstępach czasu - reszta.

I znów byli tu wszyscy razem, podobnie jak wczoraj, z jedynym wyjątkiem - zabrakło Gordona, a oni, w przeciwieństwie do wczorajszego rozbawieni i ożywieni, siedzieli teraz przygnębieni i zdenerwowani. Wallis spacerował z kąta w kąt, mijając się z Aszrafem, Frances skubała swój naszyjnik, Jill, nie mogąc usiedzieć, przenosiła się z miejsca na miejsce, Christ bębnił palcami po własnym kolanie, Ken, wciśnięty głęboko w fotel, w ogóle się nie odzywał, słowem - każdy w jakiś sposób objawiał napięcie. Jeden Pat miarowo pykał fajkę, spokojny jak zawsze, z uprzejmym zainteresowaniem spoglądając na otoczenie.

Inspektor Sleuth nie kazał czekać na siebie, zjawił się punktualnie co do sekundy, w towarzystwie niedużego, szczupłego młodzieńca, o bystrych, czarnych oczach, którego przedstawił krótko:

- Mój pomocnik, Jerry Blythe.

Młodzieniec uklonił się, po czym usiadł w kącie i zdawał się zupełnie nie zwracać uwagi na zebranych. Zapanowała cisza, przerwana wreszcie przez Aszrafa.



- Nie widzę Raymonda, czyżbyście go, panowie, nie złapali? A może został pod kluczem?

Inspektor zrobił niewyraźny, jakby przepraszający, ruch ręką, położył przed sobą notes i odpowiedział wolno:

- Chwileczkę, jeśli państwo pozwolicie, zreferuję wszystko po kolei. Po to tu jestem, prawda?

Aszraf mruknął coś usprawiedliwiająco pod nosem i sięgnął po nowego papierosa. W pokoju było prawie niebiesko od dymu, niemal wszyscy palili.

- A zatem - rozpoczął uprzejmym tonem inspektor - pan Raymond Dwell został jeszcze wczoraj aresztowany przez nas pod zarzutem zabójstwa. Jego adres otrzymaliśmy od portiera w poprzednim miejscu zamieszkania. Wrócił do domu dosyć późno, nasi ludzie musieli trochę poczekać. Był wstrząśnięty wiadomością o śmierci pana Westley'a, początkowo nie mógł zrozumieć, jaki to ma w ogóle związek z jego osobą. Owszem, przyznawał się do gwałtownej sceny, ale twierdził, że kiedy w szczytowym punkcie awantury wybiegł z mieszkania, zostawił przyjaciela żywego. Doszło między nimi do ostrej wymiany zdań, ale nie do rękoczynów. Kategorycznie temu zaprzeczył.

- I wyście mu uwierzyli? - z pasją wtrącił Aszraf.

Inspektor Sleuth ciągnął dalej, jakby nie słysząc:

- Proszę państwa, nasze badania potwierdziły słowa pana Dwella. To nie on zabił.

Po sekundzie zaskoczenia, odezwał się z namysłem Ken:

- Chyba pana nie zrozumiałem, inspektorze. Jeżeli nie Raymond, w takim razie kto?

- Niestety, tego w tej chwili jeszcze nie wiemy. Mogę państwu tylko powiedzieć, że pan Westley nie umarł na skutek ciosu w skroń lichtarzem, czy jakimkolwiek ciężkim

przedmiotem. Rana na skroni była wynikiem uderzenia o marmurowy róg stolika w chwili upadku denata. Dokonaliśmy sekcji zwłok. Proszę państwa - pan Westley został otruty cyjankiem.

Tyna przerażonym gestem złapała się za głowę, z drżących palców Stanleya wypadł zapalony papieros, Aszraf zerwał się na równe nogi, jakby chciał się rzucić na inspektora.

- Pan powiedział: otruty?- wychrypiał.

Sleuth uprzejmie skinął głową.

- Dokładnie tak powiedziałem. Najprawdopodobniej cyjanek został podany w kawie. Pan Dwell zeznał, że denat miał ze sobą filiżankę kawy, przy zwłokach znaleźliśmy zresztą skorupy. Niestety, moi ludzie popełnili karygodny błąd: uważając sprawę za oczywistą, nie zabezpieczyli tych skorup. Może to odwlec wykrzyć zabójcy. - Tu inspektor westchnął, jakby z ubolewaniem nad indolencją swoich współpracowników.

- Sądzę - kontynuował - że przebieg wydarzeń był następujący: pan Dwell w finale kłótni wybiega z mieszkania, zostawiając za sobą otwarte drzwi, pan Westley sięga po kawę, wypija trochę - cyjanek ma działanie błyskawiczne - pada przewracając stół i raniąc sobie skroń o jego róg.

W pokoju panowała martwa cisza, słychać było tylko ciężki oddech Aszraf a.

- Pan Dwell miał niewielkie możliwości wsypania trucizny do kawy, praktycznie żadne, teoretycznie jednak musimy założyć, że wykorzystał jakiś moment nieuwagi swej potencjalnej ofiary. Powtarzam, jest to dosyć karkołomne przypuszczenie, jednak wykluczyć go nie możemy. Zwolniliśmy pana Dwella, ponieważ spośród wszystkich państwa on jest najmniej podejrzany.

- Jak to? - Jill wpatrywała się w inspektora szeroko

otwartymi oczami. - Pan podejrzewa kogoś spośród nas?

Sleuth skłonił się nisko, z nieco staroświecką galanterią.

- Niestety, proszę pani. Każdy z państwa miał o wiele więcej okazji, żeby wsypać cyjanek do kawy, niż pan Dwell.

- Chcesz powiedzieć... - Pat wolno wypukiwał fajkę o brzeg popielniczki. - O ile cię dobrze zrozumiałem, chcesz powiedzieć, że ktoś spośród nas tu zebranych jest mordercą?

Inspektor w milczeniu znów skłonił głowę.

- Ale dlaczego? - Maciek w zdenerwowaniu nie mógł przez chwilę znaleźć angielskiego słowa. - Motywy! Morderca musiał mieć motywy!

- O ile wiem, nikt z nas ich nie miał - dołączył się Chris. - Gordon był raczej lubiany.

Tyna siedziała jak na rozżarzonych węglach, czuła, jak z emocji palą ją uszy. Nie mogła się powstrzymać, by nie zerknąć w kierunku Ewy. Ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy, poszukały oczu Ann i wtedy wszystkie trzy zdały sobie nagle sprawę, że spod ściany obserwuje je pan Jerry Blythe. Tyna chrząknęła, jakby nagle, zakrztusiła się dymem, a w głowie tłukła się jej jedna myśl: - Walles, Walles miał powód.

A inspektor Sleuth mówił dalej:

- Zakładam więc, że kawa pana Westleya została zatruta przed jego wyjściem do hallu. Jest prawie niepodobieństwem odtworzyć poruszenia wszystkich państwa, niemniej musimy spróbować. Chciałbym też wiedzieć, kto zajmował się przygotowywaniem kawy i kto ją przynosił do pokoju.

- W zasadzie - Ewa odpowiedziała nieco drżącym głosem - w zasadzie ja, Tyna, Pam i Suzy, a Maciek nosił. Powtarzam jednak, że tylko w zasadzie, ponieważ później,

w trakcie przyjęcia, niektórzy goście sami sobie robili kawę czy herbatę.

- Ja na przykład - zgłosiła się Ann - robiłam kawę dla siebie i męża.

- A ja - wtrącił Chris - dla Jill i chyba dla Aszrafa, nie jestem pewien.

- Walles, ty także przygotowywałaś w kuchni kawę - przypomniała sobie Suzy.

- Ja? A tak, tak, nie chciałem was fatygować i sam zrobiłem... - głos Wallesa nie brzmiał zbyt pewnie i Tyna zdała sobie sprawę, że Jerry Blythe przyglądała się teraz uważnie Wallesowi.

- Cyjanek niekoniecznie musiała wsypać osoba przygotowująca kawę, mógł to zrobić każdy z państwa, już tu, w pokoju. Dlatego chciałem prosić, żebyście starali się przypomnieć sobie najdrobniejsze nawet zdarzenia wczorajszego wieczoru, a gdy coś wydało się państwu dziwne, proszę mi o tym powiedzieć.

- Nie rozumiem, co to znaczy dziwne? - zmarszczyła nos Suzy. - W jakim sensie?

Inspektor rozłożył ręce.

- Ba, że bym to ja wiedział! Myślę o wszystkim, co w jakiś sposób zwróciło państwa uwagę, zdziwiło, coś, co było inaczej, nie tak... choćby to był, waszym zdaniem, zupełny drobiazg. Proszę zapisać numer telefonu, pod którym można mnie zastać albo zostawić dla mnie wiadomość.

A gdy wszyscy zakończyli posłuszne poszukiwanie długopisów i notesów, dodał:

- Chciałbym się z państwem spotkać, powiedzmy pojutrze, we wtorek, o tej samej porze.

Zamknął notes, z którego w ogóle wydawał się nie korzystać, wstał i raptem, jakby mimochodem, zapytał:

- Aha, w portfelu denata znaleźliśmy, czek na pięć tysięcy

funtów, podpisany przez pana Wallesa. Czy mógłby mi pan wyjaśnić?...

W ciszy, w czasie której Tyna całą siłą woli zmusiła się, aby nie spojrzeć znów na Ewę, zabrzmiał nieco schrypnięty głos Wallesa:

- To... zwrot pożyczki...

- Nie wiedziałem, że zmarły był tak bogatym człowiekiem - zdziwił się inspektor. - Pięć tysięcy to spora suma! Cóż, dziękuję za wyjaśnienia i do widzenia państwu. Do wtorku.

## 5.

Popołudniowe słońce przesiane przez gałęzie drzew kładło się drobnymi plamami na ścieżki Kensington Gardens. Kolorowe, roześmiane dzieci biegały po trawie, chowały się wśród krzewów, a ich głosiki dźwięczały w powietrzu, mieszając się z odgłosami miasta.

Maciek i Tyna wracali z British Museum. Po wielogodzinnej wędrowce przez niezliczone ilości sal, byli już nieco zmęczeni. Na Russel Square wsiedli więc w metro.

- A może przeszlibyśmy się trochę po parku? - zaproponował nieoczekiwanie Maciek.

- Jesteś nie do zdarcia! - westchnęła Tyna. - Dobrze, możemy wysiąść przy Hyde Park Corner, skoro tak cię pięty śwędzą.

Dzień był rzeczywiście piękny, ciepły, ale nie upalny, i z przyjemnością wędrowali Hyde Parkiem aż do Ogrodów Kensingtonskich.

- Spójrz, jaka sympatyczna ławeczka - Tyna pociągnęła za sobą Maćka. - Posiedźmy trochę na powietrzu.

Ogarnęło ich rozleniwienie. Dobrze było tak siedzieć

wśród zieleni, świergotu ptaków i dziecięcych głosów, patrząc na spacerujących i odpoczywać.

- Hej, to chyba Pat i Ann - zauważył w pewnej chwili Maciek.

Rzeczywiście, to oni nadchodzili alejką. Ann pchała wózek z córką.

- Rodzinny spacer?

- Właśnie. Taka piękna pogoda, nie chce się siedzieć w domu. Skorzystałyśmy z tego, że Pat wrócił wcześniej z redakcji i wyciągnęłyśmy go trochę na spacer. - Ann wyjęła małą z wózeczka i postawiła koło ławki. - Pobiegnij sobie, kochanie.

Dziewczynka stała chwilę, przyglądając się wszystkim z namysłem, potem podreptała na tłustych nóżkach do Maćka, położyła paluszek na jego okularach słonecznych i powiedziała zdecydowanie:

- Daj!

- Ależ, kochanie, bądź grzeczna, tak nie można - mitygowała ją Ann, ale mała powtórzyła z przekonaniem:

- Daj! Daj!

Maciek roześmiał się.

- Zostaw, Ann. Jeśli prawdziwa kobieta naprawdę się uprze, to nie pomogą żadne perswazje.

I podał dziecku okulary.

- Może zepsuć!

- Miejmy nadzieję, że jej się nie uda.

Mała przez chwilę obracała okulary na wszystkie strony, dotknęła nimi czubka nosa, potem położyła je na kolanach Maćka i powiedziała: „Be” - tracąc jednocześnie zainteresowanie dla tego przedmiotu.

- Masz patyczek - podsunęła Tyna - porysuj sobie trochę.

Ten projekt wyraźnie przypadł jej do gustu, przykucnęła

i zaczęła kreślić na ziemi skomplikowane figury.

- Co myślicie o wczorajszych rewelacjach? - zapytał Maciek, wyciągając papierosy. - Inspektor wyraźnie powiedział, że mordercą jest ktoś z nas, przecież to zupełnie nieprawdopodobne.

Pat pokiwał głową.

- Może i nieprawdopodobne, ale skoro zabójcą nie jest Raymond, w takim razie musi to być ktoś z nas.

- Dlaczego? Po pierwsze, inspektor nie wykluczył Raymonda tak stuprocentowo, po drugie, mógł to zrobić na przykład Tony.

- Tony? - zdziwiła się Ann. - Po cóż Tony miałby zabijać Gordona? Poza tym, w jaki sposób dostał się do mieszkania, w jaki sposób wsypał truciznę? Nie, to zupełnie nonsensowne...

- Dlaczego? - upierał się Maciek. - Wiemy, że Tony kręci się koło domu, może ma dorobione klucze? Może chciał zabić Ewę?

- Bredzisz, skarbie. - Tyna uspokajająco poklepała go po ramieniu. - Jak to sobie wyobrażasz? Tony otwiera drzwi podrobionym kluczem, myli Gordona z Ewą, niepostrzeżenie wysypuje cyjanek do kawy i ulatnia się, przekonany, że otruł Ewę? Przecież to się kupy nie trzyma!

Maciek był wyraźnie zgaszony.

- Cóż, może rzeczywiście to nie tak...

- Na pewno nie tak!

- Ja raczej podejrzewam Wallesa - powiedziała Ann.

- Albo Stanleya! - dorzuciła Tyna. - Nie sądzisz, że Wallesa mógł wyręczyć brat?

- Też możliwe. Wiesz, nie pomyślałam o tej ewentualności, a wykluczyć jej nie można.

- Moje miłe, gdybyście zechciały mówić jaśniej, rozmowa nabrałaby rumieńców. Wytlumaczcie nam, czemu to

Walles miałby truć Gordona? Mógłbym ewentualnie przyjąć jako motyw sprawę pożyczki tych pięciu tysięcy funtów. Bardzo to naciągane, bo kto morduje dla takiej sumy, ale założmy, że Walles woli otruć, niż zwrócić pieniądze. No dobrze, moi złoci, tylko że on przecież je oddał i cała hipoteza bierze w łeb! - Pat wydmuchnął wąską smugę dymu.

Ann i Tyna popatrzyły na siebie niezdecydowanie, wreszcie Tyna wzruszyła ramionami:

- W tej sytuacji chyba trzeba będzie im powiedzieć.

- No więc to wcale nie była pożyczka - zaczęła Ann. - Peggy, nie bierz patyka do buzi! To był okup. Nie patrzcie na mnie, jakbym była niespełna rozumu! Wiem, co mówię. To znaczy, może to się nie nazywa okup, tylko jakoś inaczej, w każdym razie to były pieniądze za milczenie.

- Gordon szantażował Wallesa, rozumiecie? - włączyła się Tyna. - I to już od pewnego czasu!

- Chwileczkę - zdumiony Pat wyjął z ust fajkę. - Gordon był szantażystą? Co wyście wymyśliły?

Ale one, rozgrzane, mówiły już teraz jedna przez drugą:

- Tak, tak, Gordon! Wiedział, że Walles ma coś wspólnego z narkotykami...

- I że złoto do swoich wyrobów zdobywa w nielegalny sposób...

- Niechcący słyszałyśmy całą rozmowę, była z nami jeszcze Ewa!

- Tak, i słyszałyśmy, jak powiedział mu, że go kiedyś ukatrupi...

- Sam widzisz, że to jest motyw, może nie?

- Pytanie teraz, czy nie powinniśmy opowiedzieć o wszystkim inspektorowi, jak myślicie?

I w tej chwili sparaliżowało ich uprzejme pytanie:

- O czym to powinniście opowiedzieć inspektorowi?



Z tyłu, za ławką, stał Walles. W ferworze rozmowy nie usłyszeli, jak się zbliżył przez trawnik. Co mógł usłyszeć?

Po ułamku sekundy Pat odpowiedział niedbałym tonem:

- Och, Maciek podejrzewa o to morderstwo Tony'ego, my jesteśmy zdania, że to nonsens. Ale może jednak coś w tym jest, może należałoby podsunąć tę hipotezę Sleuthowi? Jak uważasz?

Na nieruchomej twarzy Wallesa trudno było cokolwiek odczytać. Milczał chwilę, jakby rozważał słowa Pata, wreszcie odezwał się:

- Moim zdaniem, to wcale nie jest takie głupie, ten pomysł z Tonym. Ale ze Sleuthem nie rozmawiałbym, niczego konkretnego nie wiemy, łatwo człowieka skrzywdzić podejrzeniem. Niech sam rozwiązuje zagadkę, w końcu bierze za to pieniądze... A my się nie wtrącamy!

- Może masz rację - skwapliwie zgodziła się Ann. - Peggy, chodź tu, kochanie, wytrę ci rączki, popatrz jak się ubrudziłaś!

- Cóż... - Pat wytrząsnął popiół z fajki - trzeba chyba wracać. Mam jeszcze trochę pisania w domu. Idziecie?

- Ależ tak! - Tyna i Maciek poderwali się z ławki, przerażeni myślą, że mogliby zostać sam na sam z Wallosem.

Ale on nie miał ochoty zrezygnować z ich towarzystwa.

- Odprowadzę was kawałek. Wprawdzie jestem umówiony - zerknął na zegarek - ale mam jeszcze trochę czasu.

Ann usadowiła małą w wózek i powoli ruszyli przed siebie.

- Tak, na waszym miejscu byłbym bardzo ostrożny w rozmowach z inspektorem. Lepiej trzymać język za zębami, to bezpieczniejsze. Poza tym prawda jest przeważnie zupełnie inna, niż nam się wydaje.

A gdy żadne z nich nie odpowiedziało, dorzucił, nieco poirytowany:

- Co, nie zgadzacie się ze mną?

- Och nie, to nie to - uprzejmie odpowiedział Pat. - Po prostu oszołomiłeś nas tym niemal pirandellowskim podejściem do tematu: jest tak, jak się państwu zdaje, a może całkiem inaczej. Prawda - rzecz nieuchwytna. Nie posądzałem cię o taką subtelność umysłu.

Wallis rzucił na niego podejrzliwe spojrzenie.

- Wygląda mi na to, że sobie ze mnie pokpiwasz.

- Ależ skąd, nie bierz tego do serca, Pat ma czasem taki dziwny sposób bycia... - próbowała łagodzić Ann, ale Wallis był nadal nachmurzony i po paru minutach pożegnał ich. Bez słowa uszli ze sto jardów, dopiero wtedy, dyskretnie obejrawszy się za siebie, odważyli na rozmowę.

- Jak myślicie, słyszał czy nie? - pytał gorączkowo Maciek.

- Trudno powiedzieć... Chociaż, moim zdaniem to, co mówił, wskazywało na to, że słyszał.

- Wyraźnie nas przestrzegał, żebyśmy nie rozmawiali z inspektorem!

- To jeszcze o niczym nie świadczy.

- A zdanie, że prawda może być inna, niż nam się wydaje? Tony był tylko pretekstem, on nie chciał, żebyśmy o nim mówili ze Sleuthem. Pamiętajcie, użył określenia „bezpieczniejsze” - to wyraźne ostrzeżenie!

- Nadal uważam, że to o niczym nie świadczy. - Pat powtórzył swoje zdanie. - Może słyszał, może nie. Zresztą to mniej istotne, należy się raczej zastanowić nad tym, co dalej - mówić z inspektorem czy nie? Jak dotąd, Wallis jest jedynym spośród nas, który miał wyraźne motywy, ba, nawet ogroził się, że zabije Gordona.

- Uhum, powiedział: „Aż się prosisz, żeby cię ukatrupić”  
- przytaknęła Tyna.

Maciek pokręcił przecząco głową.

- Walles jest jedynym, o którym wiemy, że miał motyw. A przecież nie możemy wykluczyć istnienia jeszcze kogoś innego, komu Gordon w jakiś sposób był niewygodny.

- Słusznie, taka możliwość zawsze istnieje - przytaknęła Ann.

- Przekazując nasze wiadomości inspektorowi, możemy niechcący ukierunkować śledztwo. Nie sądzicie, że zasugerowany przez nas, może przeoczyć coś ważnego?

Zatrzymali się na skraju chodnika w oczekiwaniu na zielone światło. Mała Peggy, siedząc w wózek, z wielkim zainteresowaniem ssła swój palec, zerkając niepewnie, czy matka tego nie widzi, ale Ann była całkowicie pochłonięta rozmową.

- Rzeczywiście, moglibyśmy wpłynąć na przebieg śledztwa, nie wiadomo tylko, czy z pożytkiem...

Pat, nie chcąc dłużej czekać, wcisnął guzik dla pieszych i zaraz pojawiło się zielone światło. Przeszli na drugą stronę i, jak gdyby to przekroczenie jezdni rozproszyło ich wahania, podjęli decyzję.

- Zaczekajmy jeszcze dzień, dwa, taka zwłoka nie powinna mieć żadnego znaczenia, a potem zobaczymy. Być może do tego czasu inspektor sam znajdzie już rozwiązanie.

- Dobrze by było! - westchnęła Ann. - Marzę o tym, żeby choć na weekend stąd wyjechać...

Pat lekko pogłaskał ramię żony.

- Może rzeczywiście zrobimy sobie mały urlop. A wy? Nie wybralibyście się z nami? No i oczywiście z Ewą? Mamy nieduży domek, jakieś trzy godziny od Londynu, nie

jest to wprawdzie nic wspaniałego, ale... Zawsze to wyrwanie się z dużego miasta, pewien rodzaj odmiany, więc jeżeli tylko macie ochotę...

- Oczywiście, z wielką przyjemnością!

- Świetnie, zatem jesteśmy umówieni, a do Ewy zadzwonię wieczorem, myślę, że też się chętnie wybierze.

- Na pewno! Przyda jej się parę dni oderwania od tego całego koszmaru i idiotycznych telefonów Tony'ego.

- Żeby tylko pogoda się nie zmieniła!

- Miejmy nadzieję, że wszystko wypadnie jak najlepiej. No to cześć, dzwoniemy wieczorem!

I Pat, przejąwszy wózek z Peggy, skręcił w lewo, a Maciek z Tyną poszli prosto.

Na klatce schodowej było chłodno, pachniało płynem do polerowania klamek, portierka pusta, widocznie Jim krzątał się gdzieś na tyłach domu.

- O Boże, jak ja wyglądam! Nos mi się świeci, niczym reflektor - jęknęła Tyna, zerknąwszy na swe odbicie w lustrze windy.

- Mnie to nie przeszkadza - i Maciek pochyliwszy się, pocałował ją w czubek nosa.

Przed drzwiami do mieszkania przystanęli, szukając chwilę kluczy, potem weszli. Hall był uporządkowany, marmurowy stół z lichtarzem stał na swoim miejscu, starto białe linie i dla przygodnego obserwatora nic nie wskazywało na to, że tak niedawno rozegrała się tutaj tragedia. Oni jednak, najszybciej jak tylko mogli, przeszli do swego pokoju. Kontury śmierci zniknęły wprawdzie z podłogi hallu, ale ich obraz pozostał boleśnie utrwalony w ich świadomości.

- Nie czuję nóg, popatrz jakie mi pęcherze powyskakiwały - narzekała Tyna.

- Wiecznie coś masz z tymi nogami, księżniczko na ziarnku grochu. Co będziemy jedli?

- Poczekaj chwilę, najpierw muszę się umyć. Myślę że najprościej i najtaniej będzie zrobić makaron z parmezanem i z jajkiem.

- Wolałbym kotlet schabowy - rozmarzył się Maciek.

- Wybij to sobie z głowy, nie jesteś w Polsce. Jeśli chcemy pochodzić po teatrach, trzeba oszczędzać. Jeść będziemy po powrocie, w kraju.

- Wiem, wiem - z rezygnacją westchnął Maciek.

- Ostatecznie mogę ci przysmażyć jedną kiełbaskę.

- A daj mi spokój z tym ich paskudztwem, wołę już jajka!

- Jak sobie życzysz, my sweet!

Zaczęły się krzątać, przygotowując skromny obiad. Tyna rzuciła buty i poobklejawszy się plastrami, z rozkoszą biegła na bosaka.

Skończyli poobiednie zmywanie i siedzieli przy kawie, kiedy wróciły Pam i Suzy, a zaraz po nich Ewa.

- Jedliście już? To świetnie, bo ja też zjadłam po drodze, natomiast chętnie napiję się kawy, zrobisz mi, Maciek?

- Oczywiście.

- Gdzieście byli, coście widzieli?

Zaczęły opowiadać o swej wizycie w British Museum, gdy zadzwonił telefon.

- Zostaw, ja odbiorę - powiedziała Ewa, widząc, że Maciek chce pójść do przedpokoju. - To na pewno Tony.

Widzieli, jak podniosła słuchawkę, powiedziała „halo” i po paru sekundach odłożyła ją z powrotem.

- Zaczyna być nudne - powiedziała, siadając przy stole i sięgając po kawę. - Oczywiście Tony.

- Mówiłem, że obserwuje dom! Kiedy cię nie ma, nie

dzwoni, a ledwo wejdiesz - telefon. To nie może być przypadek! - gorączkował się Maciek.

- Pewnie masz rację.

- Czego chciał?

- Zdążył tylko powiedzieć: „Kochana, został ci czas do jutra” - dalej nie słuchałam. Powiem jutro inspektorowi, może zaradzi temu natręctwu. Opowiadajcie dalej!

Kontynuowali więc swoją opowieść o spotkaniu z Kennedallami, o tym jak zaskoczył ich Walles, i że nie wiadomo, czy słyszał czy nie słyszał, co o nim mówili, i że... W tym momencie odezwał się dzwonek u drzwi.

- Ja otworzę! - zawołała Pam, która kręciła się po korytarzu.

Okazało się, że o wilku mowa, a wilk tuż: to Walles wpadł, jak sam to określił, na chwilę, przechodził w pobliżu i postanowił zajrzeć. Tuż pod domem spotkał Chrisa, przyszli więc obaj.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy - upewnił się Chris, zauważywszy niewyraźne miny obecnych.

- Ależ skąd! - Ewa przywołała na twarz najpiękniejszy uśmiech. - Jesteśmy trochę przygaszeni, bo widzicie, Tony znów dzwonił. Przypomniał, że jutro kończy się termin, jaki mi dał.

- Nie powinnaś brać tego poważnie - powiedział Walles.

- Tony to zwykły kabotyn. Ostatecznie żyjemy w cywilizowanym społeczeństwie, w którym nie morduje się ludzi dla byle głupstwa.

- Doprawdy? Zapomniał pan chyba o Gordonie - powiedział wolno Maciek.

Zapanowała niezręczna cisza, którą przerwał Chris.

- Może się mylę, ale wydaje mi się, że Tony jest zbyt słaby, żeby zabić. Jest chwiejny, tchórzliwy, a morderca musi być silny.

- Niekoniecznie - powiedziała Tyna, patrząc uważnie

na Wallesa. - Czasem słabi też zabijają: ze strachu,

- Zmieńmy temat - zaproponowała Ewa. - Czego się napijecie, kawy czy czegoś zimnego? I przenieśmy się do mojego pokoju.

- Najchętniej zimnego - zgodzili się obaj przybyli, a Chris dodał: - Może Pam i Suzy napiłyby się z nami?

Ewa spojrzała na niego nieco zdziwiona, ale powiedziała tylko:

- Jeżeli chcesz, zapukaj i poproś je, może przyjdą.

Dziewczęta chętnie skorzystały z zaproszenia i po chwili siedzieli wszyscy w pokoju Ewy. Popijali piwo i coca-colę, palili papierosy, rozmawiali o wszystkim po trosze, ale pytanie - kto zabił? - tak ich nurtowało, że rozmowa ponownie zбочzyła na temat ostatnich wydarzeń.

- Jak myślicie, kto to mógł zrobić? - spytała Pam. - Inspektor powiedział, że ktoś z nas, ale mnie się to wydaje niemożliwe!

- Chyba inspektor wie, co mówi. Musi mieć jakieś realne podstawy do podobnego stwierdzenia, nie uważasz? - odpowiedział Maciek.

- Czyżby zakładał pan nieomyślność inspektora? - w głosie Wallesa brzmiała ironia. - Jest tylko człowiekiem. Pan sam wysunął dziś teorię, że mogła to być na przykład pomyłka Tony'ego.

- O jakiej pomyłce mówicie? - zdziwiła się Ewa. - Nic nie rozumiem!

Zamiast odpowiedzi Walles zgniótł papierosa w popielnicze.

- Dajcie spokój! - machnął ręką Chris. - I tak nie rozwiążemy tej zagadki. Zastanawia mnie inna sprawa: co miał inspektor na myśli prosząc, abyśmy go poinformowali, jeżeli przypomnimy sobie coś dziwnego, co miało miejsce w niedzielę?

- Ja też w pierwszej chwili tego nie zrozumiałam. - Suzy podniosła do ust papierosa. - Ale teraz myślę, że wiem, o co mu chodziło.

- No to powiedz! - przynagliła ją Pam.

- Kiedy zaczęłam sobie przypominać wszystko po kolei, uprzytomniłam coś sobie...

Wallis patrzył na nią uważnie.

- Cóż takiego? - spytał obojętnym tonem.

Ale Suzy już zdawała się żałować tego, co powiedziała, i niechętnie wykręciła się od odpowiedzi.

- Może to w ogóle nie ma znaczenia, może tylko mnie wydało się dziwne, inspektor musi sam rozstrzygnąć. Póki tego nie zrobi, nie chcę o tym mówić.

- Bardzo słusznie, Suzy - przytaknął jej Chris. - W ogóle, moi kochani, wydaje mi się, że powinniśmy zostawić rozwiązanie sprawy Sleuthowi, nie ma co bawić się w domorosłych detektywów. Najlepiej byłoby wyjechać gdzieś na parę dni, oderwać się od tych czarnych rozważań!

- Zabawne - mruknęła Tyna. - O tym samym rozmawialiśmy dziś z Kennallami. Nawet zaprosili nas na weekend, razem z tobą, Ewo. Będą jeszcze dzisiaj dzwonić w tej sprawie. Wszystkich nas ogarnęła chęć ucieczki... Zabawne... - powtórzyła.

- Nie widzę w tym nic zabawnego! - zniecierpliwił się Wallis. - I nie nazywałbym tego ucieczką. Po prostu przeżyliśmy szok i chcemy o nim zapomnieć. Chyba nie ma w tym nic złego?

- To zależy - pokiwał głową Maciek. - Zależy czy chcemy zapomnieć o tym, cośmy przeżyli, czy o tym, cośmy zrobili.

- Nie rozumiem, do czego pan zmierza!

- Do niczego, absolutnie do niczego. Myślę głośno, to wszystko.



- Dajcie spokój! - Chris próbował załagodzić. - Jesteśmy poddenerwowani, a ty, Walles, niepotrzebnie w każdym słowie dopatrujesz się aluzji i osobistych wycieczek.

- Ja? - w głosie Wallesa brzmiało najczystsze zdumienie.

- Zostawmy ten temat, naprawdę nie ma sensu... Chyba pójdziemy już, stary? - to było do Wallesa. - Wszyscy jesteśmy dziś w nienajlepszej formie. Ewa, wybacz najście...

- Nie mam co wybaczać.

- No to do jutra!

- Do jutra. Do spotkania z inspektorem.

- Może już znalazł zabójcę? - W głosie Pam zabrzmiało tyle nadziei, że aż Chris się uśmiechnął.

- Może... chociaż osobiście nie bardzo w to wierzę.

Kiedy zamknęły się drzwi za wychodzącymi, Tyna skarciła Maćka:

- Niepotrzebnie go prowokujesz. Raz, że to bez sensu, dwa - może być niebezpieczne...

- ... a trzy - dokończył Maciek - że rozdrażniony, może się z czymś zdradzić, oczywiście, jeśli to on.

Ewa zasłoniła uszy rękami:

- Błagam, dajcie spokój! Mówmy o sztuce prekolumbijskiej, lotach kosmicznych czy o dupie Maryni, byle nie o tym!

- W porządku.

Reszta wieczoru upłynęła na oglądaniu telewizji. Gdzieś około ósmej zadzwonił Pat, umówili się na wspólny weekend i tak minął poniedziałek.

Wtorek wstał chmurny i deszczowy. Ludzie ulicami snuli się w zwolnionym tempie, patrząc sennie spod parasoli. Krople deszczu rozpryskiwały się o płyty chodników,

bębniły po parapetach, łącząc się w małe strumyczki spływały po szybach. Nie było w tym nic z wesołej, letniej ulewy, raczej przypominało jesienną szarugę. Maćki obudziły się dopiero koło dziesiątej. Dom był pusty, cichy, tylko deszcz pukał do okien. Ewa i obie lokatorki dawno wyszły do pracy, byli sami i prawdę mówiąc, nie chciało im się w ogóle wychodzić w taką pogodę. Leżeli, wpatrzeni leniwie w padający deszcz, zawieszeni między jawą a snem. Wreszcie Maciek poderwał się energicznie.

- Dostyc leniuchowania, wstajemy!

W odpowiedzi Tyna ułożyła się wygodniej i szeroko ziewnęła.

- Nie bądź nerwowy, staruszk. Dokąd mamy się śpieszyć?

- Wstawaj, nie marudź, szkoda dnia. Przecież nie przyjechaliśmy tu po to, żeby się wylegiwać do południa, trzeba jak najwięcej zobaczyć, bez względu na pogodę. I tak dotąd mieliśmy słońce. No, wstawaj, bo cię ściągnę za nogi!

Przestraszona taką perspektywą Tyna zaczęła się gramolić z łoża, narzekając jednocześnie na domowych sadystów, których ulubionym zajęciem jest znęcanie się nad żoną, ale Maciek absolutnie nie wydawał się tym przejęty. Pogwizdując „Singing in the rain” przerzucił plan Londynu.

- Nigdzie daleko nie pójde. Tower wybij sobie z głowy przy tej pogodzie - kategorycznie zapowiedziała Tyna. - Mogę pójść do Tate Gallery. Albo nie! Bliżej mamy Muzeum Alberta i Victorii. To wszystko, na co mnie stać dzisiaj.

Maciek skrzywił się.

- Wczoraj muzeum, dzisiaj muzeum - ale widząc nieustępliwą minę żony, westchnął z rezygnacją. - Dobrze,

niech będzie Victoria i Albert. Lepsze to niż gnicie w domu.

Zabrali się do przygotowania śniadania, wszystko jednak szło jakoś ospale, przedmioty wymykały się z rąk. Tyna rozlała kawę i musiała sprzątać, mrucząc pod nosem brzydkie wyrazy, Maćkowi chleb spadł ze stołu, tak że zrobiło się po jedenastej, kiedy wreszcie byli gotowi do wyjścia. A i to ledwie zatrzasnęli za sobą drzwi i podeszli do windy, Tyna stwierdziła brak parasolki.

- No i co mam teraz zrobić? - złościła się, stojąc bezradnie na schodach. - Przecież bez parasolki zmokniemy, a wracać po nią nie można, bo to przynosi pecha.

Maciek był wyraźnie rozbawiony.

- A nie ma żadnego sposobu, żeby ten ewentualny pech odczynić, zamówić czy jak tam się to nazywa? - spytał z pełną powagą.

Popatrzyła na niego podejrzliwie.

- Właściwie jest... Trzeba wejść do domu, usiąść na chwilę, policzyć do swojej ulubionej liczby, na przykład do trzynastu, tam i z powrotem, i udawać, że się wcale nie wracało, że dopiero teraz jest to właściwe wyjście... Nie wiem, czy mnie rozumiesz?

- Powiedzmy. Czemu więc nie zastosujesz tego sposobu?

- Maciek nadal był śmiertelnie poważny.

- Bo nie jestem stuprocentowo pewna jego skuteczności. Poza tym nie bardzo mam ochotę znaleźć się sama w tym nieszczęsnym hallu, choćby tylko na moment.

- Mogę wejść z tobą.

- Nie, już trudno. Wejdę sama. Po co oboje mamy mieć dzisiaj pecha? Ale stój przy samych drzwiach, zostawię je szeroko otwarte i będę bardzo szybko liczyła.

- Dobrze - uśmiechnął się Maciek, myśląc jednocześnie, że nawet w dorosłych kobietach ukrywa się mała, niemądra dziewczynka.

- Chodź, ty moja Emilio Plater! - pocałował ją czule w policzek, kiedy wreszcie wybiegła z parasolką.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego! - obruszyła się. - To, że wy, mężczyźni, jesteście odważniejsi od nas, wynika po prostu z waszego braku wyobraźni!

Maciek dyplomatycznie przemilczał uszczypliwość i wreszcie zjechali windą na dół. Kiedy wyszli na ulicę, uderzył w nich zapach deszczu, zieleni, mokrej ziemi i mimo pochmurnego nieba, było w tej woni coś z wiosennej świeżości, co do razu poprawiło nastrój Tyny.

- Nie jest tak źle - powiedziała. - Przez okno wyglądało o wiele gorzej. To nawet może być całkiem przyjemne, taki spacer przez deszczowy Londyn!

Przytuliła się do ramienia Maćka i ruszyli w takt gwizdanej przez niego melodii „Deszczowej piosenki”.

W muzeum było niewielu zwiedzających, oczywiście jak na tę porę roku. Panowała cisza i spokój, dopóki nie zjawiła się wycieczka małych, skośnookich Japończyków, obwieszonych aparatami fotograficznymi, którzy świergotali pośpiesznie w swym egzotycznym języku. Starając się unikać tego gwarne go towarzystwa, Maciek i Tyna, trzymając się za ręce, wędrowali od mebli do obrazów, od zegarów do kostiumów teatralnych, od kostiumów do instrumentów muzycznych, przysiadali gdziekolwiek, aby odpocząć, i znów wędrowali z sali do sali, mijając umundurowanych woźnych, spoglądających na nich sennie i obojętnie.

Gdzieś po trzech godzinach tego krążenia poczuli, że mają dosyć.

- To co, wracamy do domu? - zaproponowała raczej niż zapytała Tyna.

- A która godzina?

Tyna zerknęła na zegarek.

- Za dwadzieścia trzecia. Akurat zrobimy coś do zjedzenia,

odpoczniemy trochę i będzie szósta. O Boże, ależ jestem zmęczona! Jak mówią Anglicy - moje nogi mnie zabijają!

- A co będziemy jedli na obiad? Znów makaron?

Tyna pogłaskała ramię Maćka.

- Niestety, kochanie.

Kiedy wyszli na zewnątrz budynku, stwierdzili, że deszcz prawie przestał padać, mżył tylko, a niebo tak jakby się przecierało.

- Może jednak będziemy mieli pogodę na weekend.

Rozmawiając o tym i owym doszli do domu. Już mieli wejść na klatkę schodową, kiedy Maciek uświadomił sobie, że skończyły się im papierosy.

- Zaczekaj chwilę, to nie potrwa nawet minuty.

Ale Tyna była bardzo zmęczona i marzyła, aby wreszcie usiąść, wyciągnąć nogi, odpocząć.

- Nie mam siły stać, jadę na górę, a ty wracaj jak naj-  
szybciej.

- Nie będziesz się czuła nieswojo sama? Jest dopiero po trzeciej, ani Ewa, ani dziewczęta nie wróciły jeszcze z pracy. O ile pamiętam, rano...

- To było rano. Teraz tak mnie bolą nogi, że nie jestem w stanie myśleć o czymkolwiek innym. Ale pośpiesz się!

I Tyna minęła drzemiącego w portierce Jima, wsiadła do windy, wjechała na drugie piętro. Przed drzwiami chwilę grzebała w torbie, szukając klucza, wreszcie otworzyła, zrobiła parę kroków i zamarła, przerażona śmiertelnie. W hallu, twarzą do ziemi, z włosami pozlepianymi krwią, z rozrzuconymi na boki rękami, leżała kobieca postać.

Parasolka i torba wysunęły się ze zdrtwiałych rąk Tyny, z przeraźliwym krzykiem rzuciła się do ucieczki. W panice zapomniała o windzie, biegła po schodach, na podeście potknęła się i upadła, zdzierając skórę z dłoni, ale nawet

nie poczuła bólu i znów biegła dalej, nieprzytomna z przerażenia. Na parterze wpadła w ramiona wracającego Maćka.

- Co się stało, na litość boską?!

Ale Tyna spazmatycznie łąpała powietrze, jak ryba wyjęta z wody i nie była w stanie wykrztusić z siebie ani słowa. Rozbudzony hałasem Jim wyszedł z portierki i przyglądał się im podejrzliwie.

- Opanuj się i powiedz, co się stało? - potrząsał nią Maciek.

- Nie żyje... Zabili... - wyjąkała wreszcie.

- Kto nie żyje?! - prawie krzyknął Maciek, a nie mogąc doczekać się odpowiedzi, zakomenderował: - Jedziemy na górę, wsiadaj do windy! Może zechce nam pan towarzyszyć - zwrócił się do Jima. - Wygląda na to, że w mieszkaniu stało się coś złego.

Kiedy wjechali na górę, zastali drzwi do mieszkania szeroko otwarte, tak jak zostawiła je wybiegając Tyna. W hallu nadal leżała nieruchoma postać, krótka spódniczka podwinęła się, ukazując opalone uda, obok połyskiwał przewrócony lichtarz, tym razem chyba niewątpliwe narzędzie zbrodni.

- To Suzy - szepnęła Tyna, nie mogąc oderwać wzroku od zakrwawionych włosów.

Przerażony portier stał, nie śmiąc się poruszyć.

- Może jeszcze żyje, sprawdzałeś? Tyna pokręciła przecząco głową.

- Uciekłam od razu.

Maciek przyklęknął obok wyciągniętego ciała i ostrożnie ujął rękę Suzy, szukając tętna, po czym równie ostrożnie opuścił ją, starając się zachować jej poprzednie ułożenie.

- Niestety, nie żyje. Daj mi telefon inspektora, trzeba go wezwać.

Drżącymi rękami Tyna podała mu notes. Wciąż bardzo ostrożnie, aby nie zatrzeć ewentualnych śladów, Maciek obszedł ciało i znikł w głębi mieszkania. Słyszała, jak telefonował.

- Zaraz będą - powiedział wracając. - Wyjdźmy stąd, zaczekamy na schodach.

Usiedli wraz z przerażonym portierem na górnym stopniu i chciwie zapalili papierosy.

Nie czekali długo. Po upływie nie więcej niż dziesięciu minut przyjechał inspektor Sleuth z Jerryem Blythe.

- Reszta moich ludzi zaraz będzie. Wejdźmy do środka.

Ponownie przekroczyli próg mieszkania. Blythe natychmiast przykłęknął przy Suzy, dotknął jej ręki i w odpowiedzi na pytające spojrzenie inspektora, potrząsnął przecząco głową.

- No cóż - powiedział Sleuth - rozejrzyj się, zanim nasi przyjadą, a ja chciałbym tymczasem zadać państwu kilka pytań. Czy po znalezieniu ciała wchodziliście w głąb mieszkania?

- Byliśmy tylko w hallu - odpowiedziała Tyna, odwracając oczy od leżącej postaci. - No i mąż dzwonił do pana z aparatu w przedpokoju.

- Bardzo dobrze. Przejdźmy może teraz do pokoju państwa. Pan też - to ostatnie odnosiło się do portiera.

Ostrożnie ominęli ciało i weszli do pokoju Maćków. Inspektor stanął przy oknie.

- Kto znalazł ciało?

- Ja. - Tyna wysunęła się krok do przodu.

- Proszę mi opowiedzieć, jak to było. - Ale zaledwie zaczęła opowiadać, że wjechała windą na górę i otworzyła drzwi kluczem, przerwał następnym pytaniem: - Jest pani pewna, że były zamknięte?

- Tak, zupełnie pewna.

- Kto ostatni wychodził dzisiaj z mieszkania?

- My. Około jedenastej wyszliśmy do Muzeum Victorii i Alberta.

- Rozumiem. I jest pani pewna, że wychodząc zamknęliście państwo drzwi dokładnie?

- Najzupełniej. Zresztą to jest zamek zatraskowy, a oprócz tego drugi, z zasuwką, gdybym nawet zapomniała o dolnym, zatrask działa automatycznie... - płątała się Tyna.

- Proszę mówić dalej - zachęcił ją inspektor.

- Otworzyłam więc drzwi, weszłam do hallu i... i Suzy, tam leżała. Zaczęłam krzyczeć, uciekłam po schodach, na dole wpadłam na męża, powiedziałam mu, co się stało, i razem z portierem wjechaliśmy na górę. Maciek zaraz do pana zadzwonił, a potem czekaliśmy na schodach. To wszystko.

- Czy ruszała pani ciało?

- Ja? Nie. Nie dotykałam Suzy. Tylko Maciek, tylko mąż - poprawiła się - próbował namacać tętno, mieliśmy nadzieję, że może żyje... Ale starał się nie zmienić położenia ciała, jeżeli o to panu chodzi, dotykał tylko jej ręki.

- Jest pani tego pewna?

Tyna ze zdumieniem popatrzyła na inspektora.

- Oczywiście. Znadto byłam przerażona, natychmiast uciekłam.

- Proszę spojrzeć na swoją prawą rękę, jest cała zakrwawiona - powiedział łagodnie Sleuth.

Tyna wdrygnęła się, spojrzawszy na swoją dłoń.

- Widocznie skaleczyłam się, kiedy upadłam na schodach. A potem byliśmy zbyt przejęci, aby to zauważyć...

- Czy pan - inspektor zwrócił się do portiera - widział, kiedy państwo wrócili z muzeum albo kiedy pani po raz pierwszy wsiadała do windy?



Zapytany pokręcił głową z zakłopotaniem.

- Nie widziałem, chyba zdrzemnąłem się trochę. Usłyszałem raptem, że ktoś krzyczy na górze, biegnie po schodach i potem ta pani wpadła koło portierki na tego pana i coś do siebie mówili, ale nie wiem co, bo to nie było po angielsku. A potem ten pan powiedział, żebym z nimi wjechał na górę, bo tam się stało coś złego. No to pojechałem. Potem ten pan zadzwonił gdzieś, mówił, że na policję i usiedliśmy na schodach, żeby poczekać...

- Proszę mi jeszcze powiedzieć, czy widział pan dzisiaj pannę Suzy?

- Rano nie. Dopiero w porze lunchu, chyba było po dwunastej, a może wpół do pierwszej, widziałem, jak wchodziła do windy.

- Czy była sama?

- A nie. Z jakimś mężczyzną.

- Z mężczyzną? Jak wyglądał? Czy widywał go pan tu przedtem?

- Ani nie wiem, jak wyglądał, ani nie wiem, czy był tu kiedy, bo go właściwie nie widziałem, mignęły mi tylko jego plecy.

- A może pamięta pan, jak był ubrany?

Portier wzruszył ramionami.

- Nie pamiętam, nie przyglądałem się. Skoro był w towarzystwie panny Suzy, znaczy znajomy, w porządku, nie było co się przyglądać.

Inspektor w odruchu irytacji przygryzł dolną wargę.

- Czy panna Suzy często wracała na lunch do domu?

- Żeby często, nie powiem, ale zdarzało się... One obie, to znaczy panna Suzy i panna Pamela, pracują w szpitalu tu zaraz, trzy domy dalej. Blisko mają, nie, to czasem wpadały...

Inspektor zerknął do swego notesu, potem wysunął głowę przez drzwi i zawołał w stronę hallu:

- Sprowadźcie ze szpitala obok pannę Pamelę Conroy. To stażystka, nie wiem, na jakim oddziale jest dzisiaj.

Zamknął drzwi i powtórnie zwrócił się do portiera.

- Potem nie widział pan już panny Suzy?

- Nie. Dopiero tam, w hallu...

- Kiedy wyszedł ten mężczyzna, który jej towarzyszył?

- Nie wiem. Nie widziałem. Byłem z drugiej strony domu, miałem tam trochę rzeczy do uporządkowania, może wtedy wyszedł.

- Długo pan tam był?

- Bo ja wiem... Poszedłem chyba w jakiś kwadrans po przyjściu panny Suzy i siedziałem z pół godziny, może trochę dłużej.

- A kto z lokatorów mógł być w domu?

- Na moje rozeznanie to chyba nikt. Lipiec, panie inspektorze, ludzie powyjeżdżali na wieś, a ci, którzy zostali, są w pracy.

Sleuth pokiwał głową w zamyśleniu.

- Cóż, dziękuję na razie. Gdyby pan sobie coś przypomniał...

- Tak jest, panie inspektorze, oczywiście - i portier z niekłamana ulgą opuścił pokój.

- Chyba czas zająć się pani ręką - zwrócił się inspektor do Tyny. - Trzeba to obmyć i zdezynfekować.

A gdy odwróciła się w kierunku drzwi, ruszył spod okna za nią.

- Pozwoli pani, że będę towarzyszył?

- Ależ to niepotrzebne - zaprotestowała gorąco.

- Pozwoli pani jednak... - upierał się Sleuth.

Tyna popatrzyła na niego ze zdumieniem i nagle przełknęła jej przez głowę niedorzeczna myśl. Czyżby inspektor ją podejrzewał?

- Jeszcze jedno pytanie - powiedział Sleuth. - Skąd

państwo wiedzieliście, że to jest panna Suzy, skoro ciało leżało twarzą do podłogi.. Sądząc z sylwetki, mogła to być również pani Ewa...

- Ewa? - wzdrygnęła się Tyna. - Nie. Wprawdzie mają podobne figury i ciemne włosy, ale Ewa nie nosi tak krótkich spódniczek... Od razu wiedziałam, że to Suzy...

Sleuth popatrzył na nią przeciągle, ale nic już nie powiedział, tylko uprzejmym gestem otworzył drzwi.

W hallu trwała ożywiona krzątanina, przyjechała reszta ekipy z doktorem. Nieco oszołomiony Maciek ruszył wolno za inspektorem i Tyną. Kiedy mijali kuchnię, wyrzwał stamtąd Jerry Blythe.

- No i co znalazłeś? - zapytał Sleuth.

- Niewiele. Filiżanka po kawie, parę krakersów na talerzyku i to wszystko.

- Jakież odciski palców?

- Aż za dużo, jak to w kuchni, z której korzysta tyle osób. Weźmiemy potem odciski wszystkich mieszkańców, ale nie sądzę, żeby to coś dało.

- Trudno, rozglądaj się dalej, może natrafisz na coś ciekawego.

W łazience Tyna obmyła dłoń i wtedy okazało się, że ma nie tylko zdartą skórę, ale i głębokie rozcięcie; widocznie padając zahaczyła o metalowe ozdoby balustrady. Sięgnęła do apteczki, zawieszanej na ścianie i Maciek sprawnie założył opatrunek.

- No, co inspektorze - spytała Tyna - przekonał się pan, że naprawdę upadłam na schodach? Czy przestałam być już podejrzaną numer jeden?

- Niezupełnie - odparł spokojnie Sleuth - mogła się pani skaleczyć specjalnie, sama, żeby ukryć krew, której nie było czasu obmyć.

Tyna patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami!

- Pan mnie naprawdę podejrzewa?

- Po prostu rozważam wszelkie ewentualności. Na pani korzyść przemawia temperatura ciała denatki; morderstwo musiało zostać popełnione jakieś dwie godziny przed podniesionym przez panią alarmem.

- Dziękuję. A nie sądzi pan, że mordercą był mężczyzna, z którym Suzy przyszła?

- Prawdopodobnie, ale mógł to również być ktoś, kto przyszedł później. Panna Suzy przychodzi wraz ze swym znajomym, który wpadł może na chwilę pożyczyć książkę, czy coś w tym rodzaju, i zaraz wychodzi. Wtedy denatka przygotowuje sobie kawę, zjada mały lunch i wtedy też dopiero zjawia się morderca. Za tą tezę przemawiałby fakt, że zastaliśmy tylko jedną filiżankę po kawie, gdyby znajomy pozostał dłużej, sądzę, że mielibyśmy dwie filiżanki.

- Mógł również po dokonaniu zbrodni sprzątnąć swoje nakrycie - bąknął Maciek.

- Oczywiście i to możliwe.

- Panie inspektorze - Tynę nagle przeraziła nieoczekiwana myśl. - A czy morderca nie mógł być w mieszkaniu wówczas, kiedy ja przyszłam? Przecież mógł po mojej ucieczce wymknąć się na trzecie piętro, przeczekać, aż wszyscy troje weszliśmy do hallu i wtedy zbiec na dół!

- Owszem - przyznał inspektor. - Istnieje taka możliwość. Ale skoro przyjęliśmy czas morderstwa w przybliżeniu na godzinę, powiedzmy: dwunastą trzydzieści - trzynastą trzydzieści, morderca musiałby przesiedzieć w mieszkaniu około dwóch godzin, a nie widzę powodu, dla którego miałby to zrobić. Chyba że spędził ten czas na szukaniu czegoś, ale jak dotąd, nie mam żadnych sygnałów, że jakiegokolwiek poszukiwania miały miejsce. Sądzę więc, że morderca uciekł natychmiast po dokonaniu zabójstwa, nie zauważony przez portiera, który w tym czasie przebywał na tyłach domu.

W tym momencie z głębi korytarza wyłonił się jeden z współpracowników inspektora.

- Melduję, że panna Conroy już idzie.

- Dobrze. Czy ciało jest zakryte?

- Tak, właściwie możemy je zabrać. Zabezpieczyliśmy lichtarz, którym został zadany cios, świadczą o tym ślady krwi i przyklepione pojedyncze włosy. Odcisków palców brak, prawdopodobnie morderca ujął go przez chusteczkę. Brak również jakichkolwiek śladów wytrycha, wygląda na to, że albo drzwi były otwarte, albo ofiara sama wpuściła zabójcę.

- W pozostałych pomieszczeniach też nic?

- Nic.

- Sprawdzaliście, czy ktoś z lokatorów nie zauważył czegoś?

- Sprawdzaliśmy, panie inspektorze, ale o tej porze właściwie nikogo nie ma. Na trzecim piętrze zastaliśmy panią Faerly lat siedemdziesiąt dwa, nic nie widziała, ani nie słyszała, nie opuszczała domu. Na parterze pani Mosey lat trzydzieści cztery, również nie opuszczała domu, leży z powodu lekkiej niedyspozycji żołądka. I to wszystko.

- Niewiele, jak na szesnastu lokatorów - mruknął inspektor. - Co z orzeczeniem lekarskim?

- Śmierć na skutek uderzenia ciężkim przedmiotem, cios zadany od tyłu w okolice prawej skroni, czas zgonu przypuszczalnie między dwunastą a trzynastą. Oczywiście to tylko wstępna hipoteza. Dokładnie będzie można orzec dopiero po sekcji.

- Dziękuję. Możecie zabrać ciało i wracać. Dajcie tu pannę Conroy. Pozwolą państwo, że będę nadal korzystał z ich pokoju?

- Ależ oczywiście.

- Czy nie zechciałaby pani - to było skierowane do Tyny

- przygotować na wszelki wypadek coś na uspokojenie, obawiam się, że może nam być potrzebne.

Inspektor miał rację. Kiedy po chwili Tyna weszła ze szklanką wody i pastylkami na uspokojenie, zastała Pamelę bladą, rozszlochaną, leącą dosłownie przez ręce.

- Pomóżcie mi ją położyć, szybko. Pam, łknij to, zaraz się lepiej poczujesz.

- Staralem się możliwie delikatnie... - usprawiedliwił się Sleuth.

- Wiem, inspektorze, to nie pańska wina. Dla każdego byłby to szok, a cóż dopiero dla Pam, która była przyjaciółką Suzy.

Tyna przysiadła na brzegu tapczanu.

- Jak się teraz czujesz, kochanie?

Ale Pam nadal leżała, podparta poduszkami, z trudem łapiąc powietrze.

- Odsuńcie się od okna, żeby miała więcej powietrza, a ty zgaś tego papierosa, Maciek. Lepiej przynieś jeszcze trochę zimnej wody.

Gdy Maciek spełnił jej polecenie, umoczyła chusteczkę i skropiła delikatnie skronie leżącej. Z wolna Pam uspokajała się, oddech stawał się równiejszy, policzki odzyskiwały normalne zabarwienie. Wreszcie usiadła przy pomocy Tyny.

- Pewnie chce mi pan zadać jakieś pytania, inspektorze. Suzy była moją serdeczną przyjaciółką - tu głos jej załamał się na moment, ale zaraz się opanowała. - To była naprawdę dobra dziewczyna, nikomu nie zrobiła nic złego... Proszę, niech pan pyta...

Inspektor Sleuth skłonił niską głowę.

- Bardzo dziękuję, panno Conroy. Kiedy widziała pani przyjaciółkę po raz ostatni i czy wiedziała pani, że poszła do domu w porze lunchu?

Pam wciągnęła głęboko powietrze.

- Pracowałyśmy dzisiaj na różnych oddziałach, ja byłam na położniczym, Suzy na internie. Koło dwunastej był do niej telefon, wiem, bo Betsy myślała, że pracujemy dziś razem i przyszła jej szukać na mój oddział. Betsy to pielęgniarka. A potem wpadła Suzy i powiedziała, że idzie do domu, bo musi coś załatwić, pytała, czy niczego nie potrzebuję, bo mogłaby mi przynieść. Ale ja niczego nie potrzebowałam, poza tym miałam pełne ręce roboty, jak to na położniczym... Zapytałam tylko, co to za wielbiciel dzwonił, bo do szpitala raczej rzadko do nas telefonowano a Suzy roześmiała się i powiedziała: to nie wielbiciel, potem ci wszystko opowiem. Więcej jej nie widziałam.

Zapanowała cisza, w czasie której wszyscy myśleli o ślicznej Suzy, tak pełnej życia jeszcze niedawno. Wreszcie odezwał się Sleuth.

- W jakim nastroju była pani przyjaciółka, kiedy rozmawiała z panią po tym telefonie? Nie wydawała się może zaniepokojona lub przygnębiona?

- Nie. - Pam pokręciła głową. - Była taka jak zawsze. Nie zauważyłam, żeby przywiązywała jakąkolwiek wagę do tego telefonu. Czy pan podejrzewa, że to dzwonił morderca? - wzdygnęła się, wymawiając to słowo.

- Nie wiem. Trudno mi w tej chwili coś powiedzieć. Wiemy tylko, że panna Suzy około dwunastej odebrała telefon, po którym udała się w porze lunchu do domu, żeby, jak sama oświadczyła, „coś załatwić” i wiemy również, że mniej więcej o dwunastej trzydzieści widział ją portier, wsiadającą do windy w towarzystwie jakiegoś mężczyzny, prawdopodobnie tego, który uprzednio dzwonił. Naszym zadaniem jest teraz odnaleźć owego mężczyznę, jeśli nie jest mordercą, nie powinniśmy z tym mieć trudności... Czy zechciałaby pani podać mi nazwisko panny Betsy, tej, która odbierała telefon?

- Szefie... - w uchylonych drzwiach ukazała się twarz Jerry'ego. - Chciałbym panu coś pokazać.

- Idę. Państwu dziękuję, ale mam jeszcze prośbę: byliśmy tu dziś umówieni na godzinę szóstą, niedługo zaczną się pewnie wszyscy schodzić. Bardzo proszę, nie wspominać o tym, co się stało. Proszę pozostawić to mnie.

I podczas gdy Tyna znów zajęła się Pamelą, inspektor opuścił pokój.

W hallu Blythe wskazał mu niewielką, niemal niezauważalną plamkę na dywanie.

- Widzi pan, szefie? Krew. Ale skąd krew w tym miejscu, skoro głowa ofiary znajdowała się o ponad dwa jardy bliżej korytarza?

Sleuth przyklęknął we wskazanym miejscu i zmierzył wzrokiem odległość dzielącą małą, ciemną kropkę od białego obrysu.

- Spróbuj zebrać drobiny do analizy - powiedział podnosząc się - trzeba porównać z grupą krwi denatki. I poproś tu tę Polkę.

A kiedy Tyna prawie natychmiast znalazła się w hallu powiedział:

- Proszę wskazać nam, w którym miejscu znajdowała się pani, kiedy zauważyła pani zwłoki?

Tyna stanęła w niewielkiej odległości od drzwi.

- Myślę, że gdzieś tutaj.

- A potem, kiedy weszliście państwo we trójkę?

- Również nie podchodziłam bliżej.

- Wobec tego - inspektor zwrócił się do Jerry'ego Blythe: - myślę, że możemy chyba wykluczyć ewentualność, iż to krew z pani skaleczonej dłoni. Jednak dla uzyskania pewności muszę zaprosić panią do naszego laboratorium... Może to jeszcze być krew mordercy, zeskrób zaraz tę plamkę i daj do analizy.



- Dobrze szefie - odparł Blythe - ale zastanawia mnie jeszcze jedno. Przy tym położeniu ciała, jakie zastaliśmy, stolik wraz z lichterzem znajdowałby się po lewej ręce zabójcy, na wysokości głowy zamordowanej. Stwarzałoby to zasadniczą trudność w pochwyceniu lichterza tak, by ofiara tego nie zauważyła. Ponadto cios został zadany od tyłu, w okolicy prawej skroni, nie był to więc mańkut. Czy nie przychodzi panu zatem do głowy, że ciało początkowo upadło w tamtym kierunku, głową do drzwi wejściowych? Przy takiej hipotezie morderca w chwili zadania ciosu znajdował się o kilka kroków za swą ofiarą i stolik z lichterzem miał po prawej ręce. Uderzył i dopiero potem odwrócił ciało głową w stronę korytarza, tak jak je zastaliśmy.

- To bardzo prawdopodobne - zgodził się inspektor. - Pytanie tylko, w jakim celu morderca zmienił położenie zwłok?

## 6.

Kiedy około szóstej zaczęli się schodzić uczestnicy fatalnego sobotniego przyjęcia, inspektor Sleuth zajął posterunek w pokoju Ewy, a przy drzwiach wejściowych pozostawił Jerry'ego Blythe. W ten sposób roztoczona została kontrola nad zachowaniem w tajemnicy tragicznego wydarzenia.

Ken Johnston, pochłonięty jak zwykle myślami o swym najnowszym filmie, w ogóle nic nie zauważył, jak również Frances i Stanley. Jill przeszła przez hall możliwie szybko, nie rozglądając się, tylko towarzyszący jej Aszraf zatrzymał się i mruknął, widząc białe kontury na dywanie:

- Dziwne, wydawało mi się, że Gordon leżał głową w

kierunku drzwi wyjściowych, a nie przedpokojem...

Pat, który nadszedł wraz z żoną zaraz po nich, na widok białego obrysu zamarł przez moment w miejscu, wymieniając z Ann niespokojne spojrzenie. Natychmiast po przejściu do pokoju, rozejrzał się po zebranych i zapytał:

- Gdzie jest Ewa?

- Jeszcze nie wróciła z pracy - odpowiedział uspokajająco Maciek.

- A Pamela? Gdzie jest Pam? - zainteresował się Aszraf.

- U siebie, trochę źle się czuła. Zaraz pewnie do nas dołączy.

W tej sytuacji Stanley poczuł się również upoważniony do zadania pytania.

- A panna Suzy jest już w domu?

W martwej ciszy Tyna z rozpaczą spojrzała na Pata, jakby chcąc mu przekazać tragiczną wiadomość. Wydało jej się, że zrozumiał, poszukał wzrokiem oczu inspektora, a ten odchrząknął i powiedział:

- Drodzy państwo, wszystko w swoim czasie. Mamy jeszcze pięć minut do oznaczonego terminu, reszta na pewno zaraz się zjawi.

I rzeczywiście, jak na dany sygnał, wpadł Walles, z pretencją do brata:

- Nie mogłeś mi zostawić wiadomości, że przyjdiesz nie czekając na mnie? Po co wracałem do domu, skoro tak ci się śpieszyło! - i nie słuchając Stanleya, ciągnął dalej: - Co to za nowa grafika użytkowa w hallu? Zdawało mi się, że wczoraj nie było tam już żadnych śladów. Czyżbyście panowie odtwarzali powtórnie sobotni wypadek?

- Podziwiam twoje poczucie humoru - mruknęła z dezaprobatą Jill, a inspektor Sleuth zainteresował się uprzejmie:

- Pan tu był wczoraj?

- Owszem. Widzi pan w tym coś niestosownego, inspektorze?

- Absolutnie nie! - inspektor wykonał dłonią gest, jakby się odzegnował od podobnych przypuszczeń. - Byłbym natomiast niezmiernie zobowiązany, gdyby zechciał pan opowiedzieć mi coś więcej o tej wizycie.

- Jeśli to pana interesuje - wzruszył ramionami Walles. - Przechodziłem w pobliżu i spotkałem Chrisa... O tobie mówię, stary! - to ostatnie odnosiło się do Chrisa, który właśnie wchodził do pokoju, ubrany w znakomitą zamszową koszulę w kolorze jasnej musztardy i ciemnobrązowe spodnie. - No i wspólnie wpadliśmy tu na parę minut. Jeżeli uważa pan za celowe, mogę powtórzyć, o czym rozmawialiśmy, kto był przy tym i co piliśmy. Gorzej będzie z ilością wypalonych papierosów, obawiam się, że nie mogę służyć dokładnymi danymi.

- Zachowujesz się niepoważnie, Walles! - Frances była pełna dezaprobaty.

- Jeżeli nie sprawi to panu kłopotu - inspektor zdawał się nie słyszeć uszczypliwości i mówił nadal bardzo uprzejmie - proszę mi szczegółowo opowiedzieć przebieg rozmowy. Myślę, że ilość papierosów możemy sobie darować.

- Jak pan sobie życzy, inspektorze. - I Walles zrelacjonował poprzedni wieczór. - Przyda się to panu do czegoś? - zapytał skończywszy.

Inspektor popatrzył na niego uważnie.

- Bardziej, niż pan sądzi. A więc panna Suzy przypomniała sobie coś dziwnego i chciała ze mną rozmawiać?

- Tak powiedziała, może ją pan zresztą sam spytać.

W tym momencie wpadła zadyszana Ewa.

- Przepraszam ogromnie, że tak w ostatniej chwili, ale

nie mogłam wcześniej. Wszyscy już są, prawda? Inspektorze, a cóż to znowu jest w hallu, czyżby się coś nie zgadzało?

- Moment - przeprosił ukłonem Sleuth. - Jerry, bądź tak dobry, zapukaj do panny Conroy, poproś, żeby zechciała tu przyjść.

A kiedy po chwili Pam stanęła w drzwiach, powiedział:

- Teraz jesteśmy już wszyscy.

- Jak to wszyscy? - zdziwiła się Jill. - A Suzy? Brakuje - jeszcze Suzy!

Inspektor pokręcił głową i patrząc uważnie na obecnych, wolno powiedział:

- Panna Suzy nie przyjdzie, została zamordowana.

Cisza, która nastąpiła po tym zdaniu, nie trwała długo, pękła prawie natychmiast przerażonymi okrzykami i lawiną pytań.

- To niemożliwe, żeby Suzy! Dlaczego?

- Kiedy to się stało?

- Kto ją znalazł?

- To jakiś potworny koszmar!

- Stąd te cholerne białe linie w hallu!

- Zupełnie inna sylwetka, to oczywiste!

- Jak to się stało?

- Czy ją też otruto?

- Biedna Suzy!

- To po prostu niemożliwe! Inspektorze, może to tylko taki chwyt psychologiczny?

- Co tu się właściwie dzieje? Może ktoś chce wymordować nas wszystkich?!

- Ale dlaczego Suzy? Co ona komu zrobiła?

Tylko Pat siedział nieporuszony z fajką w zębach, z pionową zmarszczką na czole, myśląc nad czymś intensywnie.

Sleuth przeczekał pierwszą burzę pytań, po czym w

krótkich słowach zapoznał zebranych z przebiegiem zajścia, nie wspominając jednak o hipotezie, że morderca zmienił położenie ciała.

- Czy ktoś z państwa telefonował dziś do panny Suzy do szpitala albo był tu z nią w porze lunchu, albo w ogóle ją widział? - zakończył pytaniem.

Odpowiedziało mu milczenie, przerywane tylko cichym płaczem Jill.

- No cóż... - zwrócił się do Pameli. - Proszę panią o spis znajomych, być może dzwonił ktoś spoza kręgu obecnych.

W tym momencie Chris poruszył się niespokojnie.

- Telefon... To mi nasuwa pewne... Czy Tony dzwonił dzisiaj?

- Ewa spojrzała na niego zdumiona.

- Jak dotąd, nie.

- A zwykle dzwoni w parę minut po twoim powrocie do domu, prawda? O ile pamiętam, Maciek sugerował nawet, że obserwuje dom.

- Owszem - zgodziła się Ewa - ale nie bardzo rozumiem, co to ma wspólnego...

Chris przerwał jej gestem.

- Co ci wczoraj powiedział Tony, przypomnij sobie?

- „Kochana, został czas tylko do jutra”, czy coś w tym rodzaju.

- Przepraszam państwa - wtrącił się inspektor - ale może zechcielibyście wyjaśnić, o czym mowa!

Ewa, nieco skřępowana, pokrótce zapoznała go z całą historią i zakończyła stwierdzeniem, że właśnie dziś miała zwrócić się z prośbą, o zapobieżenie dalszemu natręctwu Tony'ego.

- Ale może wreszcie znudziły mu się te głupie telefony, skoro dziś nie dzwonił.

- Doprawdy sądzisz, że mu się znudziły? - nie dawał za

wygraną Chris. - A jeżeli Tony nie zadzwonił, bo sądził, że nie ma do kogo dzwonić?

- Nie rozumiem! - zduszonym głosem wyszeptała Ewa.

- Tony daje ci trzy dni do namysłu, żebyś zmieniła decyzję, obserwuje dom i codziennie po twoim powrocie przypomina telefonicznie, ile masz jeszcze czasu. Załóżmy, że widzi wracającą Suzy, z daleka bierze ją za ciebie - macie podobne sylwetki, podobne włosy - czeka piętro wyżej, aż wyjdzie ten ktoś, kto z nią przyszedł, i natychmiast wchodzi do mieszkania. Może ma podrobiony klucz, a może Suzy w roztargnieniu nie domknęła drzwi, może nie opuściła zatrasku? Zanim zdążyła odejść dalej, w głąb mieszkania, Tony cicho wszedł i uderzył ją od tyłu lichterzem, po czym uciekł w przekonaniu, że zabił ciebie. Czy nie mogło tak być, inspektorze?

Sleuth z zainteresowaniem pokiwał głową.

- Owszem, jest to jakaś hipoteza. Jestem pełen podziwu dla pańskiego zmysłu analitycznego.

Chris z zażenowaniem sięgnął po papierosa.

- To właściwie nie jest moja koncepcja, tylko Maćka.

- Moja? - zdziwił się niezmiernie Maciek.

- No tak, przecież to ty wysunąłeś hipotezę, że Gordon mógł paść ofiarą pomyłki Tony'ego, trucizna była przygotowana dla Ewy, a wypił ją Gordon. Dziś mogła zaistnieć podobna pomyłka.

- No, niezupełnie tak - zaprotestował Maciek. - Nie formułowałem tego tak szczegółowo. Po prostu wydawało mi się możliwe, że sprawcą sobotniego zabójstwa mógł być Tony. Ale po pierwsze, zostałem wyśmiany, że niby jak mógł pomylić Gordona z Ewą, dwa, nikt go nie widział na przyjęciu, trzy, pan Walles i ty przekonywaliście mnie wczoraj, że Tony nie jest typem człowieka, który mógłby

zamordować, że jest tchórzliwy, słaby psychicznie itd.

- Panowie rozmawiali wczoraj na ten temat? - wtrącił inspektor. - Nic pan o tym nie wspomniał.

Wallis wykonał niewyraźny gest ręką

- Po prostu zapomniałem, nie sądziłem, że to aż takie ważne.

- Zgoda! - Chris nie zrażony wyjaśnieniem Maćka, ciągnął dalej. - Ale teraz, wobec tego nowego zabójstwa, przyszło mi do głowy, że może jest coś w twoim pomysłu. Może należałoby się nad tym głębiej zastanowić... O ile w przypadku Gordona ta koncepcja wydaje się trochę trudna, o tyle w przypadku Suzy pasuje... Przepraszam, nie chciałem cię straszyc - dodał, widząc pobladłą twarz Ewy.

- Taak - powiedział przeciągle inspektor, nie spuszczać wzroku z Chrisa. - W tym coś jest, ma pan rację. W każdym razie bardzo dziękuję, pomógł mi pan w znacznym stopniu.

- A czy nie może również być tak, że te dwa wypadki nie mają ze sobą nic wspólnego? - odezwał się raptem Ken. - Może Gordon to jednak sprawa Raymonda, a Suzy rzeczywiście padła ofiarą Tony'ego? I czy w takim razie nie należałoby otoczyć Ewy specjalną opieką? Odkrywszy pomyłkę, Tony może ponowić atak.

- Ken, przestań! - wykrzyknęła Jill. - Nie uważasz, że dosyć tej makabry! Po co nas straszysz?

Ale inspektor wydawał się zgadzać z Kenem, przynajmniej częściowo.

- Możliwe, że są to dwie różne sprawy, chociaż ja raczej skłonny jestem łączyć je razem. Natomiast zgadzam się z panem całkowicie co do zapewnienia bezpieczeństwa pani Ewie, w każdym razie do czasu, aż porozmawiamy z

panem Fly. Zechce pani podać mi jego adres. A gdy Ewa spełniła prośbę, powiedział do Jerry'ego:

- Weź dwóch ludzi ze sobą i jedź tam zaraz.

- Słuchaj, stary - odezwał się nagle ze swego kąta Pat. - A czy nie byłoby dobrze, żeby Ewa wyjechała, choćby na parę dni? Czy nie sądzisz, że byłaby bezpieczniejsza? Nie dalej jak wczoraj umawialiśmy się właśnie w piątkę na wspólny weekend. Wszyscy jesteśmy przybici ostatnimi wydarzeniami, zmiana warunków dobrze nam zrobi. Czy nie uważasz, że zwłaszcza w świetle dzisiejszych wypadków, taki wyjazd może być owocny.

Sleuth swoim zwyczajem z namysłem przygryzł dolną wargę.

- Może masz rację. Może masz rację, Pat - powtórzył po woli.

- A gdybyśmy tak pojechali wszyscy razem? Wprawdzie u nas nie zmieścimy się, ale jest tam bardzo porządny hotelik i część mogłaby się w nim rozlokować. Co wy na to?

W pierwszej chwili propozycja Pata wydała się nieco szokująca, ale potem okazało się, że właściwie każdy chętnie by z niej skorzystał.

- No cóż - powiedział wreszcie inspektor, wciąż patrząc na Pata. - Spróbujmy! Myślę, że to dobry pomysł, żebyście państwo pojechali razem.

- A więc załatwione - powiedział Ken w imieniu pozostałych, a Pat dodał:

- A ja ze swej strony zobowiązuję się czuwać nad bezpieczeństwem Ewy.

- O ile oczywiście będzie to potrzebne - uzupełnił Sleuth.  
- Jeżeli uda nam się znaleźć pana Fly, środki ostrożności mogą okazać się zbędne. Zadzwońię wieczorem, ale jechać możecie państwo bez względu na rezultat poszukiwań.



Pat wyciągnął notes z kieszeni i na wyrwanej zeń kartce skreślił parę słów, po czym wręczył ją inspektorowi.

- Proszę, tu masz mój adres wraz z telefonem, a tu hoteliku. Gdyby zaszła konieczność, będziesz wiedział, gdzie nas szukać.

- Miejmy nadzieję, że nie zajdzie... - mruknął Walles.

Sleuth schował kartkę starannie, a Tynie raptem wydało się, że między nim a Patem istnieje jakieś porozumienie, jakaś więź pozasłowna, chociaż nie umiałyby powiedzieć, na czym miałyby to polegać.

- Jeśli to wszystko... - podniósł się Walles.

- Niestety nie - zareagował błyskawicznie Sleuth. - W zasadzie zebraliśmy się tutaj w sprawie morderstwa dokonanego na panu Gordonie Westleyu... Rozumiem, że są państwo zaszokowani zaistniałymi wydarzeniami, ale byłbym bardzo wdzięczny, jeśli zechcecie państwo jeszcze raz przypomnieć sobie możliwie najdokładniej wszystkie wydarzenia dotyczące śmierci pana Westleya.

- Ależ - mruknął Ken. - Nie umiałbym panu opowiedzieć dokładnie nawet o tym, co robiłem wczoraj!

- Kochanie - szepnęła Frances - nie wszyscy są tak roz-targnieni, jak ty.

A Pamela dodała, przewyciężając nieśmiałość:

- Myślę, że powinniśmy spróbować. Chyba tyle jesteśmy winni Suzy i Gordonowi... - urwała, bo głos nabrzmiął jej łzami.

Ewa skinęła głową.

- Oczywiście, proszę pytać, panie inspektorze.

- Dziękuję. Mówiła pani, że w dniu przyjęcia pan Fly telefonował, grożąc śmiercią i dając pani trzy dni na zmianę postanowienia odnośnie zerwania z nim.

Ewa powtórnie skinęła głową.

- Zgadza się, inspektorze.

- Proszę powiedzieć, ile czasu mogło upłynąć między tym telefonem a śmiercią pana Westleya?

- Myślę - powiedziała wolno Ewa - że mogło to być półtorej godziny, a może nawet dwie... Nie patrzyłam na zegarek.

- Oczywiście, oczywiście - zgodził się Sleuth. - I zaraz po telefonie poinformowała pani obecnych o jego treści, czy tak?

- Tak... Byłam trochę zdenerwowana...

- Rozumiem. Zatem może ktoś z państwa potrafi dokładniej określić czas?

Nikt nie kwapił się z odpowiedzią, wreszcie Ann powiedziała coś w tym sensie, że jej również wydaje się, iż upłynęło około dwóch godzin. I w tym momencie Tyna uświadomiła sobie nonsens tkwiący w całej sytuacji - jeżeli Tony dał Ewie trzy dni do namysłu, to nie mógł w niecałe dwie godziny później próbować ją zabić. Chyba... chyba żeby złożyć to na karb jego zachwianej równowagi umysłowej - zdaje się, że tak określił to Sleuth? - Albo... właśnie! Przecież to mogła być próba odsunięcia od siebie podejrzeń, właśnie na tej zasadzie: skoro proponuję trzy dni, nie mogę próbować zabójstwa niemal natychmiast! No tak - pomyślała Tyna - więc znowu nic nie wiadomo. A swoją drogą ciekawę, którą z tych dwóch ewentualności inspektor bierze pod uwagę.

On tymczasem poprosił obecnych, aby w miarę możliwości zajęli miejsca, na których znajdowali się, gdy przyszedł Raymond.

Zaczął się ruch, przesiadali się z foteli na krzesła, odsuwali stoliki, zastanawiali się, mówili: „sorry, nie, to było przedtem” albo „byłem tu później” - wreszcie jakoś się usadowili. W jednym kącie Pat, Ken i Maciek, Stanley przy oknie, Ann i Frances razem, na jednym końcu tapczanu,

na drugim, obok małego stoliczka, przysiadła Jill z Chrisem u boku, Aszraf z Pamelą znaleźli się w drugim pokoju, Tyna krążyła niezdecydowanie między wszystkimi, Wales stał w kącie samotnie, Ewa zatrzymała się w drzwiach, łączących oba pokoje.

- To było chyba mniej więcej tak - powiedziała niezbyt pewnie.

- Z tym, że kiedy Raymond zadzwonił, właśnie rozmawiałem z Gordonem - dorzucił Wales.

- Poprosimy pana Blythe, żeby zechciał zastąpić pana Westleya - skinął ręką inspektor i wezwany zbliżył się do Wallesa. - A gdzie w tym czasie była panna Suzy?

- Chyba w kuchni - z zastanowieniem powiedziała Ewa. - To właśnie ona otworzyła drzwi Raymondowi.

Drugi pomocnik inspektora został poproszony o odegranie roli Suzy.

- Która mogła być godzina?

- Jakież pięć po dziewiątej - odezwała się cichym głosem Jill. - Wiem, bo chwilę przedtem spojrzałam na zegarek: była dziewiąta i powiedziałam do Chrisa, że Davy już chyba nie zadzwoni. Czekałam na telefon z Paryża - dodała wyjaśniająco. - I Chris poszedł do kuchni zrobić mi kawę i właśnie kiedy ją przyniósł, zadzwonił Raymond. Nawet myślałam przez moment, że to telefon. No więc od mojego spojrzenia na zegarek do przyniesienia mi kawy nie mogło upłynąć więcej niż pięć minut, zatem Raymond przyszedł najpóźniej pięć po dziewiątej.

- A czy panna Suzy była już wtedy w kuchni? - zwrócił się inspektor do Chrisa, ale zanim ten zdążył odpowiedzieć, odezwała się Frances:

- Chyba nie. Przypominam sobie, że krótko przed dzwonkiem Suzy była koło nas, oglądałyśmy jeden z modeli w żurnalu, to zresztą trwało niedługo, bo zaraz odeszła.

- I przyszła do kuchni - uzupełnił Chris. - Krzyczała na mnie, że się tam kręczę, oczywiście żartem.

- Znakomicie - ucieszył się nonsensownie Sleuth. - A zatem, proszę, wszyscy są na swoich miejscach, tak?

- Mniej więcej - mruknął Stanley.

- Nie wiem, czy to ważne - nieśmiało wtrącił się Maciek - ale krótko przedtem zgasiliśmy w obu pokojach światło i zapaliliśmy świece, żeby było bardziej nastrojowo.

- Dziękuję panu, to dosyć istotne, rzeczywiście. Aha, jeszcze jedna prośba do państwa: zamarkujcie ówczesną sytuację możliwie dokładnie. Kto miał wtedy w ręce talerzyk lub filiżankę, niech trzyma ją i teraz, kto palił papierosa, niech teraz również pali. Nie pamięta pan - zwrócił się inspektor do Wallesa - czy pan Gordon rozmawiając z panem, palił?

- Owszem - przytaknął zapytany. - Trzymał zapalonego papierosa, a w drugiej ręce filiżankę z kawą, chyba podała ją pani Tyna.

- Ja? - przeraziła się.

- Nie mógłbym przysiąc, oczywiście, ale tak mi się wydaje, że podała mu pani kawę, po czym odłożył na moment papierosa, sięgnął po cukier i rozmawiając ze mną, wolno mieszał.

- A nie pamięta pan, czy w pana obecności wypił choć łyk?

- Tak. Na pewno. Ale rzeczywiście był to jeden łyk, wie pan, jak to się robi, żeby sprawdzić, czy napój jest wystarczająco słodki.

- W porządku, zaczynamy więc. Pan będzie łaskaw udać się do kuchni.

Chris z pewnym ociąganiem wstał z tapczanu i znikł w przedpokoju, niejako eskortowany przez jednego z ludzi inspektora.

Po chwili do kuchni podążył ten, który zastępował Suzy, zaraz potem rozległ się dzwonek, do korytarza ruszyła Ewa - jak wówczas. W pokoju Chris podał Jill filiżankę z kawą, a ona odstawiła ją na stół, widząc wchodzącego wraz z Suzy i Ewą Raymonda, którego w tej chwili zastępował jeden z ludzi inspektora.

- Wtedy właśnie zadzwonił Davy - powiedziała do inspektora.

- Słucham? - nie bardzo zrozumiał, o czym mowa.

- Mówię, że wtedy odezwał się telefon.

- Pani podniosła słuchawkę?

- Nie, Ewa. I poradziła mi, żebym skorzystała z aparatu w przedpokoju, bo tam jest ciszej, więc zaraz pobiegłam.

- Gdzie wówczas znajdował się pan Raymond?

- Stał w drzwiach. Pamiętam dokładnie, bo biegnąc do telefonu, potrąciłam go w przejściu.

- Rozumiem. Proszę bardzo, jedziemy dalej! Dzwoni telefon, pani podnosi słuchawkę...

Skrepowane, czując się niezręcznie, Ewa i Jill wykonały to, o co prosił inspektor.

- Dobrze. A co zrobił pan Gordon?

Walles wzruszył lekko ramionami.

- A co miał zrobić? Podszedł do Raymonda i razem wyszli z pokoju.

- Tak bez słowa?

- Mówił coś, owszem, ale nikt z nas tego nie słuchał, staliśmy się nie zwracać na nich uwagi. Sytuacja była diablo niezręczna, a Gordon - wściekły.

- Rozumiem. - Inspektor w zamyśleniu przespacerował się parę kroków, trzymając ręce założone do tyłu. - Rozumiem - powtórzył tonem, który zaprzeczał treści wypowiedzianego słowa.

- A pan Raymond cały czas nie ruszył się z miejsca,

czekał w drzwiach na zbliżenie się pana Westleya.

- Tak - powiedział Walles.

Inspektor przystanął.

- A skąd pan wie - zapytał - skoro nie patrzyliście państwo na nich?

- Ja patrzyłem. - Walles zaciągnął się mocniej papierosem. - Byłem zły na Gordona tego wieczoru i patrzyłem, żeby zobaczyć, jak sobie z tym fantem poradzi.

- Był pan zły, w związku z koniecznością zwrotu pożyczki? - niewinnym tonem spytał Sleuth.

Walles przygryzł wargi.

- To chyba nie ma nic do rzeczy?!

- Oczywiście, oczywiście! - pośpieszył uspokoić go inspektor. - Pańskie spostrzeżenia mogą być dla nas niezwykle cenne. Proszę więc sobie przypomnieć, czy pan Gordon podszedł do przyjaciela od razu, nie zatrzymując się nigdzie po drodze?

- Chyba tak.

- Chyba, czy na pewno?

- No, nie wiem, nie wiem - zezłościł się nagle Walles. - Nie muszę przecież wszystkiego pamiętać!

- Nie, nie musi pan - zgodził się inspektor. - A zatem przyjmijmy: Gordon wychodzi z panem Raymondem do hallu...

- Tak - wtrąciła Ewa. - Widziałam ich z kuchni. Nawet zażartowałam: „Nie pozabijajcie się, chłopcy”...

Wzdrygnęła się na wspomnienie tego, co wtedy miało być żartem, a obecnie zabrzmiało tak makabrycznie.

- A kiedy pani się tam znalazła?

- Wysłałam chyba zaraz po Jill.

- W porządku. A więc obaj panowie wyszli i co dalej?

- Puściliśmy magnetofon - zgłosił Maciek.

- Tak - poparła go Tyna. - Nawet prosiłam, żeby ściszyć, bo było strasznie głośno.

- I po krótkim czasie wróciła Jill - dorzuciła Ann.  
- Prosimy panią! - zawołał inspektor w głąb przedpokoju, a kiedy Jill zajęła swoje poprzednie miejsce, spytał: - Co było dalej?

- Właściwie nic. Przekazałam wszystkim pozdrowienia od Davy'ego i poprosiłam Chrisa, żeby mi podał szarlotkę. Przysiadła się do nas Ewa, rozmawiałyśmy o tym, że jest zmęczona, piłyśmy kawę, był ogólny rozgardiasz, wreszcie Ewa przypomniała sobie o Gordonie, że długo nie wraca i poszła do hallu...

Zapanowała cisza, zaraz zresztą przerwana przez inspektora:

- Serdecznie dziękuję wszystkim państwu. Bardzo mi państwo pomogli - podniósł się z miejsca inspektor.

- Jak to? To już koniec? - z rozczarowaniem spytał Aszraf.

- Koniec - przytaknął Sleuth zwracając się w stronę drzwi.

- A co będzie z Suzy?- zatrzymał go cichy głos Pameli.

Kiedy nie odpowiadał, nie bardzo rozumiejąc pytanie, wyjaśniła:

- Chodzi mi o... pogrzeb. Trzeba zawiadomić jej rodziców, mieszkają w Kornwalii. Czy mogę się tym zająć?

- Proszę - powiedział miękko inspektor. - Myślę, że zrobi to pani delikatniej niż my. Postaram się, aby ciało można było już jutro zabrać.

- Dziękuję panu - ledwie dosłyszalnie szepnęła Pam i Sleuth, powtórnie skłoniwszy się wszystkim, skierował się ku wyjściu. Tym razem zatrzymał go dzwonek telefonu.

- Do pana - powiedział Maciek, który podniósł słuchawkę.

Inspektor podszedł do aparatu.

- Tu Sleuth.

Przez chwilę słuchał niewidzialnego rozmówcy, po czym powiedział:

- Dobrze, zaczekaj! - i zwrócił się do Ewy: - Niestety pan Fly nie mieszka już pod wskazanym adresem. Wyprowadził się stamtąd w sobotę po południu, nie zostawiając wiadomości, dokąd się przeniósł. Czy ma w Londynie jakąś rodzinę? Może ma pani jakieś sugestie, gdzie go szukać?

Ewa, zajęta myślami patrzyła na interlokutora, jakby nie rozumiejąc, o co mu chodzi, aż Jill dotknęła delikatnie jej ramienia.

- Pan inspektor pyta o rodzinę Tony'ego...

Ewa zamrugła oczami, jak człowiek wyrwany ze snu, ale odpowiedziała zupełnie trzeźwo:

- Mogę panu dać adres sir Henry'ego R.... u którego Tony kiedyś mieszkał. Może tam go pan znajdzie, a może sir Henry będzie wiedział, gdzie go szukać... - I po chwili dodała: - To dziwny dzień na zmianę mieszkania, sobota i w dodatku sobota, w którą zginął Gordon...

Poszukała wzrokiem Chrisa.

- Obawiam się, że jednak miałeś rację, chodziło o mnie.

- Nie wyciągaj zbyt pochopnych wniosków. - Ann objęła ją uspokajająco. - To że się wyprowadził właśnie w tę sobotę, o niczym jeszcze nie świadczy, prawda, inspektorze?

- Oczywiście, może to być zwykły zbieg okoliczności, nie należy przywiązywać zbyt wielkiej wagi do tego faktu. A teraz pożegnaj już państwa. - I inspektorowi udało się wreszcie opuścić mieszkanie.



## 7.

W środę odbył się pogrzeb, a właściwie kremacja zwłok Gordona. Po wczorajszym deszczu nieco się przejaśniło, wiał lekki wiatr, od czasu do czasu pędzący przed sobą obłoczki kurzu. Całą rodzinę Gordona, z którą zmarły utrzymywał sporadyczne stosunki, stanowił niemłody kuzyn z żoną, sprawiającą wrażenie osoby nieśmiałej i zalęknionej. Nikt z przyjaciół Gordona nie znał ich i oni nie znali nikogo.

Na twarzach większości przybyłych malowało się raczej zaciekawienie, ewentualnie gładka obojętność. Jedynym wyjątkiem był Raymond. Stał na uboczu, ze wzrokiem utkwionym w trumnę, a gdy ta przy dźwiękach marsza żałobnego Chopina zaczęła nikać za zasłonką, zachwiał się i poszukał ręką oparcia o ścianę. Nie uszło to uwagi stojącego nieco dalej i bystro obserwującego wszystkich Jerry'ego Blythe. Kiedy po zakończeniu żałobnego obrzędu większość obecnych podchodziła do rodziny Gordona, aby złożyć kondolencje, Raymonda nie było pośród nich. Jako jeden z pierwszych opuścił kaplicę.

Maćki wyszły na ulicę w towarzystwie Jill i Ewy, po chwili dołączyli Chris z Wallosem i Stanleyem.

- Zaraz za rogiem jest kafeteria, może wstąpimy - zaproponował Chris i po paru minutach zasiedli wokół długiego stolika, a jasnowłosa kelnerka w minispódniczce przyjmowała zamówienie, wyraźnie kokietując Chrisa. Mężczyźni zamówili kawę, Ewa i Jill sałatkę owocową, a Tyna knickelbocker glory - rodzaj lodów z owocami i sosem czekoladowym - nie tylko dlatego, że była łakomczuchem, ale również z powodu egzotycznej nazwy, radującej jej ucho.

- Czy pani jest może Szwedką? - spytała kelnerkę.

- Och nie, Włoszką! Na imię mam Viviana - dorzuciła, wyraźnie pod adresem Chrisa.

- Wpadłeś jej w oko, stary! - zauważył Walles, gdy odeszła.

Ale Chris mruknął niechętnie:

- Mała kurewka...

I gdy dziewczyna wróciła, przynosząc zamówione produkty, nadal nie zwracał uwagi ani na jej uśmiechy, ani na zgrabne, wysoko odsłonięte nogi.

- Nie mogę spokojnie patrzeć na mini, kojarzą mi się z Suzy - powiedziała Jill. - Wyszły z mody i tak mało osób nosi je teraz, że od razu mam ją przed oczyma...

Rozmowa nie kleiła się. Ewa siedziała osowiała, pogrążona w niewesołych myślach - właśnie tego ranka, przed jej wyjściem z domu, dzwonił inspektor Sleuth, aby ją poinformować, że nie mogą natrafić na ślad Tony'ego. Oczywiście szukają go nadal i natychmiast dadzą znać, jeżeli... itd. Przypuszczenie, że Tony krąży gdzieś po Londynie polując na stosowną okazję, by dokonać morderstwa brzmiało tyleż nieprawdopodobnie, co przerażająco. Gordon i Suzy nie żyli - to był fakt niezaprzeczalny - dlaczego więc jej śmierć miała być niemożliwa? Z nadzieją myślała o piątkowym wyjeździe na wieś; będzie w grupie, z dala od Londynu, tam powinna być bezpieczna.

Ocknęła się nagle, słysząc swoje imię. To Jill mówiła coś do niej.

- Davy dzwonił wczoraj, był po prostu wstrząśnięty, kiedy mu wszystko opowiedziałam. Wraca we wtorek, już na pewno. Mówiłam mu, że wybieramy się wspólnie na weekend i uznał to za doskonały pomysł, pozdrawia wszystkich.

- Ach, słuchaj - wtrącił się Chris - a co z tym listem, który wysyłałaś do Polski? Dostałaś już odpowiedź?

- Jeszcze nie, ale mam nadzieję, że jutro, pojutrze powinno coś przyjść, a po naszym powrocie ze wsi, to już na pewno zastanę list. Mój Boże, wydaje mi się, że wieki minęły od naszej rozmowy na ten temat, a to dopiero tydzień!

- Á propos weekendu - włączył się Walles. - Mam miejsce w wozie, Ewa, mogę cię zabrać.

- Nie, dziękuję, spóźniłeś się trochę, Chris był tak miły i już wcześniej nam zaproponował wspólną jazdę, zabiera Jill, Maćków i mnie.

- Przecież będzie wam okropnie ciasno! Zresztą, wasza sprawa, chcecie się gniesć, to się gniesćcie.

- Możemy zabrać Pamelę - zaproponował Stanley, ale Ewa potrząsnęła głową.

- O ile wiem, jedzie z Aszrafem.

- Nie, to nie, bez łaski. Niemiła księdzu ofiara, pójdź cię do obory, jak mawiają u nas w kraju.

- Jedziemy w piątek wieczór, tak?

- Chyba tak, trzeba jeszcze uzgodnić z Patem i Ann.

I znów zapadło milczenie.

Ostatecznie nie wyjechali w piątek, a dopiero w sobotę rano. Odbyli jeszcze jedno krótkie spotkanie z inspektorem, który jednak niewiele miał im do zakomunikowania. Śledztwo jakby utknęło w martwym punkcie. Nie udało się odnaleźć telefonicznego rozmówcy Suzy, Tony również wsiąkł jak kamfora.

W czwartek przyjechali z Kornwalii rodzice Suzy i zabrali ciało. Potem okazało się, że Pat ma jakieś redakcyjne sprawy i nie może wyjechać w piątek, Walles też był zajęty, reszta nie chciała jechać bez gospodarza i w ten sposób wyjazd opóźnił się o jeden dzień. Obiecywali sobie, że za to w sobotę wyjadą skoro świt, to znaczy o siódmej, ale i tego nie udało się zrealizować.

Chris złapał gumę tuż pod domem i musiał zmieniać koło, w efekcie Ewa pojechała z Kenndallami, a Maćki wraz z Chrisem dotarły do Jill dopiero koło ósmej, ale i tak nie była jeszcze gotowa.

- Poczekajcie chwilę, dosłownie jedną minutkę! - błagała.

- Że też kobietom tak trudno o punktualność! - westchnął Maciek, ale Tyna skarciła go natychmiast:

- Nie przesadzasz przypadkiem? O ile pamiętam, to byłam dzisiaj kompletnie gotowa do wyjścia, podczas gdy ty jeszcze guzdrałeś się w łazience.

- O tam, raz się zdarzyło!

- Może chcecie się czegoś napić? - zawołała Jill z góry.

- Chcemy tylko, żebyś wreszcie przyszła - odpowiedział Chris.

Jill mieszkała w jednym z tych typowych angielskich domków z dwiema kolumnkami przy wejściu, małym ogródkiem i wąskimi schodami, prowadzącymi wprost z hallu na pierwsze piętro. Mieszkała tu wraz z siostrą swego ojca i jej mężem, którzy sprowadzili się do niej, gdy została sama. Byli bezdzietni i całą miłość ulokowali w Jill - była ich oczkiem w głowie.

Teraz ciocia Margaret usiłowała skłonić bratanicę do zabrania jeszcze jednego swetra, na wypadek, gdyby nagle zrobiło się zimno, podczas gdy wuj Tom zabawiał w sitting roomie niecierpliwących się Maćków i Chrisa.

- Pogodę macie w sam raz na jazdę - mówił - chociaż koło południa będzie pewnie upał.

- Waśnie - mruknął Chris. - A jeżeli Jill się nie pospieszy, będziemy musieli jechać w największą gorączkę. Mamy około trzech godzin jazdy przed sobą. - Rozłożył mapę zabraną z samochodu i jeszcze raz sprawdzał trasę. - Taak, krócej nie da rady.

- Tylko, proszę, jedźcie ostrożnie, tyle wypadków

zdarza się każdej soboty i niedzieli, aż strach wyruszać poza Londyn.

- Oczywiście, że będziemy ostrożni, niech się pan nie obawia, Jill wróci cała i zdrowa - w imieniu Chrisa zapewnił Maciek.

- Mam nadzieję, mam nadzieję... Chociaż muszę powiedzieć, że bardzo mnie niepokoją ostatnie wydarzenia! Niechby wreszcie znaleźli tego Tony'ego, byłbym spokojniejszy.

- Ależ Jill nic nie zagraża, w niczym nie przypomina Ewy, trudno byłoby je pomylić! - stojąca przy oknie Tyna usiłowała uspokoić starszego pana. - O ile, oczywiście, chodzi tu o Ewę - dodała nieco ciszej.

- Inspektor Sleuth uważa, że tam nic nam nie grozi - dorzucił Maciek.

- Z pewnością ma rację - zgodził się gospodarz. - Ostatecznie on się na tym zna najlepiej, to jego fach.

- O, Listonosz idzie - zauważyła Tyna.

Rzeczywiście stuknęła furtka i do ogródka wszedł listonosz.

- Przepraszam, wezmę tylko pocztę - usprawiedliwił się wuj Tom i po chwili usłyszeli jego wołanie:

- Hej, Jill, masz list z Polski, to pewnie ten, na który czekałaś!

- Już schodzę! - odrzyknęła z góry.

Maćki i Chris wyszli do hallu.

- Niech pan da mi ten list - poprosił Chris. - Jeżeli znacznie go teraz czytać, to wyjedziemy koło południa. Oddam jej w samochodzie.

- Proszę bardzo, oczywiście - zgodził się wuj. - Ładne macie znaczki w Polsce - zauważył.

- O, tak! - potwierdził Maciek z taką dumą, jakby poziom artystyczny polskich znaczków był wyłącznie jego osobistą zasługą i zerkając na trzymaną przez Chrisa

kopertę z charakterystycznym obramowaniem z czerwono-niebieskich skosów i z nalepką „expres”, dodał nie mniej dumnie: - To expres lotniczy.

Na schodach ukazała się wreszcie Jill, w towarzystwie ciotki.

- Jestem! Przepraszam was, że to tak długo trwało, ale jak ciocia na coś się uprze...

- Aha, teraz moja wina! Dobrze, następnym razem pakuj sobie sama, wcale nie będę się tym interesować!

- Nie gniewaj się, przecież wiesz, że żartuję! Gdzie mój list, dajcie prędko!

- Nic z tego. Dostaniesz dopiero w samochodzie, zdązysz przeczytać. - Chris odmownie pokręcił głową. - A teraz chodźmy, bo robi się późno, będzie tłoczno na drodze.

- Niech i tak będzie...

Zaczęli się żegnać. Chris wziął podrózną torbę Jill i wyszli już do ogródka, kiedy zauważył brak mapy i musiał po nią zawrócić do hallu. Leżała na małym stoliczku pod lustrem, porządnie złożona.

- Coś się nie powiedzie - mruknęła Tyna.

- Miejmy nadzieję, że w całości dotrzemy do miejsca przeznaczenia, przestań być taka przesądna! - bagatelizował Maciek.

- Oczywiście, że dotrzemy, tyle że nie wiemy, czy tym miejscem przeznaczenia nie będą przypadkiem zaświaty - nie dawała za wygraną Tyna, aż Jill się wzdrygnęła.

- Odpukaj natychmiast, jeszcze się okaże, że powiedziałaś w złą godzinę!

- Oj, dziewczyny, dziewczyny, wyście chyba naprawdę zgłupiały! Zastanówcie się, o czym mówicie. Spójrzcie do kalendarza, mamy drugą połowę dwudziestego wieku! - Chris rozłożył ręce w geście zdumienia.

- Trzymaj ręce na kierownicy! - krzyknęła Tyna.

- A ty nie wrzeszcz, bo dostanę ataku serca i będzie jeszcze jeden nieboszczyk.

- Wątpliwy dowcip - mruknęła Jill, ale Chris zupełnie się tym nie przejął.

Trzeba przyznać, że prowadził wóz szybko i pewnie. Płynnie wyprzedzał inne samochody, wykorzystywał każdą lukę, aby się w nią wślizgnąć, i w stosunkowo krótkim czasie znaleźli się na autostradzie poza Londynem.

Mimo że większość londyńczyków wyjechała z miasta już wczoraj, ruch na szosie był duży. Trzema pasami pędziły z szumem olbrzymie cadillaki, różnego rodzaju ford, chevrolety, pontiaki, lancie, uwijały się małe, zwinne austiny i garbate volkswageny. Wszystko to gnało przed siebie z szumem opon i rozbłyskami słońca na karoserii. Tyna, siedząca wraz z Jill na tylnym siedzeniu, wystawiła rękę przez otwarte okno, jakby usiłowała złapać uciekające powietrze.

- Drogi macie znakomite - pokiwał z uznaniem głową Maciek.

- Owszem, niezgorsze - zgodził się Chris. - Można rozwijać niezłą szybkość.

- Kraksy też mamy niczego sobie - wtrąciła się Jill.

- Coś ty dzisiaj taka na „nie”?

- Wydaje ci się. Ale, Chris, daj mi wreszcie ten list, umieram z ciekawości!

- Jak to, przecież dałem ci go, kiedy wsiadałaś do samochodu!

- Mnie? Chyba ci się śniło!

- Sprawdź, czy nie włożyłaś do torebki.

- Mogę sprawdzić, ale jestem pewna, że mi nie dawałeś...

Oczywiście, nie ma! To raczej ty sprawdź w kieszeniach.

- Proszę bardzo. - I Chris obmacał kieszenie swej

sportowej koszuli w niebieską kratę i wszystkie kieszenie dzinsów, ale bez skutku.

- Może wsadziłeś do podróżnej torby Jill, ma z boku taką dużą kieszeń - podsunęła Tyna.

- Torba jest w bagażniku.

- No to stań i sprawdzimy.

- Czyś ty zwariowała? Stawać na motorwayu! Dziewczyno, rany boskie, i ty masz prawo jazdy!

- Dobrze, dobrze, przestań wydziwiać. Zaproponować nie można...

- Gdzie się podział ten list? - denerwowała się Jill.

- Przepraszam cię, Jill! - Chris był szczerze zmartwiony.

- Na miejscu przeszukamy jeszcze samochód i sprawdzimy w torbie. Ale obawiam się, że po prostu został u ciebie w domu. Mogłem w pośpiechu, kiedy wróciłem, wziąć mapę, a zostawić list. Jeśli tak jest rzeczywiście, to nic złego ostatecznie się nie stało, tyle że przeczytasz go po powrocie.

- A niech cię, Chris, naraziłeś mi się fatalnie! Wiesz, co to jest dla kobiety nie móc zaspokoić ciekawości?

- Nigdy nie byłem kobietą, ale domyślam się. Przepraszam, Jill, naprawdę nie chciałem. Zresztą może się jeszcze gdzieś tu znaleźć.

- Oby!

- A wiecie, dzieci, że w przyszłym tygodniu wracam do Stanów?

- Niemożliwe! Tak nagle?

- Co się stało?

- Wczoraj dostałem list od ojczyma, w którym każe mi wracać, jestem mu tam potrzebny. Miałem zamiar zostać jeszcze ze dwa miesiące... Będzie mi brakowało Londynu i was wszystkich, ale co robić...

- Mnie też będzie ciebie brakowało - powiedziała cicho Jill.



- Może w przyszłym roku przyjadę.

Jakiś czas jechali w milczeniu. Słońce wędrowało wciąż wyżej i wyżej i przygrzewało coraz mocniej. Ukołysane monotonnym szumem obie dziewczyny zdrzemnęły się.

Gdzieś po półtorej godzinie jazdy zjechali na parking.

- Hej, śpiochy, pobudka! Chodźcie się czegoś napić!

Tyna i Jill przeciągały się bezwstydnie, aby rozprostować kości.

- To bardzo nieeleganckie - zauważył Chris.

- Ale za to zdrowe! - odcięła się Tyna. - A w ogóle bierz się do szukania listu. Masz szczęście, że trafiłeś na Jill, która jest łagodnego serca, ja na jej miejscu chyba bym cię zamordowała!

Przeszukali wóz, obszukali torbę, bez rezultatu.

- Nie ma rady, musisz uzbroić się w cierpliwość, najwiśdoczniej został w domu.

Wypili po coca-coli i popędzani przez Chrisa, usadowili się ponownie w nagrzanym aucie.

- Ależ tu gorąco! - narzekała Jill.

- Trzeba było jeszcze dłużej się guzdrać z wyjazdem! - skarcił ją Chris i biedna Jill w poczuciu winy zamilkła, ale nie na długo. Zaczęły sobie z Tyną opowiadać jakieś zabawne historie i w końcu cała czwórka rozbawiła się serdecznie. Ta część drogi zleciała im nad podziw szybko i ani się obejrzieli, jak wjeżdżali do miejscowości, w której Kenn-dallowie mieli swój domek.

Minęli maciupęńki placyk, przy którym mieściła się gospoda „Pod Głową Baranią”, będąca zarazem lokalnym hotelikiem, i skręcili w boczną drogę wysadzaną drzewami, minęli jeszcze prześwitujące między pniami drzew niewielkie jezioro, trochę czyściutkich, zabawnych domków i mniej więcej po ujechaniu dwóch mil, znaleźli się przed

ślicznym wczesnowiktoriańskim domem Pata i Ann.

Była dokładnie dwunasta, kiedy Chris przycisnął lekko klakson, aby zasygnalizować przybycie. Zaraz też z domu wybiegła Ann z Pamelą, a za nimi Pat z nieodłączną fajką w zębach.

- Nareszcie jesteście! Już byliśmy w strachu, że stało się coś złego.

- Ee tam! - machnął ręką Chris. - Co się miało stać? Po prostu Jill nie mogła się wyguzdrać!

- Grunt, że jesteście. Myśmy przyjechali dwie godziny temu i zdążyliśmy się już rozlokować.

- Gdzie Ewa?

- W ogrodzie, po tamtej stronie domu. Bawi się z małą. Ken też tam gdzieś siedzi ze swoim scenariuszem. O, Frances, właśnie mówimy o Kenie!

- Ta już rozebrana - westchnęła z zazdrością Tyna.

Istotnie Frances miała na sobie tylko skąpy opalacz. Włosy związała na czubku głowy zieloną apaszką, która znakomicie harmonizowała z ich radością.

- Nic nie stoi na przeszkodzie, abyś poszła w moje ślady - uśmiechnęła się, słysząc zazdrość w głosie Tyny.

- A pewnie, że zaraz to zrobię! Biorę koc i idę smażyć się jak na patelni!

- Wolnego, wolnego! - powstrzymywał Pat. - Najpierw się rozlokujcie, słońce jeszcze nie zachodzi, do wieczora mamy parę godzin!

- O kay, generale - zgodziła się Jill. - A gdzie reszta? Walles, Aszraf, Stanley?

- Zostali „Pod Głową Baranią”, ale powinni zaraz przyjechać. O pierwszej zjemy lunch. Oni trzej i Frances z Kenem będą nocowali w gospodzie, a reszta tu. Trochę może będzie ciasno, ale jedną noc jakoś przetrzymamy.

- Ewa, Jill i Pam razem w jednym pokoju, my z małą

też w jednym, Maćki razem, tylko Chris sam - jak król! - w dawnej służbowce, naprzeciw stryszku. Chodźcie, pokażę wam, gdzie co jest!

I Ann poprowadziła przybyłych w głąb domu.

Z hallu na parterze jedne drzwi prowadziły do obszernej kuchni, drugie do living-roomu i do gabinetu Pata. Zaraz po lewej od wejścia, biegły schody na pierwsze piętro. Tu, po obu stronach niewielkiego korytarza, znajdowały się pokoje: na prawo od wejścia pokój Maćków, sąsiadujący z łazienką, a po przeciwnej stronie dwa większe, zajmowane przez dziewczęta i gospodarzy. W drugim końcu korytarza znów biegły schody, tym razem o wiele węższe, prowadzące na strych i do pokoju przeznaczanego dla Chrisa.

- Niestety, mamy tylko jedną łazienkę, poza tym obok służbowki Chrisa jest prysznic - przepraszał Pat.

Zadne niewygody nie były jednak w stanie ich zniechęcić. Byli w cudownych humorach, pogoda piękna, w perspektywie dwa dni odpoczynku i beztroskiego lenistwa. Londyn wraz ze wszystkimi zmartwieniami i okropnościami ostatniego tygodnia pozostał za nimi.

- No, to rozpakujcie się i przypominam, że lunch o pierwszej. Pam, chodź, pomożesz mi w kuchni! - i Ann zeszła na dół wraz z Pamelą.

- Zamawiam pierwszą łazienkę! - Jill podniosła dwa palce do góry, jak robią to dzieci. - Muszę zmyć z siebie londyński kurz.

- Dobrze, to ja po tobie - zgłosiła Tyna i powędrowały do swoich pokoi.

- Dziękujemy za jazdę, Chris, spotkamy się na lunchu - pomachał wchodzącemu na wąskie schodki, Maciek.

- Nie ma za co!

Pokój Maćków był niewielki, ale bardzo przytulny. Szeroki tapczan przykryty falbaniastą narzutą, świece

w pięknych lichtarzach, wyplatany fotel na biegunach, wszystko to wyrwało westchnienia z ust Tyny. Rzuciła się na fotel, ale Maciek przywołał ją do porządku:

- Hej, może zechcesz rozpakować nasze rzeczy. Potem będziesz narzekać, że nie możesz niczego znaleźć!

Zerwała się natychmiast.

- Tak, nic nie ruszaj, bo zaraz coś zapodziejiesz! Właśnie... gdzie jest mała plastikowa torba, no wiesz, ta od Selfridge'a? Zapakowałam w nią mój opalacz i twoje kąpielówki.

- Może została w wozie?

- Albo Chris wziął przez pomyłkę na górę. Sama pójde do niego zapytać, bo ty zginiesz, zagadacie się na amen!

- Jak sobie życzysz, kochanie.

- Zaraz wracam! - Tyna w przelocie pocałowała Maćka w policzek.

Wąskie schodki zaprowadziły ją na górę. Było tam nieco ciemnowo, gdyż światło padało jedynie z małego, okrągłego okienka, umieszczonego niemal pod sufitem. Zaraz za schodami, po lewej stronie, stała duża komoda, trochę podniszczona, ale chyba chippendale, jak oceniła w myśli Tyna. Dalej były drzwi, prowadzące zapewne na strych, na wprost schodów, pod okienkiem, stała duża, również podniszczona szafa, a po prawej ręce dwoje drzwi: jedno, prawie vis à vis tych od strychu, wiodły chyba do Chrisa, drugie do umywalki.

Zapukała do tych pierwszych, ale nikt nie odpowiedział, ponowiła więc pukanie, wołając jednocześnie:

- To ja, Tyna!

Wydało jej się, że słyszy przyzwalające mruknięcie, przekreśliła więc klamkę i weszła, ale w pokoju nie było nikogo. Zatrzymała się w szeroko otwartych drzwiach. Sufit biegł tu skośnie, w niższej ścianie było niewielkie okno, obramowane wesołymi firaneczkami w kratkę. Pokój był

mały i wąski - mieściło się w nim tylko łóżko, szafeczka i stolik z krzeselkiem - ale tak sympatyczny, że machinalnie zrobiła parę kroków do przodu.

Gdzieś z dołu, zza okna, dobiegał głosik małej Peggy i Tyna wyjrzała: widok był przepiękny. Tuż pod oknem na trawniku leżała Ewa, a koło niej dreptało/na tłustych nóżkach dziecko, dalej natomiast, poza ogrodem, ciągnęły się łąki, porośnięte wrzosem i wysokimi jałowcami, gdzieś sfalowane pagórkami, to znów biegnące płasko aż do horyzontu. Tu i ówdzie pasły się gromadki owiec, z lewej czerniał las - typowy angielski pejzaż.

Wyobrażam sobie, jak to musi wyglądać jesienią, kiedy kwitną wrzozy! - westchnęła w duchu Tyna.

W tej chwili wydało jej się, że słyszy szmer za sobą, odwróciła się gwałtownie, sądząc, że to wszedł Chris i w tym obrocie zrzuciła ze stolika jakieś papiery. Przyklęknęła, aby je podnieść - to była złożona mapa samochodowa, ta, po którą Chris wracał. Spomiędzy jej kartek wystawał teraz kolorowy brzeg koperty ze znajomym polskim znaczkiem. Nie namyślając się, Tyna wyciągnęła list i przez chwilę obracała go w rękach. Tak, to był list do Jill, ten, którego szukali bez skutku! Nie przyszło im do głowy zajrzeć tutaj. Widocznie Chris wetknął go automatycznie między karty mapy i zapomniał. Ale się Jill ucieszy! - pomyślała Tyna i trzymając list w ręce, wybiegła z pokoju.

Zdążyła skręcić w kierunku schodów, kiedy poczuła uderzenie w głowę, krzyknęła i runęła w aksamitną ciemność.

Cały pokój był wypełniony złocistym brzęczeniem, najpierw przyciszonym, potem coraz głośniejszym...

Tak właśnie pomyślała: „złociste brzęczenie” - chociaż nie miało to większego sensu. Potem wydało jej się, że to

wiruje olbrzymia złota pszczoła, której skrzydła uderzając o powietrze, wydają ów dźwięk. Skrzywiła się, wtedy brzęczenie pękło, zamieniło się w niespokojne głosy.

Spróbowała dźwignąć powieki - były niewiarygodnie ciężkie - ale poprzez rzęsy dostrzegła nad sobą zatroskaną twarz Maćka, który coś mówił. Nie mogła nic zrozumieć, powiedziała więc z trudem:

- Nie brzęcz tak złociście...

- Wstrząs mózgu - jęknął Maciek.

Ciekawe, o kim on mówi, kto ma wstrząs mózgu? - pomyślała Tyna i otworzyła szerzej oczy. Zobaczyła skośny sufit, wesołe firaneczki, słońce na ścianach, a bliżej, obok Maćka, Pata i Ann. W nogach stał Chris, oczekujący wodą, a krok za nim, przerażona Jill.

- Co tu się właściwie stało? - zapytała, próbując usiąść na łóżku. W tym momencie poczuła ból w tyle głowy i raptem przypomniała sobie wszystko.

- Ktoś dał mi w łeb! - powiedziała ze zdumieniem w głosie.

- Już dobrze, staruszko - odetchnął Maciek, gładząc jej rękę.

Pat przysiadł na brzegu łóżka.

- Jak się czujesz? Możemy rozmawiać?

- Oczywiście, już w porządku, tylko głowa mnie boli.

- Myślę, musiałaś nieźle oberwać! Pozwól... no taak, guz jak złoto! - Ann delikatnie obmacywała głowę Tyny. Zaraz przyłożymy coś zimnego.

- Ale napędziłaś nam strachu! Kiedy Pat zaczął wołać i zobaczyłam go trzymającego ciebie bezwładną na rękach, myślałam, że...

- Przestań, Jill! - przerwał Maciek.

- ... że jeszcze jeden nieboszczyk, tak? - z niewyraźnym uśmiechem dokończyła Tyna.

- Dajcie spokój! - uciszył je obie Pat. - Powiedz, jak to się stało.

Tyna wzruszyła ramionami.

- Prawdę mówiąc, sama nie wiem. Przyszłam tu, bo sądziłam, że Chris zabrał naszą torbę przez pomyłkę, ale jego nie było w pokoju. Weszłam, myśląc, że zaraz nadejdzie. Chwilę stałam przy oknie, a potem wydało mi się, że słyszę jakiś szmer, odwróciłam się i niechcący strąciłam ze stołu mapę, a z niej wysunął się ten list od Jill, którego tak szukaliśmy.

- Niemożliwe! - zdziwił się Chris. - Popatrz, a już myślałem, że zostawiłem go w Londynie.

- Mój list! To cudownie! - Jill aż podskoczyła z radości.

- Chwileczkę, wytłumaczcie jaki list - poprosił Pat.

- Och, pamiętacie chyba, że czekałam na odpowiedź z Polski od znajomej, pracującej w Biurze Poszukiwania rodzin. Posłałam jej dane mojej mamy i miała sprawdzić, czy to o nią chodziło... Pamiętała, że szukano jakiejś Żelislawy, ale oczywiście... sami rozumiecie. Miała sprawdzić... i właśnie w tym liście jest odpowiedź...

Ann pogłaskała ramię Jill.

- Pamiętam, opowiadałaś nam o tym. Kiedy przyszedł ten list?

- Dziś rano, tuż przed naszym wyjazdem.

- A że byliśmy już i tak spóźnieni, Chris nie pozwolił jej przeczytać, powiedział, że będzie dosyć czasu w aucie - włączył się Maciek - a potem okazało się, że zostawił go na stoliku w hallu.

- Byłem pewien, że zapomniałem, gdy wróciłem po mapę!

- A tymczasem wetknąłeś pomiędzy jej kartki i cześć, mogliśmy szukać!

- Czekajcie - Pat w skupieniu pocierał policzek palcem. -  
Zobaczyłaś ten list i co dalej?

- Chciałam zaraz zanieść Jill, wiedziałam, że się ucieszy.  
Wybiegłam z nim z pokoju i wtedy ktoś rąbnął mnie w głowę.

- To wszystko?

- Chyba tak.

- Czy wchodząc do pokoju, zamknęłaś za sobą drzwi?

- Nie. Zostawiłam szeroko otwarte, tak jak teraz, dobrze pamiętam. Czemu pytasz?

Pat w zamyśleniu pokiwał głową: - To by pasowało...

- Co by pasowało?

- Jeżeli ktoś był ukryty na stryżku, mógł cię z powodzeniem obserwować przez dziurkę od klucza choćby.

- Sądzisz, że Tony jest tutaj i że to jego dzieło? - z przejęciem zapytała Ann.

- Nie wiem, ale na to wygląda.

- Trzeba będzie uważać na Ewę - zauważył Chris. Krople wody z jego mokrych włosów ściekały w dół po opalonej szyi i szerokich ramionach. Był bosy i kompletnie rozebrany, miał na sobie jedynie mokre slipki, Tyna dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę. Widząc jej zdziwione spojrzenie, roześmiał się.

- Brałem prysznic, kiedy usłyszałem wołanie Pata, nie miałem czasu się wytrzeć. Dobrze, że w ogóle mam cośkolwiek na sobie!

- A czym dostałam w głowę? - zainteresowała się nagle Tyna. - Znalazłeś coś przy mnie, Pat?

- Drewniany młotek do krokiet.

- Może będą odciski palców?

- Wątpię. Ale oczywiście trzeba to zabezpieczyć i przekazać inspektorowi, może coś znajdzie.

- A skąd tu się wziął taki młotek?



Ann ruchem głowy wskazała drzwi po drugiej stronie korytarza.

- Ze strychu zapewne. O ile pamiętam, był tam cały komplet do krokieta.

- No, tak! - odetchnął głęboko Maciek. - Myślę, że to mogło wyglądać następująco: Tony - przyjmijmy roboczo, że to on, dobrze? - a więc Tony dostał się do domu, może chciał rozpoznać teren, sprawdzić, który pokój zajmuje Ewa, w ogóle zorientować się w topografii. Był na górze, kiedy przyjechaliśmy. Widząc Chrisa zmierzającego tutaj, ukrył się na stryszku. Długo byłeś w pokoju?

Chris potrząsnął głową.

- Skąd! Zostawiłem rzeczy i zaraz poszedłem pod prysznic.

- No właśnie. Nie zdążył zwać ze strychu. A w chwilę potem przyszła Tyna. Mówiłeś, że stałaś przy oknie, prawda?

- Zgadza się.

- Może sądził, że uda mu się przemknąć za twoimi plecami... Na wszelki wypadek wziął jednak to, co było pod ręką, czyli ten młotek do krokieta. Niechcący coś potracił wychodząc ze strychu, a może skrzypnęła jakaś deska, obejrzałaś się, a on schował się za otwartymi drzwiami. List zajął ci nie więcej niż parę sekund, wybiegłaś, stracił głowę i... dalszy ciąg znamy.

- Nie bardzo - zauważyła Ann. - Uderzył Tynę i uciekł? Dokąd?

- Myślę, że nigdzie nie uciekł - głos Pata zabrzmiał jakoś dziwnie, jakby mówiąc myślą o czymś zupełnie innym.

- Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć? - zdziwił się Chris.

- Nie mógł uciec, ponieważ ja tam byłem. Zaalarmowany krzykiem Tyny, biegłem po dwa stopnie na raz, nie mógł

więc przemknąć z powrotem na strych, bo natychmiast bym go zobaczył...

- I nie mógł wejść do umywalki, ponieważ tam ja byłem - uzupełnił Chris.

- Właśnie. Sądzę więc, że po prostu przyczał się za drzwiami. Prawdopodobnie gdybym spróbował tam zajrzeć, zrobiłby użytek z młotka po raz drugi, ja jednak byłem zbyt zaabsorbowany Tyną. Wziąłem ją na ręce i zacząłem wołać. Chyba właśnie wtedy, gdy podnosząc Tynę, byłem odwrócony tyłem do korytarza, udało mu się skorzystać z mej nieuwagi i wrócić na strych. Zaraz potem przybiegli Jill i Maciek i Chris wyskoczył spod prysznicu...

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że Tony siedzi na strychu do tej pory? - zdrygnęła się Ann.

- Och nie! Na pewno już go tam nie ma! Przecież wszyscy byliśmy tak zajęci ratowaniem Tyny, skupieni przy łóżku, tyłem do drzwi, że mógł z powodzeniem wymknąć się na dół i stamtąd na zewnątrz.

- Może lepiej jednak sprawdzić? - zaproponowała nieśmiało Tyna.

- Oczywiście, trzeba! - poderwał się Maciek, w dwóch skokach przebył odległość do drzwi prowadzących na stryszek, otworzył je szeroko, ale rzeczywiście nie było tam nikogo: skośny sufit, jak w pokoju Chrisa, tyle że nie bieleny a belkowany, niewielkie okienko, nieco zakurzone, no i różne rupiecie na ścianach i pod ścianami. Jakieś skrzynie z narzędziami, koń na biegunach, fotel z ułamaną nogą, stara uprząż, olbrzymi, staroświecki kufer, młotki i bramki do krokieta - ot, normalne rupiecie przechowywane na strychach.

- Może schował się w tym kufrze! - podsunęła Tyna i Maciek natychmiast podniósł wieko. Stare ubiory, szale i papierzyska - to było wszystko, co znalazł.

- Dobrze - powiedziała Jill, gdy Maciek zamknął wreszcie za sobą drzwi od stryżku i wrócił do pokoju. - A czy możecie dać mi teraz ten mój list? Jestem taka ciekawa.

Tyna obróciła spojrzenie na Pata.

- Znalazłeś go przy mnie, prawda?

Ale Pat pokręcił wolno głową.

- Przykro mi, Jill nie znalazłem twojego listu.

- Jak to? Przecież miałem go w ręce, kiedy zostałam uderzona, musiał być gdzieś przy mnie! - zawołała Tyna.

- Oczywiście! - poparł ją Chris. - Trzeba poszukać, może gdzieś leży! Może wpadł pod komodę albo pod szafę? Chodź, Jill, poszukamy!

- Pomogę wam - zaofiarowała się Ann.

Po kilku minutach cała trójka wróciła w niezbyt różowych humorach.

- Nie ma - powiedziała Ann. - Po prostu rozplynął się w powietrzu.

- Co za cholerny list! - denerwował się Chris. - Ciągłe ginie. Mam wyrzuty sumienia, że nie dałem ci przeczytać do razu. Naprawdę diabelnie mi przykro!

- Nie przejmuj się tak bardzo. - Jill próbowała go pocieszyć. - Przecież mogę jeszcze raz napisać do pani Irminy, nic straconego, tyle że trochę się odwlecze. Będę musiała zaczekać z zaspokojeniem mojej ciekawości, to , wszystko.

- Oczywiście, ale mnie naprawdę intryguje, gdzie ten list mógł się podziać!

- Widocznie Tony zabrał - powiedział Pat, patrząc w przestrzeń. W jednej ręce trzymał wygasłą fajkę, drugą zanurzył w kieszeni swej płóciennej marynarki i siedział tak, jakby niezupełnie był świadom obecności zebranych.

- Nonsens! - zirytował się Chris. - Miał za mało czasu, poza tym, po co Tyny'emu ten list?

Pat wzruszył ramionami, wciąż nie odwracając wzroku utkwionego gdzieś za oknem.

- Tego nie wiem.

- A jeżeli Tony nie zabrał, musiał to zrobić ktoś z nas - nie ustępował Chris. - Ty byłeś pierwszy przy Tynie, miałeś okazję!

- Zwariowałaś? - oburzyła się Ann. - Co ty wygadujesz!

Tym razem Pat powoli przeniósł wzrok na Chrisa, chwilę patrzył, jakby go widział po raz pierwszy, wreszcie powiedział:

- Nerwy cię ponoszą. Zdajesz sobie sprawę, że oskarżyłeś mnie przed chwilą o kradzież cudzego listu?

- Może się źle wyraziłem - próbowałem naprawić niezręczność Chris. - Przepraszam, nie chciałem cię obrazić. Wszyscy jesteśmy zdenerwowani ostatnimi wypadkami, teraz sprawa z Tyną i w dodatku jeszcze ten piekielny list! Czuję się winny w tym wypadku, rozumiesz mnie?

Pat pokiwał głową.

- W porządku, nie ma sprawy. Chciałem ci tylko uprzytomnić, że byłem zajęty Tyną. List mógł zostać na podłodze, a okazję do zabrania go miała każda z obecnych tu osób. Oczywiście, prócz ciebie! - to było skierowane do Tyny. - Nonsensem byłoby opowiadać nam o liście, uprzednio go zabrawszy! No i Jill chyba nie miałyby powodu ukrywać przed nami faktu, że znalazła swój własny list, prawda?

- Raczej tak.

- Natomiast zarówno Ann, jak Maciek, jak i ty, Chris, wszyscy mieliście równe ze mną szanse. Każde z was mogło go zabrać.

- Ale po co? - jęknęła Tyna.

- Tego nie wiem. Faktem pozostaje, że list zginął.  
- Daję ci słowo honoru, że ja go nie mam! - zdenerwował się Chris.

- Wierzę. W ogóle jestem zdania, że po prostu poleciał w jakiś kąt, nikt go nie zabierał. Nie martw się, Jill - Pat poklepał ją po ramieniu. - Przystaniemy szukać i zaraz się znajdzie!

- Może masz rację - uśmiechnęła się do niego.

- Na pewno mam.

- Moja babcia mówiła w takich wypadkach, kiedy nie można było czegoś znaleźć, że diabeł to ogonem nakrył - mruknęła Tyna, obmacując palcami guz na głowie. - Ale mi drań dosolił! Zobacz, Maciek, jaką mam śliwę!

- Myślę - powiedział Pat - że będzie lepiej, jeżeli nie wspomnimy Ewie o całym zajściu. Nie ma sensu jej denerwować, a wiadomość, że Tony jest tu gdzieś w pobliżu, z pewnością nie wpłynęłaby najlepiej na jej samopoczucie. Musimy tylko stale uważać na nią, dosłownie nie spuszczać z niej oka, ale ani słowa o niczym, dobrze?

- Jasne, bardzo słusznie! - zgodzili się jednogłośnie.

- Co „bardzo słusznie”? - zabrzmiało za drzwiami i w progu stanął Aszraf, błyskając zębami, które przez kontrast z jego opalenizną zdawały się jeszcze bielsze.

- A ty skąd się tu wzięłeś? - zdziwiła się Ann. - Przecież zostałeś z Wallosem i Stanleyem w miasteczku!

- Zwyczajnie, przyjechałem. Jesteś tak zdziwiona, jakbym spadł z księżycy! Oni też zjawiają się lada chwila, powiedziałaś przecież, że kto się spóźni, nie dostanie lunchu.

- Nie słyszałam twojego samochodu.

- Podjechałem z drugiej strony, może dlatego.

- Możliwe...

- A co wy tu właściwie robicie? - zainteresował się Aszraf. - Dlaczego Tyna siedzi na łóżku, Chris jest goły

i mokry, a wy wszyscy macie takie dziwne miny? Co się znów stało?

Maciek spojrzął na Pata, jakby w jego wzroku spodziewał się ujrzeć przyzwolenie lub zakaz udzielenia wyjaśnień, ale zanim zdążył otworzyć usta, już Jill w krótkich słowach zrelacjonowała przebieg wydarzeń.

- No, to ładnie... Z tego wynika, że albo jechał za nami, albo jakimś sposobem dowiedział się, dokąd jedziemy! Moim zdaniem, Ewie naprawdę grozi niebezpieczeństwo - zdenerwował się Aszraf.

- Bądź pewien, że zdajemy sobie z tego sprawę. Ale uważam - Pat ssał wygasłą fajkę - uważam, że większe mamy szanse upilnowania jej tutaj niż w Londynie. Dlatego proponuję nie przerywać weekendu, a jedynie wzmoczyć czujność.

- Chyba masz rację - zgodził się Chris. - Jakby nie było on jest jeden przeciw nam wszystkim, damy sobie radę.

Ale Pat zdawał się zupełnie tego nie słyszeć, znów zatopiony we własnych myślach.

Reszta dnia upłynęła spokojnie, nawet nieco leniwie, jak w wielu innych podobnych miejscowościach, gdzie ludzie zmęczeni całotygodniową pracą i wielkomiejskim rozgwarem szukają odpoczynku.

Tyna, która po swej przygodzie musiała zrezygnować ze słońca, wyciągnęła się na leżaku, ustawionym w cieniu olbrzymiego klonowca i trochę drzemała, trochę przerzucała stos kolorowych czasopism, trochę obserwowała otoczenie.

Aszraf, cały czas wyraźnie szukający towarzystwa Pameli, opowiadał jej właśnie coś z ożywieniem, dołączyła do nich Frances. Zgubiła swoją zieloną apaszkę i potrząsała

teraz masą rudych włosów, swobodnie opadających jej na plecy..

Ann i Maciek dyżurowali wraz z Jill i Chrisem przy Ewie, mała Peggy spała w cieniu, szeroko rozrzucony opalone rączki i marszcząc zabawnie nosek, Pat od godziny siedział samotnie w swym gabinecie - było cicho, spokojnie, sennie... Nawet ptaki świergotały usypiająco.

Tyna przymknęła oczy. Jeszcze przez chwilę spod przy-  
mrużonych rzęs obserwowała kolorowe plamy słońca na  
zielonej trawie, jeszcze rejestrowała ściszy pomruk roz-  
mów, prowadzonych w pobliżu przez Wallesa, Stanleya i  
Kena, potem wszystko zaczęło się plątać, mieszać, zamazy-  
wać - usnęła...

Spała chyba niedługo, bo kiedy otworzyła oczy, stwier-  
dziła, że w otoczeniu nic się nie zmieniło. Tylko Pat wy-  
szedł z domu, stał przez moment ze swą nieodłączną fajką w  
zębach, potem podszedł do grupki, w której była Jill. Wi-  
docznie zaproponował jej spacer, bo po chwili minęli furtkę  
w końcu ogrodu i oddalili się ścieżką wiodącą w stronę lasu.  
Chris chciał im chyba towarzyszyć, bo podniósł się nawet,  
ale Ann zatrzymała go na miejscu. Wyglądała mi na to, że  
on się podkochuje w Jill - pomyślała sennie Tyna, obróciła  
głowę na bok i ponownie usnęła.

Obiad zjedli z apetytem, wywołanym przebywaniem na  
świeżym powietrzu. Rozmawiali o wszystkim i niczym,  
starannie omijając wydarzenia ostatnich dni, dopiero Chris,  
wspominając o planowanym powrocie do Stanów, wywołał  
cierpką uwagę Wallesa:

- Wyjedziesz, jeżeli inspektor Sleuth ci pozwoli.

Na chwilę zapanowało milczenie, wreszcie Chris wzru-  
szył ramionami.

- Ma jeszcze cały tydzień na zakończenie śledztwa, po-  
winno mu chyba wystarczyć. Ojczym stanowczo domaga

się mego powrotu i nic na to nie mogę poradzić.

Ktoś, chyba to była Frances, zaczął opowiadać o ostatnim filmie Kubricka, a Ken i Maciek podchwycili ten temat z ożywieniem. Ale chociaż nie wspomniano więcej o wypadkach, jakie zgromadziły ich tutaj, Ewa siedziała zgaszona, prawie nie biorąc udziału w rozmowie.

Również milcząca była Jill. W przeciwieństwie do reszty towarzystwa ledwie dziobnęła jedzenie na talerzu, zostawiając je niemal nie tknięte. W zamyśleniu skubała jakieś nitki w obrusie i od czasu do czasu spoglądała na Pata, jakby spodziewając się odpowiedzi na nie zadane pytanie.

Jak to czasami bywa w lecie - noc zrobiła się nagle, prawie bez przejścia z wieczornego zmierzchu w ciepłą czerń. Niebo było gwiazdziste, zapowiadające piękną pogodę na następny dzień, przez otwarte szeroko drzwi napływało z ogrodu nocne powietrze, przesycone zapachem trawy, ziół i pobliskiego lasu.

Właściwie było jeszcze wcześniej, dochodziła dziesiąta i nie chciało się im rozchodzić. Ktoś zaproponował brydża, okazało się, że mają skład na dwa stoliki. Pociągnęli karty - przy jednym stoliku usiedli do gry Stanley z Maćkiem przeciw Patowi i Frances, przy drugim Walles z Chrisem przeciwko Ewie i Tynie. Ken postanowił przejść się jeszcze, miał do przemyślenia jakieś problemy, związane z najnowszym scenariuszem i potrzebował samotności, jak oświadczył. Reszta towarzystwa zasiadła przed telewizorem, właśnie pokazywano jakiś hałaśliwy western.

- Czy ktoś z was nie znalazł mojej zielonej apaszki? - zapytała w pewnym momencie Frances. - Nie mam pojęcia, gdzie ją posiałam.

- Znajdzie się - pocieszyła ją Ann. - Nic w przyrodzie nie ginie!



- Przestalibyście gadać i ściszyli trochę ten telewizor! -  
zezłościł się Walles. - Własnych myśli nie słyszę!

- Znasz przysłowie o złej tanecznicy? - uśmiechnęła się  
Ewa.

- Dobra, dobra, graj!

Ale Jill podeszła do aparatu i posłusznie zmieniła natę-  
żenie głosu. Postąpiła chwilę, zaglądając w karty Ewy, potem  
wyszła do ogrodu. Jej jasna sukienka bieląła w mroku, aż  
wreszcie roztopiła się w ciemności.

Akurat Walles wylicytował szlemika w kiery, kiedy w  
gabinecie zadzwonił telefon i Ann pobiegła przyjąć. Zaraz  
jednak wróciła.

- Do ciebie, z redakcji - uśmiechnęła się do męża. - Na-  
wet tu nie dadzą ci spokoju! No idź, idź, zagram tymczasem  
za ciebie.

Po pokoju kręcił się Chris, który był wychodzącym, bo  
Walles rozgrywał właśnie kierowego szlemika, Pam i  
Aszraf siedzieli, prawie przytuleni do siebie, obserwując  
perypetie filmowych bohaterów, rozmowa Pata przeciągała  
się. Walles zrobił szlemika, mieli partię. Ann, grająca za  
męża, leżała bez jednej, potem skontrowała Maćkowe trzy  
piki i kontra wyszła, gdy Pat wreszcie skończył rozmowę.

- Co za nudziarze - mruknął, wchodząc do pokoju.

Rozejrzał się po obecnych, jakby chcąc o coś zapytać,  
kiedy nagle Ann, siedząca twarzą do ogrodu, krzyknęła  
przeźrażliwie. Poderwali się z miejsc, wypuszczone z rąk  
karty sfrunęły na podłogę: w otwartych szeroko drzwiach  
stał Jerry Blythe, trzymając na rękach bezwładne ciało Jill.  
Wokół jej szyi, mocno zaciśnięta, widniała zielona apaszka  
Frances.

## 8.

W godzinę później, kiedy zabiegi mające na celu przywrócenie Jill przytomności dały wreszcie rezultat, kiedy minął pierwszy szok, wywołany wypadkiem i kiedy wreszcie odrobinę się uspokoili, Blythe poprosił, aby wszyscy zajęli swoje poprzednie miejsca, to znaczy te, w których znajdowali się w momencie jego wejścia.

Brydżyści skupili się przy stolikach, ktoś pozbierał karty z podłogi, Pam i Aszraf zasiedli przed wyłączonym telewizorem, Pat stanął w pobliżu gabinetu - niby wszystko jak przedtem. Tyle że teraz w dużym klubowym fotelu pólleżała blada Jill, z fioletowymi kręgami pod oczyma, z wyraźną czerwoną pręgą wokół szyi, wciąż jeszcze łapiąc powietrze z jakimś trudem.

- Proszę państwa - zagał Blythe - spróbujmy od razu, na gorąco, ustalić pewne szczegóły. Czy może pani odpowiedzieć na kilka pytań? - to było skierowane do Jill, która w odpowiedzi skinęła potakująco głową. - Dziękuję. A więc, proszę łaskawie powiedzieć, co pani widziała lub słyszała, możliwie po kolei, od chwili wyjścia z domu.

- Walles prosił, żeby ściszyć telewizor - powiedziała szeptem Jill. - Ściszyłam, a ponieważ film mnie nie interesował, wyszłam do ogrodu. Chciałam... - tu na moment spojrzenie jej pobiegło do Pata, prześlizgnęło się po nim i znów spoczęło na rozmówcy - chciałam się nad czymś zastanowić. Usiadłam na ławce, tam, w krzakach boule-de-neiges, i to wszystko, co wiem. Nagle zarzucono mi coś na szyję, zaczęłam się dusić i straciłam przytomność.

- Nie słyszała pani żadnego szelestu, żadnych kroków?

Jill pokręciła przecząco głową.

- Musiała pani być rzeczywiście zamyślona.

- Byłam - opuściła nisko głowę.

- Dziękuję, to rzeczywiście niewiele.

- A skąd właściwie pan się tu znalazł? - nie wytrzymał Aszraf.

- Przyjechałem z polecenia inspektora, który uważał, że w ten sposób zapewni państwu większe bezpieczeństwo. Podjechałem pod dom od strony ogrodu, tam gdzie stoi austin.

- To mój - stwierdził Aszraf.

- Nie słyszeliśmy wozu, jak to możliwe? - Walles podejrzliwie przyglądał się Jerry'emu Blythe.

- Nie bądź nudny! - Pat wypukał fajkę o brzeg popielniczki. - Przecież telewizor tak ryczał, że można było czołgiem podjechać, nie tylko wozem, nie zwracając na siebie uwagi. Sam prosisz, żeby ściszyć.

- Najpierw chciałem zorientować się w topografii, to mi zajęło kilka minut. Obszedłem dom, potem zrobiłem kilka kroków w głąb ogrodu, kiedy usłyszałem jakieś szmery, jakby chrapliwy oddech, odgłosy szamotania. Zawołałem półgłosem „kto tu?”, no i spłoszyłem napastnika. Uciekł, zanim zdążyłem go zobaczyć. Podeszedłem bliżej i znalazłem panią, całe szczęście, w porę. To wszystko.

- Również niewiele - mruknął po polsku Stanley.

- Słucham?

- Nie, nic, nic...

- Zatem pozostaje nam ustalić, kto z państwa wychodził w tym czasie do ogrodu lub w ogóle miał możliwość dokonania tego napadu.

Podniósł się nieopisany tumult, zaczęli mówić jedno przez drugie, ale na czoło wybijał się poirytowany głos Wallesa.

- Jak pan śmie!... Coś podobnego! Co za insynuacje! Na

jakiej podstawie!...

Tylko Jill leżała w swoim fotelu z głową przechyloną na bok i przymkniętymi powiekami. Pamela nachyliła się nad nią.

- Może chcesz, żeby cię stąd zabrać?

Ale Jill nie chciała.

- Zostanę - szepnęła nie otwierając oczu.

Wreszcie Pat huknął pięścią w stół, co tak zaskoczyło obecnych, że zamilkli.

- Przepraszam, ale nie było innego sposobu, żeby was uspokoić. Pan Blythe nie przybył tu dla przyjemności, wypełnia jedynie swoje obowiązki i dlatego, bez względu na to, czy nam się podoba, czy nie, winni jesteśmy mu pomoc.

W zastygłej ciszy zaczął ubijać tytoń w fajce.

- Przepraszam, że się uniosłem - mruknął.

- W porządku, Pat - poklepała go po ramieniu Frances. - Miałaś rację, zachowaliśmy się fatalnie.

- Proszę, niech pan pyta - zgodził się niechętnie Wallis.

- Wiem już, jak byliście państwo usytuowani w chwili mojego wejścia, teraz chciałbym zobaczyć, jak to wyglądało w momencie wyjścia pani Jill do ogrodu.

- Oglądałam telewizję, a Pat grał w brydża - pośpieszyła z wyjaśnieniem Ann. - Był telefon z redakcji do męża i poszedł do gabinetu, a ja zastąpiłam go przy kartach.

Jerry Blythe popatrzył na Pata.

- I wrócił pan na moment przed moim wejściem, tak?

- Tak - zgodził się Pat.

- Jak długo nie było pana w pokoju?

- Nie patrzyłem na zegarek, ale rozmowa trwała dosyć długo.

- A pani zdaniem - Jerry zwrócił się z kolei do Ann - ile to mogło trwać?

- Trudno mi powiedzieć... Jedną grę kończyłam za męża - próbowała sobie przypomnieć - potem coś kontrowałam... Tak, piki Mačka... miałam rozdawać i wtedy zobaczyłam pana.

- Czyli, że mogło to potrwać jakieś piętnaście, dwadzieścia minut?

- Mogło - zgodziła się Ann.

Blythe znów skierował wzrok na Pata.

- Czy okna gabinetu wychodzą na ogród? - zapytał, a Pat patrząc mu prosto w oczy, odpowiedział w martwej ciszy:

- Tak, wychodzą na ogród.

- Ależ to nie ma sensu! - wykrzyknęła nagle Ewa. - Dlaczego miałbyś dusić Jill? Gdzie motyw? To na pewno Tony, znów Tony! Poluje na mnie, ale jego ofiarami wciąż padają moi przyjaciele. Pat nie ma z tym nic wspólnego, nigdy w to nie uwierzę!

Ann objęła ją ramieniem.

- Uspokój się, kochanie. Nikt nie oskarża Pata, po prostu pan Blythe musi znać wszystkie szczegóły. Popełniono już dwa morderstwa, dzisiaj próbowano dokonać trzeciego, musimy pomóc panu Blythe, bez względu na nasze uczucia.

- Nie uwierzę, że Pat może mieć z tym coś wspólnego - powtórzyła z uporem Ewa, ale już nieco spokojniej.

- Dzięki za zaufanie - uśmiechnął się blado Pat - ale pozostaje faktem, że miałem i możliwość, i dosyć czasu na dokonanie tego napadu.

- Chwileczkę - powstrzymał go Blythe. - Nie widzę pana Johnstona. Czyżby poszedł już spać?

- Och nie! Po prostu kiedy Ken pracuje nad czymś, lubi

przebywać sam. Teraz też poszedł samotnie na spacer - pośpieszyła z wyjaśnieniem Frances. - Ale to było na długo przed wyjściem Jill, jeszcze zanim zaczęliśmy grać w brydża.

- Rozumiem - powiedział wolno Jerry Blythe i wszyscy, nie wyłączając Frances, uświadomili sobie, że Ken jest następną osobą, która miała i możliwość, i dosyć czasu... Tak, tylko skąd wiedział, że Jill na pewno wyjdzie? I w ogóle dlaczego miałby na nią napadać?

- Mam jeden wielki szum w głowie - powiedziała Pamela. - Nic nie pojmuję...

W tym momencie w mózgu Tyny jakby zapaliło się czerwone światełko na ułamek sekundy i zaraz zgasło. Wiedziała tylko, że było to coś niesłychanie ważnego, coś, co kolarzyło się z wypowiedzią Pameli. Ale co?

- Czy poza tym nikt nie wychodził do ogrodu? - kontynuował Jerry.

Popatrzyli na siebie, wreszcie Stanley bąknął:

- Graliśmy w brydża - jakby to miało stanowić alibi nie do obalenia.

- Zaraz - powiedziała Ewa. - Chris, ty chyba wychodziłeś?

- Ja? - zdumiał się nagabnięty - kiedy?

- Kiedy Walles rozgrywał szlemika, a ty się rozkładałeś. Nawet zdziwiło mnie trochę, że nie obserwowałeś rozgrywki, ostatecznie wysoka gra, a ty wstałeś od stolika.

- No i co z tego! - zaperzył się Chris. - Po prostu pokręciłem się trochę po pokoju. Widziałaś, że wychodziłem do ogrodu? Nie widziałaś!

- Ale ja widziałam, jak wchodziłeś z ogrodu - Tyna poparła przyjaciółkę. - Walles już zapisywał rozgrywkę, miałam zacząć rozdawać, kiedy wszedłeś.

- O Boże! - Chris wzniosł oczy ku niebu. - Owszem,

wychodziłem na chwilę, ale nie byłem w ogrodzie, stałem parę kroków za drzwiami żeby zaczerpnąć powietrza. Jeszcze trochę i wmówicie we mnie, że to ja chciałem udusić Jill!

- Niczego nie usiłujemy ci wmówić, ustaliśmy fakty, więc nie denerwuj się, stary - powiedział uspokajająco Aszraf, a Pamela pochyliła się nad Jill, która jakby głębiej zapadła się w fotel.

- Może chcesz trochę wody?

- Jak długo rozgrywał pan tego szlemika? - zwrócił się Blythe do Wallesa.

- Nie wiem - zastanowił się tamten. - To była bardzo trudna gra... Nie umiem powiedzieć dokładnie, ale raczej długo.

- No cóż - zreasumował Blythe. - Obawiam się, że wszyscy trzej panowie, zarówno nieobecny pan Johnston, jak i pan Kenn dall, i pan Stenton mieli możliwość dokonania tego napadu. Nie licząc oczywiście pana Fly.

- Dobrze chociaż, że zostawia nam pan furtkę - mruknął Chris, ale zastępca inspektora zdawał się nie słyszeć tej uwagi i ciągnął dalej:

- Pozostaje mi ustalić jeszcze jedno. Czy ktoś z państwa widział uprzednio tę rzecz albo wie, do kogo ona należy?

To mówiąc, wziął z telewizora, na który została rzucona w pośpiechu, zieloną apaszkę, odwiązaną z szyi Jill.

Wszystkie oczy pobiegły ku temu niewielkiemu kawałkowi jedwabiu, który o mało nie stał się narzędziem śmierci.

- To moje - powiedziała cicho Frances. - Miałam związane tym włosy dzisiaj, ale po południu gdzieś zgubiłam...

- To prawda - Tyna energicznie poprawiła się na krześle.

- Nawet pytałaś, czy ktoś z nas jej nie znalazł.

- To chyba byłoby wszystko, dziękuję państwu - skłonił się Blythe. - Pani powinna teraz zasnąć - zwrócił się do JUL.

Zaraz też Ann i Pamela poszły z nią na górę.

- Proszę nie zostawiać jej samej, przeżyła szok - powiedział Blythe i zwracając się do gospodarza, zapytał: - Pozwoli mi pan skorzystać z telefonu? Muszę powiadomić inspektora i zapytać o dalsze instrukcje.

- Oczywiście - zgodził się z nim Pat. - Sprawa jest tym bardziej niepokojąca, że był to już drugi napad w ciągu dzisiejszego dnia.

- Drugi? - zdziwiła się Ewa.

- Tak, zatrzymaliśmy to w tajemnicy, aby cię nie niepokoić.

I Pat w krótkich słowach opowiedział o przedpołudniowym napadzie na Tynę.

- A ten list z Polski, wyobraźcie sobie, znalazłem tuż przed obiadem. Musiał sfrunąć ze schodów, bo leżał w kącie korytarza na pierwszym piętrze, tuż przy łazience.

- Niemożliwe! - powiedział Maciek. - Musielibyśmy go znaleźć wcześniej!

Ale Pat zbył to machnięciem ręki.

- Mój drogi, zdarza się tyle rzeczy na pozór niemożliwych!

- I co, dałeś go wreszcie Jill? - spytał Chris.

- Trudno uwierzyć, ale jakoś zapomniałem. Wetknąłem w kieszeń i po prostu zapomniałem.

- No, to trzeba teraz jej zanieść - gorączkował się Aszraf, ale Blythe był innego zdania.

- Dajmy na dzisiaj spokój panie Jill, miała dosyć, przeżyć jak na jeden dzień. Niewiadomo, co list zawiera - pomysły czy niepomysłne nowiny - a więc odłóżmy to do jutra.



- Zgadzam się - oświadczył Pat. - Włożę go do szuflady w moim biurku, myślę, że do jutra nie zginie.

- Niech i tak będzie - zgodził się Chris, a Walles i Stanley podnieśli się z krzesel.

- Wobec tego jedziemy do hotelu przespać się trochę. Czy wystarczy, jeżeli zjawimy się jutro koło dziewiątej?

Jerry skinął głową.

- Sądzę, że tak.

- Jedziesz z nami, Frances, czy chcesz czekać na Kena?

- Zaczekam. Gdyby długo nie wracał, przyjadę z Aszrafem.

- Jak sobie życzysz! - ale nie zdążyli wyjść z pokoju, gdy z ogrodu wszedł Ken.

- No, nareszcie - ucieszyła się Frances, a on powiódł po obecnych niezbyt przytomnym spojrzeniem i zapytał:

- Już nie gracie? Tak szybko skończyliście?

Zamiast odpowiedzi, Blythe podszedł do niego:

- Przykro mi, ale muszę pana przesłuchać w sprawie napadu dokonanego na pannę Jill. Być może widział pan lub słyszał coś, co może pomóc w dochodzeniu.

Tyna długo nie mogła zasnąć. Przewracała się z boku na bok, a wypadki minionego dnia przewijały się niczym film przed jej oczami. Jeszcze rano byli w Londynie, zabierali Jill, potem jazda autostradą, zwiężającą się gdzieś na horyzoncie w nieuchwytny punkt, szum mijanych aut, powietrze bijące o jej wyciągniętą rękę... I znów w mózgu Tyny zabłysło światło, ale zgasło równie szybko, jak poprzednio, nie zdążywszy oświetlić swym blaskiem czegoś ważnego, co przeoczyła, co stało w sprzeczności... Z czym? Nie umiała by tego wyjaśnić. Chociaż czuła że coś było nie tak, coś się nie zgadzało, nie była jednak w stanie sprecyzować tego

uczucia, pochwycić umykającej myśli. Z tym niedosytem wreszcie zasnęła.

Spała niespokojnie, dręczona przez majaki, uciekała przed kimś wokół skweru na placu Trzech Krzyży. Skąd plac Trzech Krzyży w Londynie? - zdziwiła się we śnie. Czyjeś ręce wyciągały się po nią, uciekała, ale nogi grzęzły w kleistej mazi, wreszcie upadła, ręce zacisnęły się na jej gardle, czyjaś twarz pochylała się nad nią - smutna, zapłakana twarz Jill.

Druga Tyna, ta kontrolująca własny sen, powiedziała sobie: „Muszę natychmiast się obudzić!” - jak to robiła wiele razy, gdy sny stawały się koszmarem, i jak wiele razy przedtem udało jej się zbudzić. Chwilę leżała bez ruchu, oddychając ciężko, jeszcze połową swego ja zanurzona w grzęzawisko sennych majaków, gdy nagle wydało jej się, że słyszy kroki na korytarzu. Kroki, to może za wiele powiedziane, raczej szmer, zwiastujący czyjaś obecność. Wstrzymała oddech - szmer powtórzył się. Wyciągnęła rękę próbując obudzić Maćka, ale ten zamruczał coś z nieukontentowaniem, obrócił się na drugi bok i spał dalej.

Tyna usiadła w łóżku. Ostatecznie nie było w tych szmerach nic nadzwyczajnego - mógł ktoś z domowników wędrować do łazienki - postanowiła jednak rzecz zbadać. Bardzo wolno, starając się nie robić hałasu, wstała z łóżka, ostrożnie uchyliła drzwi i wysunęła się na korytarz.

Tu mrok był bardziej gęsty niż W pokoju, pożałowała, że nie ma ze sobą latarki, ale odważnie postąpiła kilka kroków wzdłuż ściany, wodząc po niej ręką. Przystanęła, wstrzymując oddech i nasłuchując uważnie, ale wokół panowała cisza, niemal dzwoniąca w uszach.

Czyżby mi się zdawało? - pomyślała, ale wiedziała, że

nie, nie przesłyszała się. Ktoś był uprzednio na korytarzu, była tego pewna. Stała jeszcze chwilę, wreszcie zawróciła z powrotem. Zrobiła to chyba zbyt energicznie, bo odwracając się, szurnęła bosą stopą o ścianę, uderzyła się w palec i syknęła z bólu. Natychmiast też zamarła, bo w miejscu, gdzie powinny znajdować się drzwi do sypialni gospodarzy, utworzył się jaśniejszy prostokąt i zamajaczyła w nim czyjaś wysoka postać. Chwilę oboje trwali w bezruchu, wreszcie Pat spytał szeptem:

- Kto tam?

Tyna odetchnęła z ulgą.

- To ja - powiedziała również szeptem. - Wydawało mi się, że ktoś chodzi po korytarzu, wyszłam sprawdzić.

- Musiałaś się przesłyszeć, wracaj natychmiast do siebie. Chcesz, żeby ci znowu rozbito głowę?

Czy wydało się jej tylko, czy w głosie Pata zabrzmiały jakieś szczególne nuty? Była to groźba, ostrzeżenie czy tylko troska? Nie umiała odpowiedzieć na pytanie. Być może noc, ciemność, napięcie nerwowe, przeinaczały proporcje, zmieniały sens, wyolbrzymiały rzeczy bez znaczenia.

Powiedziała więc tylko:

- Dobranoc, Pat, przepraszam, że cię zbudziłam - i zawróciła do swego pokoju. Już układając się w łóżku, zdała sobie sprawę, że ostatnie zdanie nie miało sensu.

Poruszała się przecież bardzo cicho, jej zachowanie absolutnie nie mogło zbudzić Pata. A więc on również nie spał, również musiał słyszeć te szmery. Czemu wobec tego twierdził, że się przesłyszała?

Zagryzła wargi. Nasuwało się jedno, jedyne wyjaśnienie - to Pat kręcił się po korytarzu. I nie byłoby w tym nic dziwnego, był we własnym domu, mógł korzystać z łazienki, może poszedł do kuchni napić się czegoś, tylko czemu

nie chciał się do tego przyznać? I ten dziwny ton, jakim wypowiedział: „Chcesz, żeby ci znów rozbito głowę?”

Szukając odpowiedzi Tyna powtórnie usnęła.

O dziewiątej rano zgromadzili się wszyscy przy śniadaniu, nawet nocujący „Pod Głową Baranią” stawili się punktualnie, z panem Blythe na czele.

Ranek był słoneczny, nadal utrzymywała się piękna pogoda. Ptaki świergotały, zaaferowane swymi ptasimi sprawami i przekrzywając łebki, zaglądały do pokoju czarnymi paciorkami wypukłych oczek. Powietrze było orzeźwiające, pełne leśnych zapachów, świat wyglądał tak zachęcająco i sielankowo, że wręcz nie chciało się wierzyć we wczorajsze zdarzenia.

Z szyi Jill znikła już czerwona pręga, ale nadal pozostały liliowe sińce pod oczami i smutek, choć zapytana, jak się dziś czuje, odpowiedziała, że dobrze, wszystko w porządku. Wolno popijała herbatę z mlekiem, nie ruszając ani płatków kukurydzianych, ani sakramentalnych jajek na bekonie, w przeciwieństwie do mężczyzn, którym apetyt dopisywał. Także mała Peggy, usadowiona na kolanach matki, bez oporu zjadała zawartość łyżek wędrujących między pełnym talerzem a jej buzią.

- Zaraz po śniadaniu idę do lasu - westchnęła Tyna.

Jerry Blythe odchrząknął lekko.

- Wybiera się tam pani sama? Obawiam się, że musiałbym pani tego zabronić.

Przy stole zapanowało milczenie, przerwane niezbyt zręcznie przez Kena.

- Doskonale rozumiem inspektora. Dwa napady w ciągu jednego dnia, w tym próba uduszenia, to chyba dosyć, jak na spokojny weekend. Nie może przecież czekać, aż za trzecim napadem będzie trzeci nieboszczyk.

- Ken! - w głosie Frances brzmiał wyrzut.  
- Czy powiedziałem coś złego, kochanie?  
- Są rzeczy, o których się nie mówi - prawie szepnęła, pochylając twarz nad talerzem.

- Dlaczego? Skoro można je robić...

Maciek, pragnąc ratować sytuację, przypomniał sobie nagle o liście Jill.

- Wyobraź sobie, że Pat jednak znalazł twój list, tylko uznaliśmy wczoraj, że lepiej odłożyć to do rana, miałaś dosyć przeżyć.

Ale w spojrzeniu, jakie Jill podniosła na Pata, nie było ani zdumienia, ani radości. Tynie wydało się raczej, że dostrzegła jakby cień porozumienia, tylko czego ono miało dotyczyć?

Pat wstał zza stołu, mówiąc:

- Przepraszam, zaraz przyniosę - i oddalił się w stronę gabinetu.

Jego nieobecność nie trwała długo, stanął w drzwiach i powiedział, patrząc prosto w oczy Jill:

- Przepraszam cię, ale list znów zginął. Nie ma go w biurku.

Wargi Jill drgnęły, jakby chciała coś powiedzieć, ale tylko je zagryzła, opuszczając nisko głowę. Przy stole podniosła się wrzawa, Walles odsunął swoje nakrycie tak energicznie, aż widelec spadł na podłogę.

- Co to znaczy: „zginął?” O czym ty mówisz, człowieku? - irytował się. - Przecież nikt z nas nie wchodził do twego gabinetu.

- Rano z pewnością nie - zgodził się Pat.

- Chcesz powiedzieć, że w nocy ktoś się tam zakradł? — Aszraf nie mógł usiedzieć z podniecenia.

- Ale kto, po co komu ten list? - nie mogła zrozumieć Pamela.

- Przecież to wszystko nie trzyma się kupy - sekundował

bratu Stanley, a Ewa objęła głowę rękami, powtarzając w kółko:

- Nie rozumiem, po co Tony'emu listy Jill, nie rozumiem, nic nie rozumiem...

I nagle, zagłuszając ogólny gwar, odezwał się Ken, z właściwym sobie, nieco ociężałym spokojem:

- Przestań, Ewa! Przecież to jasne jak słońce, że nie Tony zabrał list.

Uciszyli się, patrząc na niego w oczekiwaniu, że może powie coś więcej, wyjaśni wszystko, tu, zaraz, natychmiast rozwiąże całą zagadkę, ale on wzruszył lekko ramionami i znów pogrążył się w milczeniu.

Tynie przypomniały się nocne szmery na korytarzu - a jeżeli to właśnie wtedy ktoś skradał się do gabinetu? Poczuli lodowate igiełki, wędrujące wzdłuż kręgosłupa. Już otworzyła usta, żeby powiedzieć im, że słyszała w nocy złodzieja, kiedy spotkała się z oczami Pata, który wyraźnie nakazywał jej wzrokiem milczenie. I znów nie wiedziała, czy jest to groźba, czy przestroga.

- Poza listem nic nie zginęło? - spytał Blythe.

- Chyba nie - odparł Pat, wciąż nie spuszczać oczu z Tyny, jakby niepewny, czy jednak nie powie o nocnym spotkaniu. - Wydaje mi się, że szukano jeszcze czegoś, bo drzwi od szafy z książkami zostały nie domknięte i jeden z klubów nie stoi na swoim miejscu, odsunięto go od ściany.

- Szukano? Ale czego jeszcze? - zdumiał się Chris.

- Myślę, że wiem czego - odpowiedział wolno Pat. - Młotka do krokiet, którym uderzono Tynę. Przeszępca obawia się, że zostawił na nim ślady.

Jerry Blythe pokiwał głową.

- Nie wiedział, że ów młotek, odpowiednio zabezpieczony, spoczywa od wczoraj w bagażniku mego samochodu.

- Słuchajcie - Maciek przetarł nagle spocone czoło. - To, co mówicie, wyklucza Tony'ego. Ten, kto uderzył Tynę, ukraść w nocy list, a po co Tony'emu list? Czyli - nie on ukraść, nie on uderzył, nie on próbował udusić. Wszystko wskazuje, że ktoś z nas. Rozumiecie: ktoś z nas! Dwa morderstwa, dwa usiłowania zabójstwa, bo przecież nie możemy wykluczyć, że i Tynę chciał zabić, tylko został spłoszony przez Pata, wszystko - ktoś z nas!

Umilkł, jakby przerażony własnymi słowami.

- Nno, niezupełnie się z tobą zgadzam - Pat charakterystycznym dla siebie ruchem pocierał palcem policzek. - Może być, jak mówisz, ale mogło być i tak, że atak na Tynę był podyktowany koniecznością ucieczki, atak na Jill - kolejną pomyłką w ciemności.

- Czy nie za wiele tych pomyłek? - mruknął pod nosem Ken, ale Pat ciągnął dalej:

- Załóżmy, że po napaści na Jill, Tony nie uciekł daleko i na przykład zacząłony pod otwartym oknem, wysłuchał wczoraj wszystkiego, wiedział, że kładę list do biurka. W nocy, kiedy przyszedł szukać młotka, a mógł przypuszczać, że schowałem go również w gabinecie, zabrał z szuflady ów list, właśnie po to, aby zbić nas z tropu. Mogło tak być?

- Mogło - przyznał z wyraźnym westchnieniem ulgi Maciek.

- Pozwoli pan, że obejrzę gabinet - podniósł się Jerry Blythe, ale w tym momencie zadzwonił telefon. - To z pewnością inspektor...

Siedzieli w milczeniu, czekając na powrót Blythe'a. Jakoś wszyscy stracili apetyt - odsunięte talerze z nie dojedzonymi resztkami, nie dopite filiżanki kawy i herbaty, połamane tosty sprawiały przygnębiające wrażenie.

Po kilku minutach wrócił Blythe.

- Inspektor Sleuth będzie państwa oczekiwał wieczorem w Londynie - powiedział już od progu. - Poza tym zaszły nowe wydarzenia związane z osobą pana Fly.

- Aresztowano Tony'ego? - poderwała się Ewa.

- Przepraszam, ale nie jestem upoważniony do powiedzenia niczego ponadto. Inspektor wszystko wyjaśni osobiście.

## 9.

I oto siedzieli - który to już raz? - w dużym pokoju Ewy, z napięciem oczekując tego, co inspektor miał im do powiedzenia.

Parę minut zajęła konieczna po podróży toaleta - trzeba było chociaż umyć ręce - no i Ann musiała ułożyć do snu Peggy, która zwykle o tej porze odbywała drzemkę. Położono małą w pokoju Maćków, zostawiając szeroko otwarte drzwi. Jeszcze Ewa wyciągnęła z lodówki coca-colę i soki, jeszcze sięgnięto po papierosy, a Pat rozjarzył tytoń w swej dunhillowskiej fajce, aż wreszcie wszystkie oczy skierowały się na inspektora. Zapadła cisza, w której słychać było jedynie odgłosy miasta, dobiegające przez otwarte okna i pochrząkiwanie Wallesa, nerwowo kręcącego się na swoim krześle.

- Mówże pan wreszcie o co znów chodzi! - wybuchnął w końcu. - Długo ma pan zamiar tak nas trzymać?

Sleuth wolno podniósł oczy na mówiącego i po ułamku sekundy rozłożył ręce jakby w geście przeprosin.

- Rozumiem państwa zniecierpliwienie, ale proszę mi wierzyć, sam nie wiem, jak zacząć. To, co mam do powiedzenia, nie będzie zbyt przyjemne.

- Wobec tego im prędzej, tym lepiej! - mruknął Aszraf.



Tyna słuchała tych rozmów jednym uchem, błędząc wzrokiem po pokoju. Jerry Blythe przysiadł na parapecie okna, jeden z ludzi inspektora stał oparty o framugę drzwi prowadzących do korytarza, drugi - w pobliżu drugiego okna. „Zupełnie, jakby blokowali wszystkie możliwe wyjścia” - przemknęło jej przez głowę.

Obok okna, by mieć jak najwięcej świeżego powietrza, siedziała Jill, wsparta na poduszkach fotela, wciąż jeszcze przeraźliwie blada. Wyglądało to tak, jakby Blythe jej pilnował albo nad nią czuwał. Ewa, Chris, Pamela i Aszraf siedzieli na tapczanie, Pat w pobliżu inspektora, na małym taborecie, przyniesionym z kuchni, Stanley i Ken wprost na dywanie, a Frances, Maćki i Ann na pozostałych fotelach i krzesłach.

- Muszę państwu z przykrością oznajmić - zaczął Sleuth - że dziś o godzinie ósmej rano znaleziono pana Fly. Usiłował popełnić samobójstwo, oddając do siebie strzał z rewolweru.

Zapanowała cisza na sekundę. Przerwał ją martwy, głuchy głos Ewy:

- Nie żyje?

- Żyje, ale jest nieprzytomny, stan bardzo ciężki. Przewieziono go do szpitala.

- Powinam...

- Nie teraz. Znaleziono przy nim list, w którym wyjaśnia motywy swego czynu. W tym miejscu muszę państwa gorąco prosić o zatrzymanie przy sobie wszystkiego, co powiem. Nic z tego nie powinno wyjść poza te cztery ściany. Otóż w liście pan Fly pisze, iż wprowadził sir Henry zapewnił mu opiekę i dobrobyt, ale jednocześnie wywarł niszczycielski wpływ na jego życie. Był homoseksualistą i zmuszał swego wychowanka do współżycia ze sobą. Z czasem to, co było przymusem, stało się przyzwyczajeniem i dopiero pojawienie się pani Ewy sprawiło, że podopieczny próbował

uwolnić się ze swych więzów. Nie na długo jednak to mu się udało, gdyż po pewnym czasie powrócił do dawnych układów, nie umiając wyplątać się z narzuconej zależności.

Ewa siedziała przez moment patrząc na inspektora, po czym przeniosła wzrok na obecnych i nagle, jakby tknięta jakąś myślą, zerwała się i zaczęła potrząsać Aszrafem.

- Wiedziałeś o Tonym, powiedz! Wiedziałeś, prawda?!

Unikając jej oczu, odpowiedział cicho:

- Wiedziałem... Zresztą nie ja jeden...

Ewie opadły ręce, stała nad nim jeszcze chwilę oniemiała, nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa, wreszcie powiedziała drewnianym głosem: „przepraszam” zawróciła jak automat i usiadła na poprzednim miejscu.

Inspektor Sleuth, obserwujący całą scenę w milczeniu, teraz uprzejmie zapytał:

- Czy chce pani wody, a może coś na uspokojenie?

Ale Ewa odmówiła.

- Przepraszam was, proszę kontynuować, inspektorze.

- No cóż - zaczął Sleuth jakby z lekka zmęczonym głosem - muszę państwa prosić jeszcze raz o odtworzenie sytuacji z wieczoru, w czasie którego zamordowano Gordona.

- Znowu - burknął z irytacją Walles, a Ken, spojrzawszy na inspektora niedowierzająco, wzruszył ramionami i zwrócił się do Frances:

- Moja droga, może ty mi powiesz, co robiłem, bo ja naprawdę nie jestem w stanie...

- Ależ, Ken! - zgromiła go Frances.

W końcu, choć trwało to nieco dłużej niż za pierwszym razem, zajęli swoje miejsca z owego tragicznego wieczoru i zaczęli powtarzać tamte sytuacje. Wydawało się, że znowu wszystko pozostanie tak samo, gdy nagle Pamela, na widok

Jerry'ego Blythe, zastępującego Gordona, odezwała się nieśmiało:

- Być może to zupełnie nieważne, ale on się schylił. Jednym skokiem inspektor znalazł się przy niej.

- Co pani przez to rozumie?

Nieśmiała z natury Pamela była wyraźnie przestraszona własną odwagą, a także tym, że stała się ośrodkiem powszechnego zainteresowania.

- Po prostu schylił się, zawiązywał sznurowadło.

Spojrzenie inspektora pobiegło w kierunku Pata, spotkało się z jego oczami, po czym wróciło do Pameli.

- Jest pani tego najzupełniej pewna?

- Tak - wybąkała, coraz bardziej spłoszona. - Jeżeli to takie ważne dla pana, mogę przysiąc.

- Nie rozumiem, do czego pan zmierza - wtrącił Chris.

- Jeszcze chwilę cierpliwości, proszę państwa. W którym miejscu nastąpiło to zawiązywanie sznurowadła?

Pamela wolno postąpiła parę kroków i zatrzymała się niedaleko narożnika tapczanu, przy którym siedziała Jill.

- Mniej więcej tu.

- Dziękuję pani, proszę wrócić na swoje miejsce.

W głosie inspektora brzmiało wyraźne zadowolenie. Podszedł do Chrisa, wolno i wyraźnie powiedział:

- Oskarżam pana o otrucie Gordona Westleya, zabójstwo Suzy Lennon, próbę uduszenia Jill Hines oraz napad na Tynę... - tu zakrzuszył się polskim nazwiskiem, zbyt skomplikowanym jak na angielskie możliwości. - W imieniu królowej aresztuję pana.

Tynie wydawało się, że krew pulsująca w jej skroniach lada moment rozsadzi żyły, w duchu krzyczała: „to niemożliwe!” - aż ze zdziwieniem usłyszała czyjś głos, załamujący się nerwowo:

- Niemożliwe, przecież to niemożliwe, żeby on zabił Suzy!

To Pamela, bliska hysterii, wpatrywała się szeroko otwartymi oczyma w twarz oskarżonego.

Inspektor, nie odwracając głowy, powiedział powoli:

- Rozumiem uczucia państwa, niestety o pomyłce nie ma mowy.

Na przystojnej, opalonej twarzy jego przeciwnika, ukazał się uśmiech.

- Drogi inspektorze, tych oskarżeń trzeba jeszcze dowieść.

Sleuth przyjrzał mu się z rodzajem zaciekawienia.

- Dowiodę, może pan być zupełnie pewien!

Wykonał ledwie dostrzegalny ruch głową i Jerry Blythe zatrzasnął na przegubach oskarżonego niewielkie stalowe kajdanki. Stało się to tak szybko, że ten nawet nie zdążył szarpnąć się w tył.

- Obszukać! - powiedział krótko inspektor, odwracając się tyłem.

- Nie macie prawa!

Ale już w rękach Jerry'ego znalazła się lotnicza koperta, oblepiona bajecznie kolorowymi znaczkami z Polski.

- List Jill! - szepnęła Tyna, pełna zgrozy.

Sleuth, oparty teraz o parapet okna, znów zwrócony twarzą do obecnych, ciągnął dalej :

- W pana mieszkaniu znaleźliśmy fiołkę z resztką cyjanu. Poza tym na trzonku krokietowego młotka pan Blythe zabezpieczył bardzo piękny odcisk palca - to tylko kwestia czasu, ale sądzę, że daktyloskop nie będzie miał wątpliwości. Myślę, że jeszcze parę dowodów też się znajdzie. Jerry, pan niech zostanie, a wy zabierzcie oskarżonego.

W martwej ciszy trzech mężczyzn przeszło przez pokój. Jill siedziała z pochyloną głową, nie ocierając łez,

spluwających po policzkach, Ann zapatrzyła się martwo w ciemniejącą za drzwiami przestrzeń korytarza. Frances przyłożyła dłoń do ust, jakby tamując zrywający się okrzyk. Pamela potrząsała bezradnie głową, a na twarzy Tyny malowało się tak nieprawdopodobne zdumienie, że gdyby nie dramatyzm sytuacji, mogłoby to budzić śmiech. Wreszcie nie wytrzymała Ewa. Trzęsącymi się palcami wyjęła z paczki papierosa i poprosiła:

- Panie inspektorze, czy mógłby pan... nic z tego nie rozumiem... Przecież Tony?...

Sleuth przejechał ręką po włosach.

- Oczywiście, winien jestem państwu wyjaśnienie. Pan Fly nie miał z tą sprawą nic wspólnego. Tyle że morderca miał nadzieję posłużyć się nim jak kozłem ofiarnym, obciążając go własnymi zbrodniami.

- Nic nie rozumiem - bezradnie powtórzyła Ewa.

- Spróbuję to wytłumaczyć. Pierwszą ofiarą był pan Gordon Westley - podejrzenie padło najpierw na Raymonda Dwella, następnie na kogoś... - tu inspektor odchrząknął - no, powiedzmy, na kogoś, z kim denata łączyły interesy finansowe. Do tej sprawy zresztą będziemy musieli jeszcze wrócić.

Tynie wydało się, że w tym momencie Walles wcisnął się głębiej w fotel i wymieniła z Ann porozumiewawcze spojrzenie.

- O ile pamiętam, pan pierwszy wysunął hipotezę pomyłki - to było pod adresem Maćka, który aż pokraśniał z dumy. - Rzeczywiście Gordon Westley padł ofiarą pomyłki, ściśle mówiąc, własnego roztargnienia.

- Powiedziała pani - inspektor zwrócił się do Pameli - że przed opuszczeniem pokoju w towarzystwie Raymonda Dwella pan Gordon pochylił się i zawiązywał sznurowadło i że miało to miejsce tu, blisko stoliczka stojącego przy tapczanie, czy tak?

- Tak - potwierdziła Pamela.

- A pan - nastąpił szybki obrót inspektora w kierunku Wallesa - a pan jest pewny, że odchodząc od pana, Gordon Westley palił papierosa i trzymał w ręku filiżankę z kawą?

- Tak, już mówiłem - mruknął Walles.

- Zatem, aby zawiązać sznurowadło, musiał odstawić gdzieś tę filiżankę, prawda? Nawet przyjmując, że panna Pamela myli się nieco w odległości, w jakiej zatrzymał się zamordowany, to ów mały stoliczek jest najbliższym i jedynym możliwym miejscem na trasie, którą musiał przebyć, zdążając z tamtego kąta do drzwi, gdzie oczekiwał go Dwell. Musiał więc postawić swoją filiżankę z kawą na tym stoliczku, z kawą, której zresztą - jak zeznał pan Walles - już próbował bez żadnych złych skutków. A cyjanek działa natychmiast, proszę państwa... Tu, w tym narożniku, siedziała pani Jill. A gdzie była pani kawa?

Nie podnosząc oczu na inspektora, ledwie dosłyszalnie szepnęła:

- Obok, na stoliku.

- Czy przed podejściem do telefonu piła ją pani?

- Nie, dopiero potem, do szarlotki.

- Czy nic nie zwróciło pani uwagi?

- Nic... Tak... Była słodka, a ja prosiłam o gorzką.

Inspektor zwrócił się do zebranych:

- Rozumiecie już, państwo, co się stało? Pan Westley pomylił się; odchodząc po zawiązaniu sznurowadła, wziął zamiast swojej, kawę panny Hines. Pamiętajcie, że paliły się świece, nie było zbyt jasno.

- Chce pan przez to powiedzieć, inspektorze, że w kawie Jill był cyjanek? - spytał niedowierzająco Ken.

- Właśnie tak. Trucizna była przygotowana dla pani i tylko zbieg okoliczności...

- Wiem - szepnęła cicho Jill. - Pat mi wytłumaczył...

- Ale dlaczego, na miłość boską, dlaczego? - spokojna zwykle Frances nie była w stanie opanować zdenerwowania.

- Co z tym wszystkim Jill ma wspólnego?

Sleuth charakterystycznym dla siebie gestem, przejechał ręką po włosach.

- Dojdziemy i do tego. Następną ofiarą była panna Suzy. Zauważyła coś, co obciążało mordercę, a tym samym musiał przeszkodzić jej rozmowie ze mną, choćby za cenę zbrodni. A kto z państwa wiedział, że panna Suzy ma mi coś do zakomunikowania? Tylko domownicy oraz obaj panowie, którzy byli tu w wieczór poprzedzający zbrodnię.

A więc morderca zadzwonił do niej do szpitala, umawiając się pod byle pozorem na spotkanie. W czasie rozmowy zorientował się dokładnie, w jakim stopniu panna Suzy może naprowadzić nas na trop, no i uznał, że wie zbyt wiele. Pożegnał się i odchodząc, gdy oboje znaleźli się w hallu, chwycił mosiężny lichtarz, zadając od tyłu swej ofierze cios w głowę. Następnie, dla utrudnienia śledztwa, odwrócił ciało o sto osiemdziesiąt stopni. Panna Suzy upadła głową w kierunku drzwi wyjściowych, co by wskazywało na to, że morderca wyszedł z głębi mieszkania, a więc był to ktoś, kto prawdopodobnie z nią przyszedł i zjadł lunch. Natomiast odwrotne ułożenie ciała miało sugerować, że morderca zaskoczył ofiarę od tyłu, wszedł znienacka przez niedomknięte drzwi i uderzył, nie widząc twarzy, a więc popełnił pomyłkę. Było to dosyć zręcznie, pomyślane, ale usytuowanie stolika z lichtarzem, jak również nie zauważony przez mordercę ślad krwi na dywanie przedpokoju, zdradziły nam prawdę i niedwuznacznie wskazały na kogoś z grona państwa. Kogoś, kto starał się fabrykować ślady, obciążające pana Fly. Chociaż trochę trudne to do uwierzenia, aby z

odległości metra nie rozróżnić znajomej od... żony, nawet oglądając ją tylko z tyłu.

Proszę państwa, nie twierdź, że już wtedy znaleźliśmy rozwiązanie, ale powzięliśmy pewne podejrzenia. Dlatego propozycję wspólnego wyjazdu państwa na weekend przyjąłem tak chętnie. Stwarzała ona po prostu dogodniejsze warunki obserwacji, mieliście być wszyscy razem, nie rozproszeni po Londynie. Moim okiem i uchem miał być Pat. Przyznaję, że było to ryzykowne. Niestety, mimo jego pomocy, okazało się, że nie byłem w stanie wszystkiemu zapobiec.

- Przepraszam, panie inspektorze - nieśmiało przerwała mu Ann - ale czy nie zechciałby pan wytłumaczyć nam całej historii od początku.

Pat uspokajająco dotknął ramienia żony, ale ta ciągnęła dalej.

- Dla pana, inspektorze, i dla Pata, jak widzę, sprawa jest jasna, bo znacie motywy, ale my naprawdę nic z tego nie rozumiemy.

Sleuth uśmiechnął się z niejakim zażenowaniem.

- Przepraszam, może rzeczywiście wybiegłem zanadto naprzód. Motywem były, jak to zwykle bywa, pieniądze. Pan John Andrews, współwłaściciel olbrzymich zakładów chemicznych w Stanach, ojczym Chrisa Stentona, jest rodzonym bratem nieżyjącej już matki panny Jill Hines.

Po przybyciu do Stanów zmienił nazwisko Andr... Anż...  
- tu Sleuth długo krztusił się; aż Jill podpowiedziała mu cicho:

- Andrzejczak...

- Właśnie - zgodził się inspektor. - Zmienił je na łatwiejsze do wymówienia - Andrews. Po wojnie długo i bezskutecznie poszukiwał członków rodziny, pozostałych w



Polsce, zwłaszcza siostry... - tu obejrzał się na Jill, oczekując jej pomocy.

- Żeliszawy Andrzejczak...

- Nie wiedział, że ta, wywieziona do obozu koncentracyjnego, trafiła później przez Czerwony Krzyż do Szwecji, a następnie wyszła za mąż za Collina Hinesa, Anglika, i zamieszkała z nim w Londynie. Oboje państwo Hines zginęli w katastrofie samochodowej w 1964 roku, pozostawiając córkę, obecną tu pannę Jill, o której istnieniu pan Andrews nie miał pojęcia, a która jako jego najbliższa krewna, jest w razie jego śmierci również jedyną dziedziczką. W przypadku śmierci lub nieodnalezienia się panny Jill wszystko dziedziczył pasierb Johna Andrewsa, syn jego żony z pierwszego małżeństwa, Chris Stenton. Czy teraz motywy są jasne dla państwa?

Niewyraźne mruknięcie ze strony Wallesa, było jedyną odpowiedzią.

Inspektor zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko i mówił dalej:

- Był to przypadek, jeden na milion, a może i więcej, że panna Jill będąc w Polsce spotkała osobę, która skojarzyła sobie jej imię z poszukiwaniami sprzed kilku lat... Ten sam dziwny traf sprawił, że Chris Stenton, który bawił w Londynie, załatwiając jakieś sprawy ojczyma, zetknął się w towarzystwie z panną Hines. Znając historię poszukiwań, czynionych przez jego ojczyma i kojarząc oczywiste fakty, nie miał żadnych wątpliwości, że oto spotkał rywalkę do milionów ojczyma. Postanowił więc, nazywając to elegancko, wyeliminować ją z gry.

Tak długo, jak nikt nie orientował się w pokrewieństwie panny Hines z milionerem Johnem Andrewsem, tak długo jej ewentualna śmierć nie mogła być w najmniejszym stopniu łączona z osobą Chrisa Stentona. Stąd konieczność

szybkiego działania, przed nadejściem listu z Polski.

Jednym słowem, weekend był ostatnią szansą, jaką Stenton miał do wykorzystania.

Po przybyciu na wieś, Stenton natychmiast przystąpił do zbadania terenu w pobliżu swego pokoju, może chciał na strychu znaleźć narzędzie następnej zbrodni - w każdym razie w chwili, gdy panna Tyna weszła do jego pokoju, wcale nie znajdował się pod prysznicem, jak usiłował to wmówić.

W tym momencie czerwone światełko znów zapaliło się w mózgu Tyny.

- Już wiem - krzyknęła. - Szum! Wiem wreszcie, co mi się nie zgadzało! Gdyby był pod prysznicem, musiałabym słyszeć szum wody!

Sleuth skinął głową.

- Owszem, pan Stenton wycofał się do umywalki dopiero wtedy, gdy Pat, zaalarmowany pani krzykiem, popędził na górę. I to Pat, właśnie podnosząc panią, odruchowo wsunął list do kieszeni, nawet nie przypuszczając, że ma w ręku klucz do zagadki. Ale może dalej sam opowiesz. Ostatecznie byłeś tam na miejscu, ja znam przebieg wydarzeń jedynie z twojej telefonicznej relacji.

- Dobrze - zgodził się Pat, dłubiąc przybornikiem w fajce. - Schowałem ten list do kieszeni, jak już wspomniał inspektor, i na pytanie Tyny miałem go oddać, gdy nagle zrozumiałem, że w liście może się kryć wytłumaczenie zagadki. Nie przyznałem się więc, że go mam. Zauważyłem natomiast wzrastające zdenerwowanie Chrisa, który nie mógł sobie wytłumaczyć tajemniczego zaginięcia listu. Oczywiście zaraz potem powiedziałem na osobności Jill, że mam jej list i uzyskałem jej zgodę na poznanie treści. I wtedy wszystko stało się jasne...

Uzyskałem od Jill obietnicę, że nie powie nikomu ani

słowa. Zaraz po lunchu połączyłem się telefonicznie z Londynem, z inspektorem, i przekazałem mu wszystkie wiadomości. Ustaliliśmy, że będę miał Chrisa na oku, do czasu, aż przyjedzie pan Jerry Blythe, a inspektor w tym czasie skontaktuje się z Johnem Andrewsem w Stanach i sprawdzi posiadane przez nas wiadomości.

Po tej rozmowie wybrałem się z Jill na daleki spacer i - w możliwie delikatny sposób - starałem się poinformować ją, co jej grozi i z czyjej strony.

Resztę właściwie już znacie. Pech chciał, że pan Blythe skutkiem przejściowej awarii wozu, opóźnił nieco swój przyjazd i że diabli nadali telefon do mnie z redakcji, właśnie wtedy, kiedy Jill wyszła przed dom. Wydawało jej się, że jest zupełnie bezpieczna, skoro Chris gra w brydża...

Ostatecznie postanowiłem sprowokować Chrisa. Po udaniu się Jill na spoczynek, rzekomo przypomniałem sobie o odnalezieniu listu i poinformowałem was, że zostawiłem go w biurku, w moim gabinecie. W nocy list zniknął. Czemu nie zastawiliśmy pułapki i nie złapaliśmy Stentona na gorącym uczynku? Nie wydawało się nam to konieczne... Przestraszyłem się tylko o Tynę, kiedy zaczęła wędrować nocą po korytarzu. Gdyby spotkała się z Chrisem, mogłoby to się źle skończyć.

Zapytacie pewnie, czemu Chris nie zniszczył listu, dostawszy go w swoje ręce... Trzeba będzie zapytać o to jego samego, ale przypuszczam, że przez ciekawość. Nie zapominajcie, że list jest pisany po polsku - oczywiście wyłowił z obcego tekstu potrzebne mu dane, jak imię, nazwisko i adres swego ojczyma, niemniej chciał poznać treść całości i myślę, że zachował go, aby gdzieś przy okazji uzyskać tłumaczenie. My oczywiście i tak odnotowaliśmy najważniejsze dane. I to chyba już wszystko.

Jill uniosła głowę, spoglądając na Pata i inspektora.

- Nie wiem, jak mam dziękować. Uratowaliście mi życie i...

- Nie trzeba - mruknął z zażenowaniem Sleuth i dodał: - Zapomniałem jeszcze powiedzieć, że pan Andrews będzie tu najpóźniej jutro rano. Natychmiast po otrzymaniu wiadomości o odnalezieniu siostrzenicy, zapowiedział swój przyłot.

W tym momencie w korytarzu dało się słyszeć stąpanie małych, bosych nóżek i w drzwiach stanęła zasnana Peggy. Zatrzymała się nieco speszona, z tłustym paluszkiem w buzi, szukając wzrokiem matki. Znalazła ją, podbiegła do kolan Ann i zadzierając w górę buzię, oświadczyła z powagą:

- Ciem do domu...

- Masz rację, kochanie - powiedziała Tyna. - Myślę, że to dotyczy nas wszystkich.

